tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 25 (1171)
13-19.06.2022
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. JOANNA SCHILLER-WALICKA
PRL NIE BYŁA CZARNĄ DZIURĄ

PROF. RAFAŁ ZIMNY
CORAZ WIĘCEJ HEJTU

CO KACZYŃSKI
GŁĘBOKO SCHOWAŁ

WOPR – ZACZĄŁ SIĘ
SEZON UTONIĘĆ

OBLICZA RELIGII W SZKOLE

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
25 >
9 771509 311201

eprasa.pl c615e1887d

JULIETTE BINOCHE

HÉLÈNE LAMBERT LÉA CARNE EVELYNE PORÉE
PATRICIA PRIEUR EMILY MADELEINE DIDIER PUPIN

MIĘDZY DWOMA ŚWIATAMI

Oparta na głośnym reportażu
opowieść o społecznych nierównościach

W KINACH OD 10 CZERWCA

Jerzy Domański

Czas na nowy etap

Zmiana wisi w powietrzu. Wyczerpuje się energia tych, którzy z porywu serca wzięli na siebie trud organizowania życia milionom uchodźców z Ukrainy. Polakom goszczącym Ukraińców u siebie zaczyna brakować pieniędzy. W zrywach jesteśmy mistrzami, ale ten trwa dłużej, niż pierwotnie myślano. To już czwarty miesiąc wojny, a końca nie widać. Nawet bliska rodzina zaczyna po miesiącu ciążyć gospodarzom, więc trudno się dziwić, że entuzjazm mija.

Przekraczająca wszelkie, nawet nasze, wyobrażenia gościnność Polaków bardzo podbudowała narodowe samopoczucie. A duma z Polaków wprost rozsadza rząd PiS. I daje mu alibi, by trwać w takim stanie. Polacy goszczą uchodźców, na pierwszej linii są organizacje pozarządowe, pomagają, jak mogą, samorządy. A władza? Głównie tym się chlubi. I czeka. Zamiast przygotować taki system, w którym odpowiedzialność za migrację przejmą przede wszystkim instytucje państwowe. Bo bez przestawienia zwrotnicy i bez długoterminowych działań, które zastąpią propagandę i pozorowanie aktywności, czeka nas katastrofa. Najwyższa pora, by władza ulżyła tym, którymi tak się szczyci.

Czas na nowy etap. Wiemy, że wojna w Ukrainie będzie długotrwała, a więc migracja do Polski też. Nie zmarnujmy tej dobrej opinii o Polsce, która poszła w świat na początku wojny. I gigantycznego wysiłku setek tysięcy Polaków.

Ta okropna wojna zmienia wszystkich. Rujnuje poczucie bezpieczeństwa i świat wartości.

Nie jesteśmy już tacy jak w lutym. Nie zmienia się tylko jedno. Zdecydowana większość Polaków uważa, że Ukraińcom trzeba pomagać w wojnie z Rosją. Popiera pomoc humanitarną, dyplomatyczną i materialną. Ale tam, gdzie chodzi o konkretną pomoc o charakterze finansowym, wyraźnie więcej jest tych, którzy nie chcą, by Ukraińcy dostawali tak jak Polacy 500+ czy zasiłki z pomocy społecznej. Kłopoty dotykają także już wcześniej mocno kulejącą służbę zdrowia. Polska coraz bardziej staje się państwem frontowym oraz hubem dla dostaw broni i wszelkich towarów na Ukrainę. Ponosimy tego konsekwencje. Wiemy, że nie tylko uchodźcy, ale też wielu Polaków potrzebuje wsparcia. Część goni w piętkę z powodu braku pieniędzy, bo nie może udźwignąć przyjętych na siebie zobowiązań wobec uchodźców. Tym łatwiej jest pomóc. Ale coraz większa jest grupa nieradzących sobie psychicznie z kolejnymi problemami. Mamy tak wielkie problemy, że aż się proszą o narodową terapię. Niestety, zamiast wspólnoty w nieszczęściu jest gorąca wojna domowa. Świadomie napędzana przez rządzącą prawicę.

To ma sens!
PRZEGLĄD w bibliotekach

Drodzy Czytelnicy, kończy się półrocze i znowu biblioteki czekają na nasz tygodnik. Dzięki Waszym wpłatom PRZEGLĄD otrzymuje w tym roku 68 placówek. Kontynuujemy tę pożyteczną akcję.

Prosimy o wpłaty z dopiskiem „Biblioteka"
Fundacja Oratio Recta
Nr konta 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Pełna lista obdarowanych bibliotek na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c615e1887d

W NUMERZE

KRAJ

8 Co Kaczyński chce głęboko schować?
PiS ma być karnym wojskiem
11 30 lat religii w szkole i co?
Młodzi zwracają Kościołowi bilet
14 PRL nie była czarną dziurą
– rozmowa z prof. Joanną Schiller-Walicką
18 Przyduszeni długami
Każdemu można pomóc w spłacie
22 Ciasne niebo nad Polską
Flota powietrzna się rozrasta
24 Bezpieczne
Terapia dla ukraińskich dzieci
28 O mowie nienawiści
– rozmowa z prof. Rafałem Zimnym
50 Szukajcie w trzcinie
Akcja WOPR na Mazurach

WOJNA W UKRAINIE

32 Skutki wojny
Coraz większe straty ukraińskie

ZAGRANICA

36 Zabawka dla wszystkich
Uniwersalny Pegasus
38 Wpływowe Afganki działają z Grecji
Drugi dom aktywistek
40 Wirus bardziej autorytarny
Zika znowu aktywny

HISTORIA

42 Pierwsze powstanie w demoludach
Bunt robotników w NRD

KULTURA

46 Zbyt optymistyczna jak na Polskę
– rozmowa z Jolantą Lion
49 Qulturalia
66 Jacek Pałucha. Odsłona druga

OBSERWACJE

54 Wrocławski doktor Dolittle
Zwierzęta Grzegorza Dziwaka
57 Trawa sama sobie poradzi
Sposób na zdrowy ogród

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Czas na nowy etap
17 Jan Widacki
Z dala od polityki
27 Roman Kurkiewicz
Produkt Kajdaniarski Brutto
31 Agnieszka Wolny-Hamkało
Kaktus na języku
35 Wojciech Kuczok
Moje oczy śmierdzą książką
45 Tomasz Jastrun
Wielki brat

38
ZAGRANICA

WPŁYWOWE AFGANKI DZIAŁAJĄ Z GRECJI
Drugi dom aktywistek

46
KULTURA

ZBYT OPTYMISTYCZNA JAK NA POLSKĘ
– rozmowa z Jolantą Lion

54
OBSERWACJE

WROCŁAWSKI DOKTOR DOLITTLE
Zwierzęta Grzegorza Dziwaka

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER(2), KAROL MAKURAT/REPORTER

eprasa.pl c615e1887d

Polki nie chcą rodzić. I mają rację

Za PRL było coś, czego nie ma w kapitalistycznej III RP. Pewność dachu nad głową i zatrudnienia. Nikt nie lądował na bruku bez środków do życia. I dlatego rodziło się więcej dzieci. *Se Wi*

•

Jestem z wyżu powojennego (rocznik 1951), nasze dzieci są z lat 80. Jaki był wtedy stan gospodarki i zaopatrzenia, wiedzą ci, którzy w tamtym czasie żyli. Ale dzieci się rodziły. Dlaczego? Bo państwo mimo trudności gospodarczych tworzyło warunki dla kobiet. Nikt wtedy nie słyszał o umowach śmieciowych, zatrudnianiu bez umów, płaceniu pod stołem. Kobiety miały gwarancję urlopu macierzyńskiego, a po nim powrotu do pracy na swoje stanowisko. Powołując na świat naszych chłopców, świadomie wraz z żoną zdecydowaliśmy się na obniżenie własnego standardu życia. Dzieci były dla nas priorytetem. Zapewnialiśmy im szczęście, opiekę, dostęp do nauki, rozwój zainteresowań, a w wypadku młodszego kilkuletnią opiekę psycholożki, która dyslektyka i dysgrafika potrafiła tak ustawić, że maturę zdawał bezproblemowo, a od drugiego roku studiów miał stypendium Politechniki Wrocławskiej. Dziś możemy autorytatywnie stwierdzić, że inwestycja w dzieci to największy nasz sukces. Rodzice, tego wam życzymy. A na pytanie, czy mieć dzieci, czy raczej robić karierę, mieć lepszy samochód i wakacje na Lazurowym Wybrzeżu, odpowiadamy: starannie wychowane dzieci są największym skarbem.

Tadeusz Kalinowski

Czas oszustów i grafomanów

W nadgorliwym opluwaniu PRL dostrzegam oznaki paniki. Żeby przypadkiem się nie okazało, że „skok Lecha przez płot" był umknięciem spod radzieckiego protektoratu w żelazny uścisk amerykańskiej i watykańskiej okupacji. Tak jakby sami siebie chcieli przekonać, że zmienili Polskę na lepsze. Pod wieloma względami PRL mi się nie podobała. Jednak zmiana ustrojowa przyniosła nie mniej szkody. Jeśli chodzi o relacje międzyludzkie, poziom edukacji, kultury – jest znacznie gorzej. Każdy tępy, głupkowaty celebryta z TVN czy innej telewizji musi w każdym swoim wyświechtanym grepsie wspomnieć o „szarych czasach PRL". Liczba kłamstw, przeinaczeń, anachronizmów i zwykłych głupot na temat przeszłości każdemu myślącemu człowiekowi zapaliłaby w głowie światełko ostrzegawcze: ktoś tu propagandową nadgorliwością chce przykryć fałsz. Wolę rzetelną informację niż propagandę. Nie chodzi mi o gloryfikowanie PRL, ale chciałabym słyszeć wyważoną narrację polegającą na prawdzie. Bez uprzedzeń.

Anna Kremiec

Coś optymistycznego

W swoim komentarzu red. Jerzy Domański podziękował mnie i prof. Joannie Schiller-Walickiej za pracę nad nagrodzoną na Targach Książki w Warszawie trylogią prof. Walickiego. Uczynił to również w stosunku do Leszka Kamińskiego i Michała Kabaty, którzy wzięli odpowiedzialność za korektę. Redaktor naczelny, znany feminista, zapomniał jednak o Halinie Tchórzewskiej-Kabacie, współpracę z którą ciepło wspominam.

Paweł Dybicz

ZDJĘCIE TYGODNIA

Odpoczywający z gepardami. Znany fotograf dzikich zwierząt Nick Kleer relaksuje się po wyczerpującej sesji zdjęciowej.

FOT. CARTERS NEWS/FORUM

eprasa.pl c615e1887d

Prof. dr hab. med. dr h.c. multi Henryk Skarżyński, twórca i dyrektor Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu, jest nowym przewodniczącym Rady Głównej Instytutów Badawczych. To światowej sławy uczony i autor unikatowych operacji wszczepiania implantów. RGIB jest wybieralnym organem przedstawicielskim instytutów badawczych, który reprezentuje interesy tego środowiska w kraju i za granicą.

•

Hanna Gronkiewicz-Waltz, która przez 12 lat była prezydentem stolicy, została Honorowym Obywatelem Warszawy. Zasłużenie, bo bilans jej rządów jest imponujący: druga linia metra, oczyszczalnia Czajka, Centrum Nauki Kopernik, muzeum Polin, przebudowa bulwarów. Krytykowana jest – i słusznie – za reprywatyzację. Ale w porównaniu z rządami Lecha Kaczyńskiego miasto zmieniło się nie do poznania.

•

21-letnia Iga Świątek w finale French Open pokonała 18-letnią Amerykankę Coco Gauff. Zajęło jej to tylko 68 minut. Po 20 miesiącach od pierwszego sukcesu po raz drugi wygrała turniej Rolanda Garrosa. Najlepsza tenisistka świata jest niespodziewanym, ale skutecznym lekiem na kompleksy Polaków. Może sprawi, że więcej ludzi ruszy się sprzed telewizorów i trafi na korty.

•

Na scenie Muzeum Manggha w Krakowie po raz trzeci wręczono nagrody laureatom konkursu „Portrety", organizowanego przez miesięcznik „Kraków i Świat". Główna nagroda powędrowała do twórców filmu dokumentalnego „Polański, Horowitz. Hometown", który dokładnie w tym samym czasie miał nowojorską premierę. W Stanach film przedstawiał jeden z jego twórców, Mateusz Kudła, a w Krakowie nagrodę odebrała współreżyserka Anna Kokoszka-Romer. Nagrodę czytelników miesięcznika „Kraków i Świat" i związanych z pismem internautów otrzymała Katarzyna Chlebny – autorka, reżyserka i aktorka spektaklu „Kora. Boska" w Teatrze Nowym Proxima.

•

Pomysłodawcą Światowego Dnia Roweru, który obchodziliśmy 3 czerwca, jest prof. Leszek Sibilski, socjolog, kolarz. Na świecie ok. 50% społeczności potrafi jeździć na rowerze. A w Polsce jest jeszcze lepiej, umie to robić ok. 80% rodaków. Pomaga to, że Polska jest czwartym producentem rowerów w Unii Europejskiej i dziewiątym na świecie. Warto przypomnieć, że pierwszy polski medal olimpijski został zdobyty przez kolarzy.
Niedawno Polakom udało się przeforsować kolejną rezolucję ONZ, dotyczącą integracji rowerów z transportem publicznym („Rzeczpospolita").

•

W konkursie Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej „Po Pierwsze Rodzina!" w roku 2021 rozdano ponad 8 mln zł 33 organizacjom, z których dziewięć jest czysto kościelnych, a prawie cała reszta – katolicka. Pieniądze dostali m.in. Fundacja Narodowego Dnia Życia, Instytut Wiedzy o Rodzinie i Społeczeństwie, Związek Dużych Rodzin 3 Plus (współpracujący z Ordo Iuris), Caritas Archidiecezji Częstochowskiej, Fundacja Światło-Życie (znana z „leczenia" homoseksualizmu w ośrodku ODWAGA w Lublinie), Fundacja ŻYCIU TAK założona przez Bogdana Chazana, Fundacja Mamy i Taty (zwalczająca demona gender).

PRZEBŁYSKI

Borek, klakier Czesia

Nieszczęścia chodzą parami. Jeszcze gorszy od wyniku reprezentacji w meczu z Belgią (1:6) był komentujący go Mateusz Borek. Gość, który nie ma papierów, by występować nawet w tej telewizji, z której dojna zmiana zrobiła pośmiewisko. W jakiej roli wystąpił Borek? Klakiera trenera Michniewicza? O wielkiej zażyłości między nimi świadczy rozmowa po meczu ze Szwecją. „Cześć, Czesiu", przywitał się Borek. Dla którego Michniewicz jest „profesorem spośród polskich trenerów". No to jak Borek mógł krytykować profesora Czesia, który w meczu z Belgami popełnił chyba wszystkie możliwe błędy? Nie mógł. Bredził więc nie na temat meczu.

Żeby tylko to Borek miał na sumieniu. Bukmacherka, wspólny biznes z kidnaperem i reklamowanie wódki. Pasuje do telewizji Kurskiego jak ulał.

Z rączki do rączki

Solidarna Polska otrzymała w 2021 r. ogółem 321 tys. zł w postaci darowizn. Rekordziści to: Paweł Śliwa, wiceprezes PGE – podarował partii 37 tys. zł; Marcin Rol, były wiceprezydent i radny Opola – przekazał 23 tys. zł; Maciej Szota, asystent Jakiego w europarlamencie – 12,3 tys. zł; Marcin Puchalski, prezes Centrum Edukacji Grupa Orlen – 10,8 tys. zł; Oliwer Kubicki, członek zarządu PZU – 9 tys. zł; Małgorzata Piasecka, prezes PGNiG Ventures – 7,7 tys. zł; posłanka Aleksandra Szczudło, żona Marcina, który jest wiceprezesem PGNiG Obrót Detaliczny – 6,3 tys. zł; Waldemar Wendrowski, dyrektor COS Spała – 6 tys. zł; Ireneusz Stachowiak, prezes Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Toruniu – 5,7 tys. zł. A Zbigniew Ziobro? Cieniutko, tylko 2,4 tys. zł.

Toaleta im. Girzyńskiego

Zbigniew Girzyński to taki gość z Torunia, który zrobi wszystko, byle zaistnieć w mediach. I zapunktować u ojca dyrektora. Ale Rydzykiem to on nie jest. Co najwyżej podróbką. Girzyńskiemu, który wędruje od partii do partii, Warszawa pomyliła się z Toruniem. Toruń zajadłej prawicy udało się sterroryzować, ale skok Girzyńskiego na stolicę tylko śmieszy. A żądanie, by odwołać Magdalenę Kozerę, dyrektorkę LO im. Sobieskiego w Warszawie, to kolejny odlot posła do ukochanego ciemnogrodu. Girzyńskiego oburzyło deprawowanie młodzieży tęczowym piątkiem i… dodatkową toaletą dla dzieci transpłciowych. O którą wystąpił samorząd uczniowski.

Pożyczki ponad podziałami

Nie uwierzycie, ale nie wszyscy narzekają na lawinowy wzrost rat kredytów mieszkaniowych. Jest w Polsce taki zakład pracy, gdzie można dostać pożyczkę na 1%, góra 2%. Pewnie chcecie wiedzieć, gdzie już zrealizowała się zasada: każdemu według potrzeb. Takie mecyje są możliwe tylko… w Senacie. A przodownikami pożyczek mieszkaniowych są wasi drodzy lekarze marszałkowie Senatu – Tomasz Grodzki (KO) i Stanisław Karczewski (PiS). W tej sprawie są jednomyślni. I bezwstydni.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl c615e1887d

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy pracodawcy powinni móc kontrolować trzeźwość pracowników?

PAWEŁ ŚMIGIELSKI,
dyrektor Wydziału Prawno-Interwencyjnego OPZZ

Taka możliwość powinna zostać utrzymana, ale konieczne jest doprecyzowanie regulujących ją przepisów. Otrzymujemy bowiem wiele sygnałów, że takie kontrole są prowadzone według niejasnych przesłanek, a czasami przybierają formę dyskryminacji określonych osób. Dlatego z zadowoleniem przyjęliśmy rządowe propozycje zmian. W projekcie wyraźnie wskazano, że zasady kontrolowania trzeźwości w zakładzie pracy muszą być ujęte w układzie zbiorowym pracy lub regulaminie pracy, a więc w dokumentach, których treść jest uzgadniana ze związkami zawodowymi. To bardzo ważne, by obie strony wspólnie ustaliły, jakie grupy zatrudnionych mają podlegać badaniom, w jakich sytuacjach, z wykorzystaniem jakich urządzeń itd. Projektodawca podkreślił też, że nie mogą one naruszać godności ani innych dóbr osobistych pracownika. Co więcej, przewidziano procedury odnoszące się do innych środków odurzających. Podsumowując, projekt będący obecnie przedmiotem prac legislacyjnych daje szansę, że na poziomie zakładów pracy zaczną obowiązywać jasne, racjonalne i niedyskryminujące regulacje dotyczące kontroli trzeźwości pracowników.

KRZYSZTOF BRZÓZKA,
były szef Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych

Nieuchronność konsekwencji w przypadku stawienia się do pracy pod wpływem alkoholu nawet na wielu uzależnionych zadziała dyscyplinująco. Dlatego od zawsze jestem zwolennikiem możliwości kontrolowania trzeźwości pracowników, szczególnie w sytuacjach, kiedy zależy od niej bezpieczeństwo ich samych lub innych osób. Przykładem mogą być kierowcy pojazdów komunikacji zbiorowej czy operatorzy ciężkiego sprzętu. Obecnie procedura wykonywania takich kontroli jest długa i zagmatwana, co może zniechęcać pracodawców, obawiających się, że ich działania zostaną potraktowane jako pomówienie bądź szykany. Doprecyzowanie przepisów ma zatem duże znaczenie dla obu stron.

DR ŁUKASZ POLOWCZYK,
etyk

Tak, ale na zasadzie wzajemności: skoro pracodawca może sprawdzać trzeźwość pracowników, to ich reprezentanci powinni mieć możliwość weryfikowania trzeźwości kierownictwa. Nie może być tak, że po jednej stronie jest absolutna władza, a po drugiej absolutny brak wpływu. Gdy menedżerowie czy szef znajdują się poza wszelką kontrolą zatrudnionych, jest to niesprawiedliwe. Poza tym dobro zakładu pracy, na które składa się m.in. efektywność wykonywania obowiązków, wymaga trzeźwości nie tylko załogi, ale i kadry zarządzającej.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl c615e1887d

Co Kaczyński chce głęboko schować?

Prawo i Sprawiedliwość ma być karnym wojskiem

Robert Walenciak

„Ogłaszam mobilizację PiS i całej Zjednoczonej Prawicy! To nie jest hasło, to jest objazd kraju!", wołał podczas konwencji PiS w podwarszawskich Markach Jarosław Kaczyński. Czy to początek kampanii wyborczej? To chyba pytanie niepotrzebne – Kaczyński tak prowadzi politykę, jakby kampania wyborcza trwała nieustannie, nie ma dla niego przerw, chwil oddechu. Cały czas podgrzewa atmosferę, kreuje konflikty, przyciąga uwagę. O co zatem mu chodziło?

•

Konwencje partii politycznych to nie są wydarzenia dla ludu. Trudno sobie wyobrazić, by tłumy z zapartym tchem słuchały godzinnego przemówienia Jarosława Kaczyńskiego. Zwłaszcza w pogodną sobotę.

Konwencje adresowane są do partyjnego aparatu, działaczy, tych, którzy będą prowadzić kampanię wyborczą. Mają swoją poetykę. Gdy przemawia kilku polityków – partia pokazuje, że jest w niej różnorodność. Gdy jeden – demonstruje zwartość. Tym razem mówił tylko Kaczyński. Ważne jest, o czym się mówi, a co pomija. Ważny jest ton.

Taka konwencja to zapowiedź działań na najbliższe miesiące. Cóż więc nam Kaczyński zapowiedział? To już wiemy – rozkazał ludziom PiS ruszyć w Polskę. Spotykać się z wyborcami, rozmawiać.

I nie jest to banał – w polityce nie można liczyć na sukcesy, jeśli się nie rozmawia, nie uczestniczy. Kaczyńskiemu bardzo tego brakowało, mówili o tym zresztą jego współpracownicy – że czas pandemii, kiedy zamiast ściskania rąk były kontakty zdalne, via internet, był czasem straconym. Po prostu ludzie, nie kontaktując się bezpośrednio, zaczynają zajmować się swoimi sprawami, obojętnieją na słowa płynące z centrali, zapominają o wyborczym kalendarzu. W ten sposób PiS przekształcało się w partię tłustych kotów, leniwych, zadowolonych z siebie, głównie zainteresowanych konsumowaniem owoców zwycięstwa.

Tłuste koty, czyli PiS

Strach przed rozleniwieniem partii nie jest rzeczą nową. Był on kłopotem Leszka Millera, który skarżył się, że w SLD uwiło sobie gniazdko różnego rodzaju „ptactwo". To także był kłopot Donalda Tuska, który nawet wymyślił sposób na poradzenie sobie z tym niebezpieczeństwem – po wygranych przez PO wyborach zostawił (i tym się chwalił) na stanowisku szefa CBA Mariusza Kamińskiego jako tego, który ze szczególnym zapałem będzie patrzył politykom PO na ręce. Skończyło się to skandalem, odwołaniem Kamińskiego itd. Teraz podobne problemy są udziałem Kaczyńskiego.

Wyraźnie widać, że nie ma on ani pomysłu, ani siły, by sobie z tym poradzić. Wcześniejsze inicjatywy, typu uchwała antykorupcyjna, umarły śmiercią naturalną. Prezes ma więc inny plan – zamierza partię przeorać, zmienić jej strukturę. Podczas niedawnego, majowego posiedzenia komitetu politycznego ustalono, że PiS składać się będzie nie z 41 jak dotąd, ale ze 100 okręgów, i zostanie wprowadzony zakaz łączenia funkcji partyjnych z ministerialnymi. Pełnomocników okręgowych będzie powoływał sam Kaczyński i ma to zrobić jeszcze w czerwcu. Czyli partia ma być jeszcze mocniej scentralizowana, ma być karnym wojskiem, a jej lokalni liderzy mają bardziej bać się „góry" niż terenowych układów.

A skoro o układach mowa – jakiś czas temu głośno było o pomyśle Kaczyńskiego, by lokalne komórki PiS były miejscami, gdzie mieszkańcy mogliby zgłaszać skargi na złą władzę (bo gdzie można dziś się poskarżyć?), by komórki te mogły kontrolować pracę administracji, a także opiniować różne propozycje kadrowe. Podniosły się wówczas głosy, że Kaczyński wprost nawiązuje do modelu partii z czasów minionych, że chce je wskrzesić, i skończyło się na zamiarach.

Model doskonały, czyli empatia

Taki zresztą model państwa Kaczyński w swoim ponadgodzinnym przemówieniu nakreślił. Przedstawił wizję polskiej wspólnoty. Że tworzy ją naród, „że naród jest połączony solidarnością, że solidarność wiąże się ściśle ze sprawiedliwością, a z kolei sprawiedliwość z równością praw i obowiązków, i wreszcie, że takim lepiszczem dobrze funkcjonującego narodu jest także empatia, szczególnie wobec najsłabszych". Czyli partia ma być skromna i służyć ludziom.

Uporczywe powtarzanie haseł empatia, solidarność, pomoc słabszym nie wzięło się znikąd. Kaczyński stara się je wdrukować w głowy podwładnym z dwóch przynajmniej powodów. Po pierwsze, doskonale wie, że idą trudne czasy i sprawy bytowe będą najważniejsze. Trzeba więc zająć na scenie politycznej takie właśnie miejsce – ugrupowania, które troszczy się o najsłabszych. Ma tę troskę w sercu. Po drugie, ludzie

Pełnomocników okręgowych będzie powoływał sam Kaczyński. Czyli partia ma być jeszcze mocniej scentralizowana.

eprasa.pl c615e1887d

PiS – jak dumnie ogłosił Kaczyński – nie kradnie. Dochody państwa są o ponad 200 mld zł większe niż w roku 2015. Te pieniądze PiS może przeznaczyć na programy społeczne.

I o tych programach opowiadał. 500+ i inne wydatki prorodzinne, 13. i 14. emerytura, podwyższenie płacy minimalnej z 1750 zł do 3 tys., „reindustrializacja" Polski poprzez powrót wcześniej zlikwidowanych połączeń autobusowych, urzędów pocztowych, komisariatów... Zobaczyliśmy wielki sztandar, pod którym PiS chce iść do politycznego boju – transfer środków do seniorów, ludzi mniej zamożnych, także tych mieszkających w mniejszych miejscowościach.

Ale ponieważ jest tak, jak mówił jeden z mózgów PiS, niedawno zmarły prof. Waldemar Paruch, że PiS są w swoich miejscowościach na świeczniku. Są obserwowani, sąsiedzi widzą, na co ich stać, jak się zachowują – i wyciągają wnioski.

Cóż, parę dni po konwencji sprawdziły się obawy Kaczyńskiego, jak mogą się prowadzić politycy Zjednoczonej Prawicy. Minister w kancelarii premiera Michał Cieślak, postać w obozie prawicy trzeciorzędna (ale minister), udał się na pocztę w Pacanowie. Tam zauważyła go naczelniczka poczty i zaczęła narzekać na drożyznę. Rozmowa najprawdopodobniej przerodziła się w kłótnię, tego nie wiemy. Ale wiemy, że po wyjściu z budynku Cieślak zadzwonił do dyrektora poczty w Kielcach, skarżąc się na naczelniczkę. Miano ją dyscyplinarnie zwolnić. Sprawa trafiła do mediów, została nagłośniona, w efekcie Cieślak na żądanie Kaczyńskiego złożył rezygnację. Naczelniczka na razie ocalała.

Tak oto mogliśmy zobaczyć, jak działa rządząca prawica. Że jej politycy nie chcą rozmawiać z ludźmi, traktują ich z góry, czują się ich panami i tę władzę wykorzystują. Mściwie. By jednym telefonem pozbawić kogoś środków do życia.

Na takich ludzi się nie głosuje, takich ludzi się nienawidzi i czeka na czas rewanżu. Pytanie tylko, czy Kaczyński swoją interwencją, a wcześniej przemówieniem podczas konwencji, coś tu zmieni. Czy nie jest już za późno?

Kaczyński cały czas podgrzewa atmosferę, kreuje konflikty, przyciąga uwagę.

Nauki Jarosława, czyli poradnik agitatora

Kaczyński wezwał swoją armię do „pójścia w lud", do obrony PiS i dał jej broń. Ta broń to jego przemówienie, jego wersja historii III RP i opowieść o rządzie Mateusza Morawieckiego. „Jak my tego nie powiemy, to nikt tego nie powie", tłumaczył. To ściągawka, co ludzie PiS mają klarować swoim wyborcom.

W jego opowieści historia III RP to walka dwóch obozów – patriotów oraz obozu zdrady narodowej i złodziejstwa. Ci drudzy prowadzili politykę „mikromanii narodowej", ulegali Rosji i Niemcom i tolerowali rozkradanie kraju. PiS, czyli patrioci, położyło temu kres. „Nasi poprzednicy mówili, że nie ma na nic pieniędzy – gardłował. – Myśmy zdiagnozowali sytuację, że pieniądze są, ale są kradzione". W ten sposób wrócił do hasła Beaty Szydło „Wystarczy nie kraść".

polityką gospodarczą wyborów się nie wygrywa (ale można przegrać), Kaczyński dorzucił do tego – też zgodnie z sugestiami Parucha – pakiet „godnościowy". Czyli opowieść o wyjątkowej Polsce i świetnie działającym państwie. Proszę bardzo – państwo znakomicie sobie poradziło z pandemią, bo „nikt na ulicach nie umierał". Państwo rzuca rękawicę Niemcom, budując Centralny Port Komunikacyjny, i zobaczymy, kto wygra – Berlin czy Warszawa! Godnościową inwestycją jest również przekop Mierzei Wiślanej. A miłym wzmacnianiem narodowego ego są

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

eprasa.pl c615e1887d

słowa, że nikt bardziej nie pomaga Ukrainie niż Polska. Że uwolniliśmy się od zależności od rosyjskiego gazu i ropy. I że zbudujemy taką armię, której wszyscy będą się bać.

Sprawczość. Co zapowiemy, to zrealizujemy – ten element Kaczyński pielęgnuje. Doskonale wie, że to przeświadczenie, że polityk może, jest podstawą jego siły.

W tej opowieści musi być wróg, ten zły, który przeszkadza. I oczywiście jest. To opozycja, która kłania się obcym i na Polskę obcym donosi. To też Putin, który najechał Ukrainę. Dlatego mamy „putininflację" i wydatki na obronność. No i są Niemcy, które się zbroją, choć – jak rzucił prezes parę dni później – nie wiadomo, przeciwko komu…

Czy taki przekaz, że to my dajemy ludziom najwięcej, że to my jesteśmy jedyną patriotyczną siłą, a opozycja to powrót polityki ugiętego karku i ciemnych interesów, trafi do wyborców? Czy triada: silny przywódca, który spełnia obietnice i twardo gra, partia, która jest skromna i chce rozmawiać z ludźmi, oraz program transferów i patriotycznego wzmożenia, okaże się politycznym złotem?

W każdym razie karty zostały wyłożone na stół, wiemy, co ludzie PiS w najbliższym czasie będą mówić wyborcom. I jakie tematy będą pomijać…

Czego prezes nie powiedział

Przemówienie Kaczyńskiego było długie, ale jeszcze dłuższa jest lista spraw, które poprzekręcał bądź pominął. Na przykład chwalił się sukcesami w walce z COVID-19. Tymczasem wiadomo, że sukcesów tu nie było, tylko pełna klęska – świadczy o tym fakt, że Polska (razem z Rumunią) jest liderem, jeśli chodzi o ponadnormatywne zgony w czasie pandemii.

Chwalił się budową mieszkań, choć każdy choć trochę zorientowany wie, że dla rządu ta sprawa to klęska. Że mieszkania są, owszem, ale za gotówkę i kredyty, a program Mieszkanie+ leży… Tu prezes przyznał, że więcej budowało się za Gierka.

Wiele dało do myślenia pominięcie innych wątków. Smoleńsk? Polska Ludowa? Kościół?

Polski Ład, który miał być Wunderwaffe PiS, a który został już złożony do politycznego grobu, w ogóle nie był wspominany. Podobnie jak starania w sprawie Krajowego Planu Odbudowy. Te miliardy euro dla Polski – będą czy nie będą? Ziobro Polsce nie szkodzi? A co z sędziami?

Wiele dało do myślenia pominięcie innych wątków. Smoleńsk? Jeszcze w kwietniu chciał Kaczyński stawiać Tuska przed sądem, bo „był zamach". Teraz jakby o sprawie zapomniał… Polska Ludowa? Agenci? Temat ewidentnie spadł z agendy, Kaczyński nie chce odświeżać tu żadnych wojen. Prawa kobiet? Ten temat też pominął, zresztą co ma w tej sprawie do zaoferowania? Kościół? Jeszcze niedawno mówił, że bez Kościoła nie ma narodu, że to główne spoiwo naszej historii i naszej tożsamości. Ba, wzywał do obrony świątyń. Teraz – cisza. Jakby wiedział, że nie ma nic do ugrania.

Ewidentnie uznał, że sprawy bytowe, drożyzna, inflacja, które najmocniej uderzają w wyborców PiS, będą najważniejszym polem politycznej bitwy.

•

Zresztą pola tej bitwy stara się wyznaczyć i opozycja. Donald Tusk przy każdej okazji wypomina ceny benzyny. I pyta, czy Jarosław Kaczyński je zna. Zapowiedział również, że gdy PO przejmie władzę, legalna będzie aborcja do 12. tygodnia ciąży. I w tej sprawie „ma decydować kobieta i lekarz, a nie ksiądz". Swoje dorzuca lewica, lansując hasło „Mieszkanie prawem, a nie towarem".

PiS jest więc mocno ostrzeliwane i, dodajmy, salwy idą z lewej strony. Wszystkie siły nagle chcą być blisko ludzi i troszczyć się o ich sprawy. Tu i teraz. A nie w przyszłości. Spodziewajmy się zatem wyścigu w kierunku haseł lewicowych i w kierunku polityki współczującej. Empatia. Obok wojennego zagrożenia to będzie motyw przewodni politycznych gier w najbliższym czasie.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c615e1887d

30 lat religii w szkole i co?

Kontakt młodych ludzi z religią w szkole sprawił, że zwracają Kościołowi bilet

Jarosław Makowski

Peregrynacja obrazu i relikwii św. Stanisława Kostki w szkole podstawowej w Makowie Mazowieckim, kwiecień 2018 r.

1.

To był pomysł, który w zasadzie miał rozwiązać wszystkie problemy duszpasterskie Kościoła. Nauczanie religii w szkole miało dać biskupom gwarancję, że katolicyzm w Polsce oprze się sekularyzacji. I pozwolić otrąbić sukces. Dodatkowo – za pieniądze i dzięki infrastrukturze państwa. Tak ponad 30 lat temu biskupi widzieli powrót nauczania religii do szkół. Hierarchowie żywili też przekonanie, że katecheza to integralny element nauczania publicznego, dlatego zażądali od rządu Tadeusza Mazowieckiego, by religia wróciła w szkolne mury. Rząd się zgodził. Religia do szkół weszła na mocy instrukcji ministra edukacji narodowej Henryka Samsonowicza z 30 sierpnia 1990 r. Bez konsultacji społecznych. Wbrew nielicznym wtedy głosom krytycznym.

Ale, jak wiemy, apetyt rośnie w miarę jedzenia. Zresztą to znany i doprowadzony do perfekcji sposób działania biskupów w sferze publicznej. Bo kolejnym krokiem z ich strony było żądanie, by katecheci, podobnie jak nauczyciele, byli opłacani z państwowych pieniędzy. I w tej kwestii hierarchowie dopięli swego. Dziś roczny budżet na pensje dla katechetów to ponad 1,1 mld zł – wynika z danych zebranych przez organizację Świecka Szkoła. A zatem: z punktu widzenia organizacyjnego i finansowego Kościół otrzymał wszystko, co chciał, by w sposób optymalny móc nauczać religii, wychowywać młodych w duchu chrześcijańskiej miłości i pomocy bliźniemu.

Roczny budżet państwa na pensje dla katechetów to ponad 1,1 mld zł.

Mimo tak komfortowych warunków nie potrafi przekonać uczniów, by uczęszczali na religię. Dlatego, wobec spadku zainteresowania lekcjami religii, rząd PiS, który jest bardziej papieski od papieża, chce, by nauka religii nie była przedmiotem, który młodzi wybierają dobrowolnie, ale żeby była obowiązkowa. To znaczy, że młodzi będą musieli wybrać: albo religia, albo etyka. Czy zmuszenie młodych ludzi do takiego wyboru sprawi, że zmieni się jakość nauczania religii? Nie, gdyż doświadczenie ostatnich 30 lat podpowiada, że źródło kryzysu jest gdzie indziej. I że przymus wyboru religia-etyka będzie skutkował jeszcze większym odrzuceniem religii.

2.

Dzieje się tak z kilku powodów. Po pierwsze, nauczanie religii w obecnej formie jest nudne. Dlatego nie dziwi, że liczba uczniów chcących uczęszczać na religię ciągle maleje. W 2010 r. uczestnictwo w religii deklarowało 93% uczniów, w 2013 r. – 89%, w 2016 r. – 75%, a w 2018 r. już tylko 70%. Na lekcjach nie przekazuje się wiedzy o religiach, ale uprawia tanie moralizatorstwo w duchu katolickiej teologii. Uczniowie zatem, jeśli religia jest w środku zajęć, najczęściej wykorzystują ją do odrabiania lekcji z innych przedmiotów. Zresztą wiecie to najlepiej, bo rozmawiacie ze swoimi dziećmi czy wnukami.

Po drugie, dla wielu katechetów, szczególnie księży, nauczanie religii

FOT. SŁAWOMIR OLZACKI/FORUM

eprasa.pl c615e1887d

to przykry obowiązek. Niejeden wikary, bo oni najczęściej uczą w szkołach, mówi, że nie po to został księdzem, by przez 45 minut zabawiać się w opiekuna kilkunaściorga dzieci. Słyszę to nie od dziś. Ba, nie są to ludzie, którzy uzyskali w pierwszej kolejności przygotowanie pedagogiczne – niezbędne do skutecznego i ciekawego prowadzenia zajęć.

Co innego, gdyby lekcja religii odbywała się w salce przy kościele. „Wtedy mógłbym – powiadają – wprowadzić także elementy formacyjne". I to jest prawda, nawet w opublikowanym przez biskupów liście z okazji 30 lat nauczania religii w szkole czytamy, że potrzebna jest też katecheza w salach przykościelnych. „Należy przy tym podkreślić, iż decyzje podjęte w roku 1990 w żadnej mierze nie miały wiązać się z osłabieniem katechetycznej roli parafii – głoszą biskupi. – W dokumentach katechetycznych wielokrotnie podkreślana jest potrzeba zarówno szkolnych lekcji religii, jak i katechezy parafialnej. Relacja zachodząca pomiędzy nimi jest relacją komplementarności i zróżnicowania". Katecheza jako element katolickiej formacji. Miejsce, gdzie ludzie przychodzą z własnej woli, a nie są do tego przymuszani. Miejsce, gdzie Kościół przeprowadza swoją formację w ramach działalności duszpasterskiej.

Po trzecie, jakość naszego życia publicznego każe uznać, że efekty nauczania religii katolickiej w szkole są znikome, jeśli myślimy o katolicyzmie jako religii miłości, współczucia, pojednania i solidarności. Krytycy powiedzą wręcz, że efekty te są przeciwne do zamierzonych. Często bowiem polskie życie publiczne przybiera charakter piętnowania ludzi, szerzenia nietolerancji czy odmawiania prawa do innego niż katolicki systemu wartości. Widzimy to gołym okiem na ulicach naszych miast. Dzisiejsi tzw. patrioci krzyczący: „Bóg-Honor-Ojczyzna!" uznawani są za sól tej ziemi. Nie kłóci im się to hasło z piętnowaniem, poniżaniem ludzi – w imię Boga – albo, jak wielokrotnie miało to miejsce, hajlowaniem publicznie na manifestacjach w obronie… rodziny, do której to obrony zachęca ich Kościół. Ale czy może to dziwić, skoro jeden z czołowych polskich hierarchów, metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski, na Jasnej Górze przekonywał katolickich nauczycieli, że największym zagrożeniem dla polskiej szkoły jest LGBT i gender. „Wydaje się bowiem, że czasy, w jakich żyjemy, i związane z nimi wyzwania, to okres zagubienia. Tylu ludzi sprawia wrażenie, że są zdezorientowani, niepewni, pozbawieni nadziei. Stan ducha wielu chrześcijan jest podobny. (…) Wśród wielu aspektów chciałbym przypomnieć utratę pamięci i dziedzictwa chrześcijańskiego, któremu towarzyszy swego rodzaju praktyczny agnostycyzm i obojętność religijna, wywołująca wrażenie, że żyją bez duchowego zaplecza, niczym spadkobiercy, którzy roztrwonili dziedzictwo pozostawione im przez historię. (…) Odcięcie od źródeł chrześcijaństwa, tworzące nowe prawa, nowe jutro, zagubione, ambiwalentne, pogrążone w agnostycyzmie i obojętności religijnej", ostrzegał zgromadzonych dyrektorów szkół katolickich. Czyli zdaniem abp. Jędraszewskiego to nie jakość nauczania katolickiego, nie słabość argumentów i postaw życiowych księży jest problemem, ale młodzi ludzie, którzy odrzucają Kościół, a do szkoły chodzą z tęczową torbą. Z punktu widzenia Kościoła to dramat: młodzi nawet nie tyle walczą z Kościołem, ile przechodzą obok niego obojętnie. A to dużo gorsze.

Nauczanie religii w obecnej formie jest nudne. Dla wielu katechetów, szczególnie księży, to przykry obowiązek.

Po czwarte, zupełnie nowym zjawiskiem jest to, że młodzi ludzie za powód do dumy uważają niechodzenie na lekcje religii czy dokonanie apostazji. Pojawiło się spore grono youtuberek, dla młodych nowy typ autorytetu, zachęcających do odejścia z Kościoła. Przykładem jest Hania Es, która nagrała filmik o wierze i Kościele – choć przekonuje, że ceni wiarę chrześcijańską, to kościelna instytucja jest dla niej anachroniczna. Ma dość „księży, którzy są ponad prawem", gdyż państwo nie ściga ich za przestępstwo pedofilii. Dodatkowo Hania Es przedstawia krótką instrukcję, jak dokonać apostazji. Ba, na YouTubie możemy nawet znaleźć „Apostazję – przewodnik kompletny". Odchodzenie z Kościoła staje się modne. To wręcz trend. Ale biskupi pozamykani w swoich pałacach nie zdają sobie nawet sprawy, że dzięki sieci i kolejnym publicznym apostazjom odbywa się exodus wiernych – zarówno tych, którzy już tylko w ramach kartotek kościelnych funkcjonowali jako katolicy, a dziś ogłaszają swoją apostazję, jak i tych, którzy do wczoraj byli twarzami „fajnego katolicyzmu". Odchodzą z podniesioną głową, mówiąc: „Mamy dość!".

Okazuje się, że ponad 30 lat religii w szkole nie tylko nie zaowocowało głębszą wiedzą religijną, ale de facto sprawiło, że religia jako przedmiot jest przez młodych ludzi odrzucana. Choć księża dostali optymalne warunki, by młodych ewangelizować, nie potrafią tego robić. Dziś szukają winnych swojej nieudolności. Abp Jędraszewski wskazał

Religia w parafii, nie w szkole

W przeprowadzonym w dniach 25-27 listopada 2020 r. badaniu Ipsos dla OKO.press 66% respondentów oceniło, że religia powinna być nauczana w salkach parafialnych. Za pozostawieniem katechezy w szkole opowiedziało się 27% badanych, 5% nie miało wyrobionego zdania w tej sprawie.

W lutym 2019 r. za przeniesieniem lekcji religii do infrastruktury parafialnej opowiadało się 52% uczestników badania.

eprasa.pl c615e1887d

kilka dni temu, że trudności w nauczaniu dzieci religii są wynikiem „kryzysu wiary rodziców", co jest jawną niedorzecznością. Ba, dodać trzeba, że religia nie sprawdziła się również jako forma katechezy, czyli wychowania religijnego. Najszybciej laicyzującą się grupą są właśnie ludzie młodzi, którzy doświadczyli lub jeszcze doświadczają podczas edukacji szkolnej dwóch lekcji religii w tygodniu. Jeśli więc biskupi sądzili, że wprowadzając religię do szkół, dodajmy, tylnymi drzwiami, załatwią sobie pomysł na duszpasterską aktywność i skuteczność przekazywania wiary, to widać, że ponieśli druzgocącą klęskę.

3.

Czy zatem lekcje religii powinny zostać usunięte ze szkół i przeniesione na powrót do salek katechetycznych? Katecheza, która jest elementem formacyjnym, zdecydowanie tak. Ale w szkole powinna zostać jedna godzina nauki o religiach. I piszę to z pełną świadomością. Dziś groźne jest zderzenie nie tyle fundamentalizmów religijnych, ile analfabetyzmów religijnych. Przedstawiciel innej religii, innego wyznania czy Kościoła jawi się jako obcy szczególnie wtedy, gdy nic o nim nie wiemy. Albo, co gorsza, operujemy stereotypami. Przykładowo, że każdy muzułmanin to terrorysta. A każdy katolik to hipokryta.

Mamy obowiązek przygotować młodych ludzi do życia w nowoczesnym, pluralistycznym i różnorodnym religijnie społeczeństwie. Tym bardziej że – co pokazują współczesne konflikty – nie ma pokoju między narodami, jeśli nie ma pokoju między religiami. A nie ma pokoju między religiami, jeśli nie ma między nimi dialogu. Dialog jednak mogą prowadzić tylko ci, którzy posiadają podstawową wiedzę.

Dodatkowo do szkół powinna wrócić obowiązkowa lekcja etyki/filozofii. Znajdą się tacy, którzy będą twierdzić, że to zbędna wiedza. Bo sądzą, że filozofia nie pomoże młodemu człowiekowi w wypełnieniu PIT-u, odpowiedzialnym wzięciu kredytu ani znalezieniu dobrze płatnej pracy. Jaki jest więc sens zaprzątania mu głowy tym, że Eros – jak poucza w „Uczcie" Platon – jest synem biedy i dostatku? Cóż to za wierutne bzdury? Już na pierwszy rzut oka widać, że nauczanie filozofii musi przypominać zawracanie Wisły kijem. A jeśli tak, to czy może dziwić, że w Polsce edukację filozoficzną uznaje się za rodzaj ekstrawagancji, na który decydują się nieliczni dyrektorzy szkół?

To błąd, który wszystkich nas dużo kosztuje. Filozofia dostarcza bowiem czegoś, czego nie nauczymy się ani na fizyce, ani na biologii, ani na matematyce. Pisał o tym do swoich studentów jeden z najwybitniejszych polskich filozofów, ks. Józef Tischner: „Studiować filozofię to szczególne wyzwanie. Filozofię studiuje się inaczej niż każdy inny przedmiot. Studiując filozofię, człowiek zmienia swój sposób bycia na świecie, staje się kimś innym".

Do szkół powinna wrócić obowiązkowa lekcja etyki/filozofii. Filozofia zmusza młodego człowieka do intelektualnej pokory.

Filozofia uczy myślenia i intelektualnej pokory. A na tym powinno też zależeć Kościołowi. Przez dwa lata byłem nauczycielem filozofii. Widziałem, jak w trakcie edukacji filozoficznej uczniowie zaczęli dostrzegać, że są intelektualnymi spadkobiercami i dłużnikami Sokratesa, Platona czy Kanta. Szybko pojęli, że brak znajomości ich myśli czyni z nich intelektualnych analfabetów. Że nie można mówić bez zażenowania: „Jestem Europejczykiem", gdy zdradza się metodyczną ignorancję wobec klasycznych tekstów najwybitniejszych umysłów naszej kultury.

Zgłębiając tajniki myśli europejskiej, uczniowie widzą, że nie tracą już czasu na wyważanie otwartych drzwi. Bo okazuje się, że pewne kwestie dawno zostały sformułowane i przedyskutowane. Historia filozofii pokazuje jak na dłoni, że nie wszystko zaczyna się od nas. Że idee, które młody człowiek czasem w sobie nosi, żyjąc w błogim przekonaniu, że gdy przedstawi je publicznie, zostaną uznane za odkrycie niemal na miarę Ameryki, są tylko owocem złudzenia wynikającego z niewiedzy. Inaczej mówiąc, filozofia zmusza młodego człowieka do intelektualnej pokory.

Nowym zjawiskiem jest to, że młodzi ludzie za powód do dumy uważają niechodzenie na lekcje religii czy dokonanie apostazji.

Jedno z najsłynniejszych zdań Sokratesa, które uczniowie wyjątkowo lubią przywoływać, brzmi: „Wiem, że nic nie wiem". Stwierdzenia tego nie należy traktować jako kurtuazyjnego sloganu. To myśl, która zrodziła się w filozofie z pokornego przyznania się przed samym sobą, że wciąż jeszcze ma wiele do przeczytania i jeszcze więcej do przemyślenia, by ewentualnie na końcu swojej drogi zbliżyć się do prawdy. Jasne, że zawsze można wybrać drogę na skróty. Tyle że robią tak ci, którzy z ignorancji czynią cnotę. Programowo więc niczego nie czytają, nie mówiąc już o tym, by skalali się jakimkolwiek głębszym namysłem.

Jeden z bliskich mi myślicieli, św. Augustyn, powiadał: „Kochaj i rób, co chcesz". Gdybym został poproszony o to, by dać jedną radę polskiej szkole i rodzimemu Kościołowi, byłaby to parafraza słów św. Augustyna: „Szkoło, ucz myśleć i rób, co chcesz! A w ten sposób sprawisz, że ludzka bezmyślność i religijny analfabetyzm, które są źródłem nieszczęść świata i wielu konfliktów, przestaną je pomnażać. Kościół powinien na takie rozwiązanie przystać, a pomysłów ministra Przemysława Czarnka unikać jak diabeł święconej wody. Ten bowiem pomylił role: zamiast być ministrem edukacji, staje się ministrem banalizacji katolicyzmu. To zła wiadomość nie tylko dla Kościoła, ale także dla państwa.

Jarosław Makowski

eprasa.pl c615e1887d

PRL nie była czarną dziurą

Prof. Walicki najbardziej krytycznie oceniał skręt ideologiczny, jaki dokonał się w Polsce

Rozmawia Paweł Dybicz

PROF. JOANNA SCHILLER-WALICKA
– wicedyrektor Instytutu Historii Nauki im. Ludwika i Aleksandra Birkenmajerów PAN

Kilku moich znajomych, komentując wyróżnienie przyznane wydawcom trylogii prof. Andrzeja Walickiego – Instytutowi Historii Nauki PAN i „Przeglądowi" – uznało decyzję jury za odważną. Z uwagi na to, co prof. Walicki pisał o PRL, III RP i oczywiście Rosji. Pani też tak ocenia decyzję jury?

– Myślę, że odwagę wykazywał przede wszystkim autor tekstów zamieszczonych w trylogii, który nie bał się wypowiadać swoich poglądów mimo społecznych i osobistych kosztów, jakie za to ponosił. Z pełną świadomością, że te poglądy nie są miłe rządzącym, mainstreamowi... Swoim przekonaniom był wierny przez całe życie i nigdy nie poddawał się myśleniu stadnemu. Natomiast odwaga przyznających nagrodę polega na tym, że okazali się ludźmi ceniącymi niezależność, co nieodmiennie powinno wiązać się z postawą ludzi nauki. Istotą bowiem badań naukowych jest właśnie niezależność. Wskazanie jury konkursu jest tym cenniejsze, że teraz, gdy dyskurs polityczny i społeczny zdominowany został przez sprawy międzynarodowe, a zwłaszcza dramatyczne wydarzenia za naszą wschodnią granicą, wydaje się, że wewnętrzne polskie problemy odeszły na dalszy plan. **Porozmawiajmy o tym odmiennym widzeniu problemów Polski przez prof. Walickiego.**

Prof. Walicki walczył przede wszystkim z jednostronnością widzenia PRL, forsowaniem jednolitego, narzuconego odgórnie osądu tego okresu.

– Na pisarstwo Andrzeja Walickiego trzeba patrzeć dwojako. Jego twórczość składa się z dwóch elementów, wzajemnie od siebie zależnych. Pierwszy to dorobek stricte naukowy, tj. pisarstwo uczonego, badacza, który koncentrował się przede wszystkim na problematyce historii idei, historii myśli społecznej i filozoficznej. Drugim natomiast elementem jest publicystyka, będąca wynikiem zaangażowania w sprawy publiczne zwykłego człowieka, obywatela, który, mając wiedzę naukową na temat przeszłości, patrzy i komentuje bieżącą rzeczywistość przez pryzmat tej wiedzy oraz własnych, osobistych doświadczeń naocznego świadka i uczestnika wydarzeń historii Polski XX-wiecznej. Przypomnę, że urodził się w 1930 r., a więc dziewięć lat przed wybuchem II wojny, którą przeżył jako człowiek bardzo młody, ale już w pełni świadomy. Był więc świadkiem wszystkich przeobrażeń, jakie dokonywały się w Polsce w okresie od II do III RP. Świadkiem, który nigdy nie był obojętny wobec tego, co się dzieje. **Tym, co przejawia się w jego działalności publicystycznej, jest wielostronne widzenie zjawisk i rzeczywistości.**

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl c615e1887d

– Wiąże się to z dwiema fundamentalnymi dla prof. Walickiego kwestiami: prawem każdego człowieka do wolności przekonań i równie przynależnym każdemu prawem do różnorodności, pluralizmu poglądów. Te prawa przyznawał sam sobie i o nie walczył nie tylko dla siebie, ale i dla innych. W odniesieniu do epoki, która występuje w tytule jego trylogii – „PRL i skok do neoliberalizmu", walczył przede wszystkim z jednostronnością widzenia tego okresu, forsowaniem jednolitego, narzuconego odgórnie osądu PRL. Uważał bowiem, że tak jak każda inna epoka historyczna czas ten miał blaski i cienie i należy mówić zarówno o jednych, jak i drugich. Mimo że doskonale zdawał sobie sprawę ze zła, które miało wówczas miejsce.

I które również jego dotknęło.

– Tak, okres stalinowski przeżył w sposób niesłychanie dramatyczny i nigdy tego nie ukrywał. Ale mając takie doświadczenia, tym bardziej odczuł przełom październikowy 1956 r. jako znaczące rozszerzenie pola wolności. Dlatego nie do przyjęcia było dla niego widzenie PRL jako monolitu, okresu, który należy z historii Polski wymazać. Uważał za niemądre kwestionowanie państwowości PRL, choćby z tej racji, że wszystkie umowy, porozumienia, dokumenty, które wtedy obowiązywały, należałoby uznać za nieważne.

Państwo o nazwie Polska Rzeczpospolita Ludowa istniało, było kolejnym etapem w historii Polski i jako takie podlega tej samej analizie i badaniom historycznym jak I RP, okres zaborów, kiedy państwa polskiego nie było wcale, czy II RP. Uważał, że historycy, badając te czasy, mają obowiązek wskazywać ich jasne i ciemne strony, wszechstronnie je analizować. Natomiast narzucanie społeczeństwu jednej wizji, jednego oglądu tej epoki, w dodatku schematycznego, płytkiego i powierzchownego, jest działaniem przede wszystkim na szkodę społeczeństwa. Odbiera się bowiem ludziom prawo do ich własnej, osobistej pamięci, fałszując zarazem obraz tego półwiecza, z całą jego ewolucyjnością i wewnętrzną różnorodnością. I w tym względzie nie było zgody między nim a polityką historyczną.

Oboje jesteśmy redaktorami tej trylogii i wiemy, że jest ona mocnym głosem niezgody na odrzucanie ciągłości historii narodu i państwa, w tej kolejności wymieniając – narodu i państwa.

– Nie jest możliwe, żeby z historii, w naszym przypadku niewątpliwie narodu – bo historia powojenna tak się potoczyła, że staliśmy się niemal monolitem etnicznym, narodowym – eliminować jakiś okres, bo politykom on się nie podoba. Andrzej Walicki jasno podkreślał, że PRL nie można traktować jak czarnej dziury i wykreślić jej z naszych dziejów jako czegoś nieistniejącego i głęboko wstydliwego, a ludzi wtedy żyjących uznać za zdrajców interesu narodowego.

I uderzyć w system istniejący w PRL.

– Głównie w ludzi, nie tylko tych, którzy żyli w tamtym czasie, ale i tych, którzy chcą poznać prawdę o PRL.

Trylogia nie odnosi się do samej PRL, ale również do tego, co było i jest po transformacji ustrojowej. Czy to, że prof. Walicki tak długo żył na Zachodzie, wpłynęło na dość negatywną ocenę polskiej transformacji, przede wszystkim jeżeli chodzi o zmarnowanie szansy na stanie się państwem o w pełni demokratycznych zasadach i prospołecznym obliczu?

– W moim przekonaniu prof. Walicki nigdy mentalnie z Polski nie wyjechał, przeniósł się ciałem, ale nie duchem, bo nawet przebywając przez ćwierć wieku na Zachodzie, często Polskę odwiedzał, zwłaszcza po 1989 r. Śledził na bieżąco polską prasę, oglądał polską telewizję, korespondował z przyjaciółmi, którzy zostali w kraju. I zawsze polskimi sprawami nie tylko się interesował, ale też bardzo głęboko przejmował i przeżywał. Widać to zresztą w jego „Dziennikach", których niemałe fragmenty są w trylogii – tam w zasadzie sprawy polskie dominują. A kiedy w 2006 r. wrócił do Polski, był już

Nie jest możliwe, żeby z historii narodu eliminować jakiś okres, bo politykom on się nie podoba.

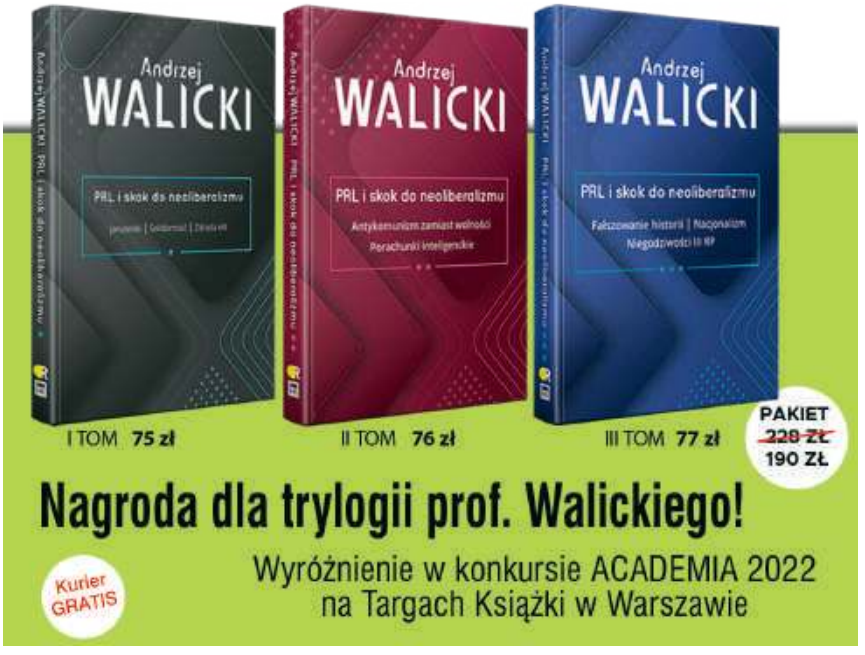

eprasa.pl c615e1887d

naocznym obserwatorem tego, co się w niej dzieje. Na pewno to oddalenie pozwoliło zdobyć szerszą perspektywę, ale kierował się przede wszystkim wiedzą o procesach polityczno-społecznych, własnym rozumem i własną analizą tego, co w Polsce się działo.

We wnioskach bardzo się różnił od polityków i publicystów różnej maści.

– I to widać w tekstach zamieszczonych w tych trzech tomach. Na przemiany dokonane po 1989 r. patrzył przede wszystkim z punktu widzenia społeczeństwa, kosztów, jakie musiało ponieść w związku z nimi, nie tylko szokową terapią gospodarczą Balcerowicza. Prof. Andrzej Walicki uważał, że zmiany te, choć konieczne, nie musiały przebiegać w tak szybkim tempie, że ludzie nie musieli ponieść aż takich ofiar. Z dużą dozą krytycyzmu patrzył też na postępujące rozwarstwienie społeczne, nie mówiąc już o demontażu prawa, szczególnie przez ludzi Zjednoczonej Prawicy.

Na zmiany zachodzące w Polsce patrzył głównie z punktu widzenia historyka idei.

– I dlatego najbardziej krytycznie oceniał skręt ideologiczny, jaki w Polsce się dokonał. O ile w gospodarce zapanował pluralizm, różne formy własności, gospodarowania, wzmocniono samodzielność i ludzką przedsiębiorczość, o tyle w dziedzinie ideologicznej narzucono jednolitą narrację, która miała dotyczyć zarówno przeszłości, jak i teraźniejszości. I z tym nie był w stanie się pogodzić, co nie oznacza, że chciał narzucić wszystkim swój sposób widzenia rzeczywistości. Jak wcześniej mówiłam, był zdania, że narzucanie wszystkim jednolitego myślenia jest głęboko szkodliwe. Ale uważał za swój obowiązek przedstawianie alternatywnej wizji tej rzeczywistości.

Andrzej Walicki nie odmawiał nikomu prawa do zmiany zdania, opinii, ale nie tolerował wypierania się wcześniejszych poglądów.

W trylogii jest bardzo wiele tekstów niepublikowanych, zwłaszcza te pochodzące z jego „Dzienników". Gdy porównuje się to, co pisał w skrytości, z tym, co drukował, głosił, nie widać różnicy. To dowód, że cechowała go jednorodność myśli.

– I konsekwencja w głoszeniu poglądów. Nigdy nie było sytuacji, żeby w tekstach do publikacji pisał co innego niż to, co notował w „Dziennikach". Jedyną różnicą jest być może to, że w „Dziennikach" niektóre myśli formułował ostrzej, w sposób bardziej kategoryczny. A ponieważ był człowiekiem z natury łagodnym i pragnącym nie robić nikomu przykrości, sformułowania te w tekstach drukowanych łagodził. Natomiast jeśli chodzi o samą myśl, ocenę zjawisk, faktów, osób, to nie ma żadnej sprzeczności między tym, co jest w „Dziennikach", a tym, co w druku.

W przeciwieństwie do wielu ludzi, w tym naukowców, prof. Walicki nie zmieniał poglądów.

– Jako człowiek myślący ewoluował – sam twierdził, że z wiekiem przesuwa się w swoich poglądach na lewo. Ale niezmienne pozostawały tzw. imponderabilia, czyli podstawowe zasady, jakimi kierował się w życiu i w pracy naukowej – demokracja, z towarzyszącą jej wolnością ludzi i obywateli, praworządność, sprawiedliwość i uczciwość. Andrzej Walicki nie odmawiał nikomu prawa do zmiany zdania, opinii, ale nie tolerował wypierania się wcześniejszych poglądów.

Oczekiwał wyjaśnienia, dlaczego zmieniło się poglądy?

– Tak, ale przede wszystkim przyznania się do tego. W pełni akceptował i przyjmował postawę: dawniej myślałem tak, ale pod wpływem badań, lektur, biegu wydarzeń uznałem, że moje stanowisko było niesłuszne. Nie mógł natomiast zrozumieć, że ktoś wypiera się sam siebie, zwłaszcza gdy istniało domniemanie, że robi to z przyczyn koniunkturalnych. Odnosił to nie tylko do ludzi nauki, ale do wszystkich. Bardzo krytyczny stosunek miał np. do parlamentarzystów, którzy w trakcie kadencji zmieniali barwy klubowe. Uważał nawet, że powinno to być zabronione, gdyż jest to zdrada wyborców, złamanie umowy między nimi a kandydatem z ugrupowania, na które się głosuje.

Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

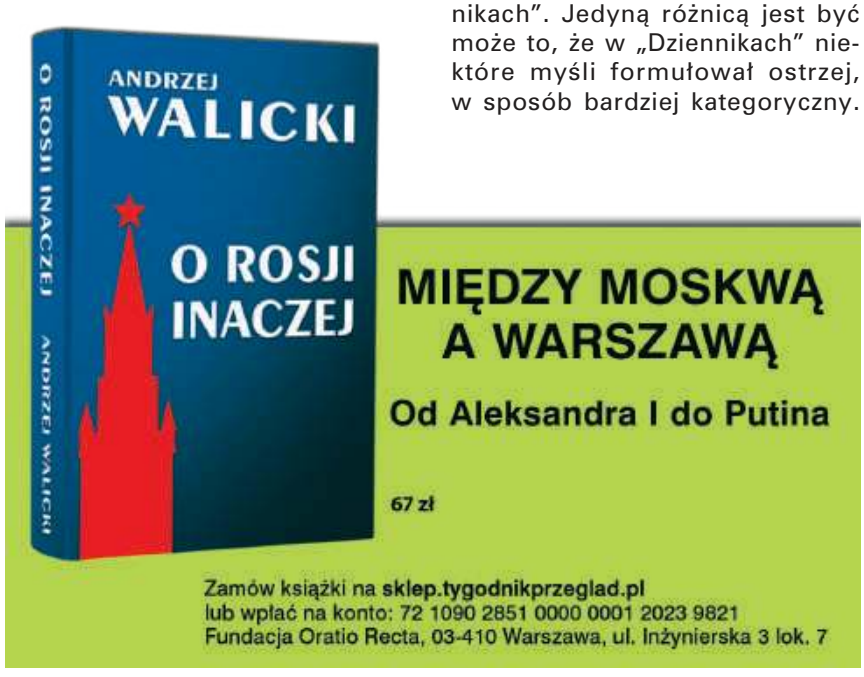

eprasa.pl c615e1887d

Z Galicji

Jan Widacki

Z dala od polityki

Tytuł felietonu wyraża raczej marzenie, niż opisuje rzeczywistość. Wszystko, co nas otacza, co wpływa na nasz los, jest z polityką związane bezpośrednio lub pośrednio. Od polityki uciec się nie da. Ona albo jej skutki dopadną nas wszędzie. Jedyne, co możemy zrobić, to przez chwilę o polityce nie rozmawiać. Ale nawet gdy znajdziemy temat od niej, zdawałoby się, odległy, w końcu ta polityka skądś nam wylezie, wpadnie do dyskursu, choćby jako gość nieproszony, a nawet niepożądany. Skoro jednak człowiek to „zwierzę polityczne" (*zoon politikon*), jak mawiał starożytny filozof, to nic dziwnego. Mimo wszystko spróbujmy na chwilę zapomnieć o wielkiej polityce. O wojnie w Ukrainie, o Izbie Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego i bezczelności PiS, o inflacji… Zatrzymajmy się na chwilę nad kondycją nauki polskiej. Kończy się rok akademicki, jest więc okazja podumać nad poziomem naszej nauki i naszej edukacji wyższej.

Końcówka letniego semestru odbywała się już w warunkach odwołanych ograniczeń związanych z COVID-19. Koniec nauki zdalnej. Studenci mogli wrócić do sal wykładowych i ćwiczeniowych. Wbrew oczekiwaniom wracali niechętnie. Podobnie jak wykładowcy. Najwyraźniej wielu przywykło do nauczania zdalnego, doceniło jego wygodę. To, że takie nauczanie jest mniej efektywne, a egzamin zdalny w dużej mierze to fikcja, nie miało jak widać większego znaczenia. Lepsze nauczanie zdalne niż żadne. Ale gdy można już prowadzić normalne zajęcia, nauczanie zdalne nie ma żadnego sensu. Na wielu uczelniach trwało jednak do końca semestru. Co więcej, podczas sesji studenci obłożeni książkami i ściągami niewidocznymi dla kamery (i egzaminatora) będą udawać, że czegoś się nauczyli, a egzaminatorzy, że wszystko jest w porządku.

Oczywiście konieczność nauczania zdalnego ukazała wielkie, dotąd mało wykorzystywane możliwości. W tej zdalnej formie można odbywać konferencje naukowe, prowadzić konsultacje ze studentami czy doktorantami. Można też od czasu do czasu, zamiast odwoływać wykład z powodu nieobecności profesora, który udał się na zagraniczną konferencję czy na obronę pracy doktorskiej, nagrać go dzień wcześniej i odtworzyć na sali wykładowej na monitorze lub nawet udostępnić na Zoomie czy MS Teamsie. Przez ostatnie dwa lata z konieczności nauczaliśmy zdalnie i nie łudźmy się, że poziom edukacji na tym nie ucierpiał. Wiemy dobrze, że ucierpiał.

Na wszystkich uczelniach, na wszystkich kierunkach studiów powołano komisje ds. jakości kształcenia. Zbierają się one, tworzą jakieś dokumenty, wymyślają jakieś nierealne kryteria, których przestrzegania nikt nie sprawdza. W środowisku brakuje rzetelnej dyskusji podsumowującej zarówno złe, jak i dobre doświadczenia z okresu pandemii i nauczania zdalnego. Takiej dyskusji nie ma, bo… nie ma środowiska.

Kolejną fikcją jest sprowadzona z Ameryki ocena wykładowców dokonywana przez studentów. Na amerykańskim uniwersytecie student opłaca sobie studia, wie, za co zapłacił, uczęszcza więc pilnie na wykłady i nie lubi, jak wykładowca lekceważy jego obecność oraz wydane przez niego pieniądze i nie przykłada się do zajęć. U nas tradycyjnie obecność na wykładach nie jest obowiązkowa. Większość studentów na wykłady nie chodzi. Niekoniecznie z lenistwa, często po prostu w tym czasie pracuje. A oceniają wykładowcę wszyscy, powiedziałbym nawet, że częściej ci, którzy na wykłady nie chodzą. Zresztą nawet oni niechętnie wypełniają ankiety z ocenami. W efekcie wykładowcę i prowadzone przez niego zajęcia ocenia nie – jak powinno – kilkudziesięciu czy ponad 100 studentów, ale kilka, góra kilkanaście osób. Ankiety te, o których każdy mający jakie takie rozeznanie w metodologii badań wie, że są niereprezentatywne, a więc bezwartościowe, przetwarza się (łamiąc elementarne zasady) statystycznie, a ich wyniki (co z tego, że bezwartościowe) ilustruje wykresami, najczęściej słupkowymi, i umieszcza w sprawozdaniach. Strata czasu, ale wizytująca raz na cztery lata każdy wydział Polska Komisja Akredytacyjna takich opartych na fikcji dokumentów wymaga.

Aby zamknąć już temat dydaktyki na uczelniach, parę słów trzeba poświęcić programom studiów. To, że ich ułożenie nie jest poprzedzone żadną refleksją, żadną dyskusją, kogo dany kierunek studiów ma wykształcić, tylko analizą, ile godzin któremu pracownikowi naukowemu trzeba przydzielić, aby wypełnił swoje pensum dydaktyczne, wiadomo od dawna. Od kilku lat (znów jeden z wymogów PKA) program studiów ma być konsultowany z „interesariuszami zewnętrznymi". Studia z założenia mają być bardziej „praktyczne". PKA sprawdza, jak dany kierunek (badania, dydaktyka) wpływa na otoczenie „społeczno-gospodarcze". Nie wiem, jak sobie z tym radzą filozofowie, ale są to na ogół ludzie inteligentni, więc pewnie coś tam inteligentnie zmyślają, a PKA się cieszy.

Ostatnim etapem kształcenia wyższego jest kształcenie doktorów. Przypuszczam, że w różnych dyscyplinach i na różnych uczelniach wygląda to różnie. Tak dalece różnie, że doktorat doktoratowi nierówny. W naukach prawnych w ostatnich latach zaczęła się praktyka powoływania na recenzentów osób niekoniecznie znających się na dyscyplinie, z której jest doktorat, ale wyłącznie spośród osób znających się z promotorem, a nawet z doktorantem. Tak to niedawno doktorat pewnej osoby publicznej, choć dotyczył procedury cywilnej, recenzował specjalista z zakresu prawa międzynarodowego publicznego. W habilitacji innej osoby publicznej, zajmującej się prawem konstytucyjnym, recenzentami byli specjaliści od prawa… gospodarczego. A nad tym wszystkim czuwa ciało o pretensjonalnej nazwie Rada Doskonałości Naukowej.

Taka garść refleksji na zakończenie roku akademickiego. I tak, chcąc nie chcąc, doszliśmy do polityki.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c615e1887d

Przyduszeni długami

Co dziesiąty Polak nieterminowo reguluje swoje zobowiązania

Helena Leman

O pieniądzach, zwłaszcza o tych pożyczonych, wiele osób nie chce rozmawiać. To temat tabu, wstydliwie skrywany i od razu wzbudzający nerwowość. Właścicielka sklepiku ze starociami, w którym można wygrzebać prawdziwe cuda po przystępnych cenach, płoszy się, gdy pytam ją o kredyt. Twierdzi, że pożyczek nigdy nie brała, bo są dla niej za drogie, nie wyszłaby na swoje. Dzięki wiernym klientom i wyrozumiałym dostawcom jakoś przetrwała czas covidowego zamknięcia, planuje przetrwać też czasy szalejącej inflacji. – Mam stałych dostawców, jestem z nimi zaprzyjaźniona, w razie czego poczekają na zapłatę – dodaje.

Emerytka, z którą rozmawiam przed dworcem w Elblągu, zamierzała wziąć 4 tys. zł kredytu na odnowienie mieszkania, ale gdy się okazało, że za trzy lata musiałaby oddać 7,5 tys., zrezygnowała. Jeszcze nie wie, co zrobi, może pożyczy od dzieci albo od znajomych.

Szefowa spożywczaka w miasteczku na Pomorzu mówi, że pracuje na okrągło w „piątek, świątek i niedzielę", bo ma na głowie pożyczkę oraz samochód i wyposażenie sklepu w leasingu. Na szczęście kredyt ma ze stałym oprocentowaniem. – Taka piękna wiosna, aż żal tutaj siedzieć, ale nie mam innego wyjścia, sklepu opuścić nie mogę nawet na chwilkę, bo zaraz podnosi się krzyk, klienci się dobijają, dzwonią, a najgłośniej krzyczą ci, którzy żyją na koszt państwa – podsumowuje.

W internecie można przeczytać wiele szokujących relacji ze zmagania się Polaków z długami i firmami windykacyjnymi. Na Facebooku działa grupa „Pokonaj swoje długi", gdzie można znaleźć wsparcie i wymienić się informacjami.

Z raportu „InfoKREDYT" wynika, że według danych Komisji Nadzoru Finansowego aż 33% ankietowanych wzięło pożyczkę na remont mieszkania, a 24% zaciągnęło kredyt, aby spłacić inne zadłużenia. Zwłaszcza ta ostatnia informacja jest niepokojąca, gdyż te osoby mogą wpaść w spiralę długów. Na koniec ubiegłego roku według Krajowego Rejestru Długów w Polsce było ok. 200 tys. emerytek i 157 tys. emerytów z przeterminowanymi długami.

– Statystyki prowadzone przez nasze biuro wskazują, że podwyższenie stóp procentowych przełożyło się na zwiększenie zapytań naszych klientów w związku z utratą płynności finansowej. Nastąpił wzrost o 23% – przyznaje Joanna Olszewska z Krajowego Biura Pomocy Zadłużonym.

Długi zabijają radość życia

Krajowe Biuro Pomocy Zadłużonym jest inicjatywą oddolną prowadzoną przez Fundację Rozwoju Świadomości Obywatelskiej Experto Pro Bono w Zamościu. W Polsce ma 34 punkty nieodpłatnej pomocy prawnej, w których pracuje ok. 50 radców prawnych, adwokatów i doradców obywatelskich.

– Nasza pomoc kierowana jest przede wszystkim do konsumentów pokrzywdzonych przez nieuczciwe praktyki stosowane przez firmy parabankowe udzielające tzw. chwilówek – wyjaśnia Joanna Olszewska. – Do wzięcia chwilówki w dzisiejszych czasach wystarczy dostęp do internetu, dowód osobisty i 30 minut wolnego czasu. Nie jest nawet wymagany własnoręczny podpis – tożsamość stwierdza się na podstawie przelewu dokonanego z rachunku bankowego pożyczkobiorcy. Rzadko weryfikowana jest zdolność kredytowa pożyczkobiorcy. Z naszych obserwacji wynika, że częściej dzieci wykorzystują rodziców do zaciągania nowych zobowiązań niż odwrotnie. Przemoc ekonomiczna rzeczywiście występuje, pożyczki nieraz są wymuszane, a nie

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c615e1887d

dawane z dobroci serca. Potem tacy przymuszeni pożyczkobiorcy, zastraszani telefonami, SMS-ami, mejlami czy wizytami windykatorów terenowych, tracą radość życia i każdy nowy dzień traktują jako potencjalny dzień ataku windykatora.

Choć w Polsce od 2006 r. obowiązuje ustawa antylichwiarska, wielokrotnie zmieniana, ostatnio na początku tego roku, i tak lichwy nie dało się do końca wyplenić.

– Pomijając już wysokie prowizje i odsetki chwilówek, największym zagrożeniem w takich pożyczkach są ukryte lub niejasno przedstawione rzeczywiste koszty zaciąganego zobowiązania – tłumaczy Joanna Olszewska. Firmy pożyczkowe namawiają też do tzw. rolowania pożyczek, czyli brania kolejnej pożyczki w celu spłaty poprzedniej. Rzeczywiście taka sytuacja powoduje odroczenie terminu płatności o kolejne tygodnie, miesiące, ale prowadzi również do zwiększenia kosztów i prowizji, właśnie w taki sposób powstają klasyczne spirale zadłużenia.

Gdy do tego dojdą zaniedbania procesowe, nieodbieranie korespondencji sądowej, może to doprowadzić nawet do upadłości konsumenckiej.

Joanna Olszewska: – Postępowanie o zapłatę jest precyzyjne. Jeśli dłużnik nie złoży sprzeciwu od nakazu zapłaty do sądu w terminie 14 dni, bardzo trudno jest później podważyć wydany tytuł wykonawczy uprawniający do wszczęcia egzekucji komorniczej. Dłużnicy nieodbierający listów często dowiadują się o prowadzonej windykacji, gdy komornik zajmuje rachunek bankowy. Upadłość konsumencka zaś to postępowanie sądowe skierowane do osób fizycznych, które na skutek zaciągniętych zobowiązań stały się niewypłacalne. Jego celem jest ich oddłużenie. Lecz upadłość niesie też konsekwencje, takie jak brak możliwości swobodnego zarządzania majątkiem. Syndyk zajmie nam wynagrodzenie za pracę i środki na koncie bankowym do pewnej wysokości, może zlicytować mieszkanie, samochód. W trakcie postępowania upadłościowego żaden bank nie udzieli nam kredytu.

Zdarzało się, że dłużnik zaciągał pożyczki, by zapłacić firmie oddłużeniowej.

Każdemu zadłużonemu można pomóc. Trzeba tylko chcieć i wiedzieć jak.

W Krajowym Biurze Pomocy Zadłużonym procedura upadłościowa jest odpłatna, gdyż to złożony proces, wymagający współpracy kancelarii prawnych i analityków, ale poprzedzająca ją analiza sytuacji finansowej klienta jest darmowa.

Nakaz zapłaty to nie koniec świata

Piotr Soboń z gdańskiej kancelarii AntyWindyk jest zabiegany, rozmawia ze mną w przerwach między rozprawami i załatwianiem spraw na mieście. Otwarcie przyznaje, że prawnikiem nie jest, uczył się na własnych błędach, gdyż sam kiedyś był zadłużony. Zebrał zespół 20 specjalistów i pomaga ludziom od 2015 r. Jego kancelaria oddłuża odpłatnie i ma przedstawicieli na terenie całego kraju, a na koncie ponad 1,2 tys. wygranych spraw.

– Co dziesiąty Polak nieterminowo reguluje swoje zobowiązania – mówi Soboń. – Za długi nie idzie się do więzienia. Nakaz zapłaty z sądu to jeszcze nie koniec świata. Wystarczy od niego wnieść sprzeciw, tylko trzeba wiedzieć, co w tym sprzeciwie napisać, a od tego są takie kancelarie jak nasza. Zawsze bezpłatna jest u nas analiza sprawy i przedstawienie możliwości działania, dopiero potem podpisujemy umowę.

Najlepiej jednak nie czekać, aż bank złoży pozew do sądu, a ten wystawi nakaz, i uprzedzić te działania. – Jednym z rozwiązań – podpowiada Piotr Soboń – jest układ konsumencki, który inicjujemy w imieniu klienta, łącząc wszystkie jego zobowiązania w jeden spójny plan spłaty i występując o uznanie go przez sąd. Postępowanie układowe trwa krócej, z reguły kilka miesięcy, podczas gdy proces na podstawie pozwu toczy się minimum pół roku, a czasem nawet kilka lat. Podczas procesu bronimy klienta, dążąc do oddalenia powództwa w całości, lub występujemy z propozycją ugodową. W wyniku układu konsumenckiego dłużnik nie traci majątku jak przy upadłości konsumenckiej. Upadłość to czasem ostatnia deska ratunku. Skuteczność praktycznie stuprocentowa. Każdemu można pomóc. Trzeba tylko chcieć i wiedzieć jak.

Większość klientów kancelarii to zwyczajni ludzie, którzy popadli w długi często z powodu splotu niekorzystnych okoliczności. – Zdarzyła się rodzinna tragedia, choroba, na leczenie której potrzebne były pieniądze. W przypadku firm nieuczciwy kontrahent nie zapłacił albo leasingi przydusiły – wymienia Soboń. – Dziś wystarczy kilka tirów w leasingu, a już ma się kilkanaście tysięcy zobowiązań miesięcznie więcej. Coraz bardziej ciążą ludziom kredyty hipoteczne, których raty w wyniku podniesienia stóp procentowych wzrosły od 50% do nawet 80%. Jeśli ktoś miał domowy budżet na styk, staje przed dylematem: albo rata, albo chleb. Sięga po dodatkowe pożyczki, zapędzony do narożnika przestaje spłacać gotówki i chwilówki, ale hipotekę trzyma, bo nie chce stracić domu. I popełnia błąd, gdyż łatwiej byłoby nam wyprostować jego historię finansową, gdyby miał jeden zaległy kredyt zamiast kilkunastu.

Przy kancelarii AntyWindyk powołano też fundację, która w określonych sytuacjach może reprezentować zadłużonych bezpłatnie. Nikt tu nie liczy klientów, ale Piotr Soboń mówi, że do kancelarii zgłasza się ich nawet 30 dziennie, wielu z polecenia, także od komorników.

Z osiemdziesięciu tylko dziesięć

Gdy 20 maja dzwonię do Rafała Doroszczuka z firmy oddłużeniowej Finanse dla Ciebie, dowiaduję się, że tego dnia było ok. 80 zgłoszeń. – Z tych 80 osób 20 pewnie nie skontaktuje się ponownie, a ok. 50 nie będzie się nadawało do pomocy ze względu na ich historię kredytową – ocenia Rafał

eprasa.pl c615e1887d

Doroszczuk. – Zostanie więc finalnie jakieś dziesięć osób, którym będziemy w stanie pomóc uzyskać w banku kredyt oddłużeniowy, bo tym się zajmuje nasza firma. Konsolidujemy chwilówki, pożyczki gotówkowe, porządkujemy historię kredytową, tak aby przedstawić naszego klienta w banku w jak najlepszym świetle. Wynagrodzenie za naszą usługę wliczone jest w uzyskany kredyt.

Gdy pytam, kto szuka pomocy w jego firmie, odpowiada, że przekrój wiekowy klientów jest szeroki – od 20-latków do seniorów, z przewagą tych pierwszych, ostatnio zgłaszają się roczniki 2000 i 2001. Średnie zadłużenie zgłaszających się w chwilówkach to 20 tys. zł, najwyższe 70 tys.

Zarabianie na dłużnikach

Nie wszystkie firmy oddłużeniowe chcą rozmawiać. „Nie będziemy udostępniać swoich informacji wewnętrznych", słyszę nieraz. Do niektórych firm trudno się dodzwonić, pozostaje więc kontakt drogą elektroniczną przez czat, mejl lub wypełnienie zgłoszenia na stronie. Dla zdesperowanego dłużnika, np. seniora, to nie to samo co bezpośrednia rozmowa telefoniczna.

– W procesie oddłużania ważny jest człowiek – podkreśla Joanna Olszewska. – Zawsze staram się najpierw zrozumieć problem, porozmawiać i zapewnić, że dołożymy wszelkich starań, aby pomóc takiej osobie.

Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów na swojej stronie radzi, by zwrócić uwagę, czy firma oddłużeniowa wymaga zapłaty jeszcze przed podpisaniem umowy i oceną sytuacji finansowej. Jeśli tak, należy sprawdzić, czy w razie odmowy przyjęcia zlecenia firma zwróci pieniądze. Kolejna ważna kwestia to rodzaj prowizji – czy jest to opłata jednorazowa i w jakiej wysokości, czy też opłaty abonamentowe, a może przedsiębiorca dodatkowo przewiduje wynagrodzenie „od sukcesu". Wysokość opłat może również zależeć od rozmiaru zadłużenia w sprawie, w której przedsiębiorca zobowiązuje się podjąć negocjacje. Urząd przypomina, że pomoc prawną świadczą także miejscy i powiatowi rzecznicy konsumentów.

Joanna Olszewska mówi, że zadłużeni często skarżą się na „abonamenty". – Duża część firm, zwykle prowadzona w formie spółek kapitałowych, wprowadza usługi abonamentowe w postaci miesięcznych opłat za pozostawanie w „gotowości do świadczenia pomocy". Taki abonament może sięgać 500 zł miesięcznie. Nierzadko też firmy zastrzegają sobie dwucyfrowy procent od zaoszczędzonej kwoty. Te dodatkowe zobowiązania pogrążają dłużnika. Spotkaliśmy się z sytuacją, że dłużnik zaciągał pożyczki, by zapłacić firmie oddłużeniowej. Nierzadko umowy z tymi kancelariami skonstruowane są w taki sposób, że bardzo trudno je wypowiedzieć, nie narażając się na dodatkowe koszty.

Jak znaleźć w gąszczu ofert wiarygodną firmę oddłużeniową, radzi Piotr Soboń: – Należy przeprowadzić jej dokładną weryfikację, sprawdzić na stronie, czy podmiot ma jakieś udokumentowane sukcesy, ile ma wygranych spraw, czy wyroki są do wglądu, trzeba poza tym zwrócić uwagę na opinie klientów, zwłaszcza te rozłożone w czasie. Brak opinii albo same pozytywne jedna po drugiej – już to powinno zastanawiać. Należy też sprawdzić, jak długo firma działa na rynku, gdyż w tej materii liczy się doświadczenie. Są kancelarie, które mają supermarketing, a ludzie od nich wracają do nas, bo tamci wzięli pieniądze i nic nie zrobili.

Sprawdzam zatem jedną z firm, dość popularną. Na stronie internetowej wyeksponowane cztery opinie, bardzo pozytywne, bez dat. Wystarczy jednak poszperać na forum, by znaleźć te negatywne. Ludzie skarżą się na utrudniony kontakt, na podejście do klienta. Gros opinii jest starych, bieżących niewiele. W zakładce o sukcesach cztery postanowienia, wyrok, dwie ugody – wszystkie dokumenty z lat 2015-2017.

W wyniku układu konsumenckiego dłużnik nie traci majątku jak przy upadłości konsumenckiej.

Rolnicy pod kreską

15 lutego br. Zarząd Krajowej Rady Izb Rolniczych, popierając wniosek Podlaskiej Izby Rolniczej, zwrócił się do ministra rolnictwa i rozwoju wsi Henryka Kowalczyka w sprawie zwiększenia środków finansowych na restrukturyzację zadłużenia podmiotów prowadzących gospodarstwa rolne. W odpowiedzi z 20 kwietnia minister pisze, że producenci rolni mogą się ubiegać o pomoc w formie przejęcia przez Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa długu podmiotu prowadzącego gospodarstwo rolne w zamian za przeniesienie własności nieruchomości na skarb państwa. Ale w planie KOWR w tym roku zabezpieczono na ten cel zaledwie 50 tys. zł.

Zdzisław Łuba z Podlaskiej Izby Rolniczej mówi, że z takimi pismami zwracają się rokrocznie od kilku lat, a w tym roku sytuacja jest krytyczna. – Popłyniemy niedługo wszyscy przez ten wzrost stóp procentowych. W covidzie inne sektory gospodarki dostały 220 mld z tarczy, a rolnicy ani grosza. Obecnie drastycznie wzrosły ceny nawozów, środków ochrony roślin, paliwa i energii elektrycznej. Co trzeci litr mleka w Polsce pochodzi z Podlasia, w sklepach mleko kosztuje ok. 3 zł, a my od mleczarni dostajemy 2 zł za litr, przy dobrych wiatrach 2,40. Wszystkie ciągniki, belarki, kosiarki są teraz najnowszej generacji, samemu nie naprawisz, godzina pracy mechanika kosztuje 250 zł, przyjedzie dwóch – i 500 zł nie ma. A przez godzinę niewiele zrobią.

Do kancelarii AntyWindyk zgłaszają się też rolnicy prowadzący większe gospodarstwa. – Ich problemy wynikają często z nagłych przyczyn – tłumaczy Piotr Soboń. – Na przykład w mleku znaleziono bakterię, skupy czy sieci handlowe nie wypłaciły środków na czas lub drastycznie zaniżyły cenę, zdarzyły się choroba zwierząt, susza, wichura. Niektórzy zmieniają profil gospodarstwa, a i tak nie mogą wyjść na prostą.

„Wielu naszych kolegów odebrało sobie życie lub podjęło próby

eprasa.pl c615e1887d

samobójcze. Co chwilę słyszy się w naszym środowisku, że ktoś nie wytrzymał. O tym nie pisze się w mediach ani nie mówi się głośno, ponieważ dla rodzin zmarłych jest to często wstydliwy temat. Policja nie podaje również do informacji publicznej oficjalnych statystyk takich przypadków. Nie ma psychologów, psychiatrów, nie ma ludzi, którzy pomagają wychodzić z kryzysów, zarówno ekonomicznych, jak i psychicznych. To ogromna porażka naszego kraju", mówił w styczniu br. portalowi Na Temat Michał Kołodziejczak, rolnik i lider Agrounii.

Koszty społeczne

– Zadzwoniła do nas kiedyś starsza kobieta, szukała pomocy, grozili jej windykatorzy – opowiada Piotr Soboń. – Gdy później próbowaliśmy się z nią skontaktować, okazało się, że nie żyje. Odebrała sobie życie, bo myślała, że zabiorą jej szafę i telewizor, a nawet wyroku nie było. Obecnie trwają prace nad ustawą o windykacji, to trzeba ucywilizować.

Podobnie uważają w Krajowym Biurze Pomocy Zadłużonym. – Windykatorzy odwiedzają rodziny dłużników, straszą wizytami u pracodawców, wszczęciem postępowań karnych za rzekome wyłudzenia pieniędzy. Ludzie się wstydzą, często są zupełnie sami, dochodzi do aktów desperacji. Według projektu ustawy ma zostać powołany Centralny Rejestr Firm Windykacyjnych i Windykatorów. Oznacza to, że firmy windykacyjne będą musiały uzyskać zgodę na działalność, a windykatorzy licencję. Tylko te podmioty będą mogły prowadzić czynności. Projekt zakłada także pisemny sprzeciw dłużnika wobec prowadzenia czynności windykacyjnych. Po wyrażeniu takiego sprzeciwu dłużnik będzie mógł iść z tym do sądu. Rozwiązanie to pozwoli odetchnąć ludziom nękanym przez windykatorów w sprawach niejednoznacznych. Ustawa ma ograniczyć uciążliwe praktyki, np. wizyty domowe będą możliwe tylko za zgodą dłużnika.

„Jak wynika z policyjnych statystyk, jedna trzecia samobójców zabija się z powodów ekonomicznych, w tym z powodu długów", mówił mediom Roman Pomianowski, psycholog oraz prezes stowarzyszenia Program Wsparcia Zadłużonych.

Co trzeci samobójca zabija się z powodów ekonomicznych, w tym z powodu długów.

Samobójstwa rolników są problemem globalnym, ich liczba rośnie. Podczas gdy kraje zachodnie wprowadzają infolinie wiejskie, by pomóc osobom w kryzysie, w Polsce nie prowadzi się nawet odrębnej statystyki dla tej grupy, nie znamy rozmiaru zjawiska. Gdy 1 czerwca dzwonię do Podlaskiej Izby Rolniczej, słyszę, że poprzedniego dnia wieczorem odebrał sobie życie 42-letni rolnik z powiatu łomżyńskiego. Miał długi, osierocił dzieci.

Helena Leman
h.leman@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c615e1887d

Na naszym niebie widać ciężkie wojskowe samoloty transportowe Boeing C-17.

Ciasne niebo nad Polską

Wraz z wojną w Ukrainie zrobiło się gęsto w naszej przestrzeni powietrznej

Marcin Ogdowski

Przez większość historii lotnictwa to, co działo się nad Polską, miało peryferyjny wymiar. Nawet podczas II wojny światowej – po bezprecedensowej aktywności niemieckich bombowców we wrześniu 1939 r. nastało kilka lat względnego bezruchu. Potężna kampania lotnicza zachodnich aliantów skoncentrowana była na Rzeszy – brytyjskie i amerykańskie samoloty tylko czasami zapuszczały się nad nasze terytorium. Radzieckie lotnictwo przede wszystkim wspierało walczące na ziemi oddziały, przesunęło się więc przez Polskę stosunkowo szybko, wraz z frontem na przełomie 1944 i 1945 r. Po wojnie intensywnie rozwinęło się w kraju lotnictwo sportowe, ale cywilny ruch pasażerski do końca PRL pozostał znikomy. „Rozhulało się" za to lotnictwo wojskowe – wielu dzisiejszym entuzjastom sił powietrznych trudno uwierzyć, że w latach 70. armia dysponowała ośmiokrotnie większą liczbą maszyn niż obecnie. Natomiast lata 90. to okres wielkiej lotniczej smuty – Polaków wciąż nie było stać na odległe eskapady, wojsko zaś gnębił niedosyt paliwa lotniczego. Godzina lotu takiej maszyny jak MiG-29 kosztowała tyle, ile miesięczny wikt dla kompani poborowych, migi zatem z rzadka wzbijały się w powietrze. Pilot z tamtych czasów wspomina, że nalatywał rocznie 30-40 godzin, gdy minimum dla podtrzymania nawyków wynosiło 80-100 godzin.

Amerykański wschód

Wejście Polski do Unii Europejskiej, która sfinansowała rozbudowę lotnisk, rosnąca zamożność Polaków oraz pojawienie się tanich linii sprawiły, że niebo wypełniło się odrzutowymi maszynami pasażerskimi na nieznaną dotąd skalę. Wraz z nastaniem „ery F-16" siły powietrzne wyszły z paliwowego dołka, na początku drugiej dekady XXI w. zapewniając pilotom naloty na przyzwoitym poziomie. I choć rosło jednocześnie grono prywatnych użytkowników samolotów i śmigłowców, globalna perspektywa nadal kazała widzieć Polskę jako lotnicze peryferia. Wystarczy przyjrzeć się natężeniu ruchu nad zachodnią Europą i Stanami Zjednoczonymi w popularnym serwisie Flightradar24, pozwalającym na lokalizowanie statków powietrznych w czasie rzeczywistym. Pokazuje on trasę, miejsce startu i lądowania, numer lotu, typ maszyny, aktualną pozycję, wysokość, kierunek i prędkość. Oczywiście nie ma tam wszystkiego. Usługa opiera się na śledzeniu sygnałów nadawanych przez transpondery, tymczasem wojskowe samoloty i maszyny specjalne mają możliwość zmiany trybów nadawania sygnałów, tak by stały się niewidoczne dla cywilnych odbiorników.

Prowincjonalny charakter polskiego nieba zaczął odmieniać kryzys wywołany przez Władimira Putina. Groźby wobec Ukrainy i NATO, a przede wszystkim koncentracja wojsk rosyjskich przy ukraińskiej granicy, pchnęły zachodnie rządy do bezprecedensowych działań. Zaczęło się przebazowanie wojsk, w tym komponentów lotniczych, także na terytorium Rzeczypospolitej. Dodatkowe tysiące amerykańskich żołnierzy przyleciały do nas czarterami takich linii jak Atlas Air czy United Airlines. Wojskowi lądowali w Warszawie, Szczecinie, Katowicach, no i w Rzeszowie, gdzie siadała większość maszyn wiozących cargo. Pośród sprzętu dostarczonego na wschodnią flankę znalazło się mnóstwo śmigłowców, głównie wielozadaniowych UH-60 i szturmowych AH-64. Obecność żołnierzy USA to element *show of force*

FOT. USAF

eprasa.pl c615e1887d

(ang. prezentacja siły), co odbywało się także – i nadal odbywa – poprzez intensywne ćwiczenia. Ledwie zatem wyładowano śmigłowce, ich załogi przystąpiły do lotów. Dziś na wschodzie kraju łatwiej wypatrzyć helikopter z oznaczeniami amerykańskiej armii niż z biało-czerwoną szachownicą. Podobnie jest z aktywnością lotnictwa typowo bojowego. Nie rejestruje jej Flightradar24, ale to, co widać gołym okiem i czego dowiadujemy się z oficjalnych komunikatów, daje wyobrażenie o skali przedsięwzięć.

Lotnicza menażeria

Długo by wyliczać typy maszyn stacjonujących w Polsce bądź tylko zapuszczających się tu w ramach sojuszniczych patroli. Dość wspomnieć o wizytach B-52, najpotężniejszych bombowców świata. Trzydzieści kilka lat temu ich przelot nad naszym krajem oznaczałby drugi rozdział atomowego armagedonu (pierwszym byłyby ataki rakietowe), współcześnie boeingom towarzyszyły jako eskorta polskie myśliwce. Wedle dostępnych danych B-52, które latały w ostatnich tygodniach nad Polską, nie przenosiły ładunków jądrowych, co nie zmienia faktu, że ich pojawienie się przyjęto w Moskwie z niepokojem. Bo i taki był cel, podobnie jak w przypadku przeniesienia do Polski amerykańskich myśliwców F-15, z których część delegowano do natowskiej misji Air Policing, czyli ochrony przestrzeni powietrznej Litwy, Łotwy i Estonii. Piętnastki cieszą się renomą najskuteczniejszych samolotów bojowych pozostających w służbie – udokumentowano na nich ponad setkę zestrzeleń (głównie na Bliskim Wschodzie) przy zerowych stratach tego typu maszyn. „Nowicjusz", jakim przy F-15 jest F-35, także zagościł na polskim niebie. I nie były to wyłącznie maszyny USAF, ale również brytyjskie i holenderskie – te ostatnie gościnnie, w drodze do Bułgarii. Poza tym przylatują do nas francuskie rafale i mirage 2000, belgijskie F-16, niemieckie eurofightery i amerykańskie F/A-18.

Cała ta lotnicza menażeria wymaga odpowiedniego wsparcia – stąd widoczne na polskim niebie latające cysterny. Widoczne gołym okiem (choć na dużej wysokości), ale i na Flightradarze – takie misje bowiem nie mają zwykle gryfu tajności. Podanie paliwa w powietrzu realizują u nas najczęściej amerykańskie boeingi KC-135, lecz pojawiają się również np. A330 od Airbusa, należące do MRTT Fleet (ang. Multinational Multi-Role Tanker Transport), wielonarodowej flotylli tankowców/transportowców, z której swego czasu „wypisał" nas Antoni Macierewicz (pieniądze na polski udział w projekcie wydając na zakup samolotów dla VIP-ów). Tankowce nad Polskę wysyłają też Brytyjczycy, Francuzi i Włosi.

Nie jest tajemnicą, że Ukraińcy otrzymują wsparcie wywiadowcze od NATO. Rozpoznanie lotnicze to jedna z najefektywniejszych metod zbierania danych. Nim zaczęła się rosyjska inwazja, samoloty Sojuszu regularnie odbywały loty w przestrzeni powietrznej Ukrainy (zasięg ich sensorów pozwalał na zbieranie danych z głębi rosyjskiego i białoruskiego terytorium). Misje te wykonywały przede wszystkim należące do USA boeingi RC-135, obserwowano również bezzałogowe RQ-4 Global Hawk. Nie bez powodu użyłem określenia „obserwowano", operacje te bowiem prowadzone były niezwykle transparentnie. Nie dla uciechy fanów Flightradaru, ale dla wiedzy Rosjan, których tym sposobem informowano o czujności Sojuszu. Wraz z wybuchem działań zbrojnych natowskie samoloty rozpoznawcze znikły z przestrzeni powietrznej Ukrainy – dziś realizują zadania głównie wzdłuż naszej wschodniej i północnej granicy.

Status humanitarny

Lecz to nie misje SIGINT (*signals intelligence*, rozpoznanie elektromagnetyczne) stanowią o nasyceniu polskiego nieba. Odpowiadają za nie w miażdżącej większości loty transportowe. Nasz kraj stał się hubem logistycznym dla Ukrainy, obsługującym dostawy pomocy wojskowej i humanitarnej. Znów długo by wymieniać typy samolotów, siły powietrzne i komercyjnych przewoźników lądujących na naszych lotniskach (chodzi rzecz jasna głównie o kraje i samoloty NATO). Przywołam najciekawsze przykłady, jak choćby pakistańskie, jordańskie i tunezyjskie herculesy, kuwejckie C-17 i brazylijskiego embraera C-390.

Na koniec warto dodać, że to z Polski zaczynają podróże do Kijowa zagraniczne delegacje (z uwagi na ryzyko strącenia docierające do ukraińskiej stolicy koleją). I że choć Rzeczpospolita – jak cała Unia – zamknęła niebo dla rosyjskich samolotów, istnieją wyjątki. Wszystko zależy od statusów – jeśli mamy do czynienia z lotem humanitarnym czy *emergency* (ang. nagły wypadek; taki status przysługuje np. samolotom wiozącym ekipy ratunkowe), piloci mają zielone światło. Przy czym kategoria humanitarna jest dość szeroka – kilka tygodni temu przepuściliśmy iła-76 z paliwem jądrowym dla Słowacji.

W latach 70. armia dysponowała ośmiokrotnie większą liczbą maszyn niż obecnie.

Dziś trudno ocenić, czy rosyjscy przewoźnicy wrócą nad nasz kraj. Nie sposób przewidzieć, kiedy ograniczony zostanie natowski pokaz siły. Faktem jest, że zwiększona obecność wojskowa USA w Polsce to element rzeczywistości, z którym trzeba się pogodzić. Komercyjny ruch lotniczy szczyt ma już za sobą. Po pierwsze, z powodu pandemii COVID-19, po drugie – z powodu rosnących cen paliw. Ponadto rośnie świadomość ekologiczna klientów, którzy coraz częściej zwracają uwagę na ślad węglowy. To wszystko sprawia, że obecny tłok na polskim niebie może się okazać chwilową odskocznią od peryferyjnej codzienności. Z drugiej strony nadchodzi era dronów, dla których planuje się rozległe zastosowania. Ale to już zupełnie inna historia.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c615e1887d

Jan Opielka

Bezpieczne

Polska przyjęła kilkaset tysięcy dzieci uchodźców. Szkoda, że nie wszystkie traktujemy tak samo

Już ok. 200 tys. dzieci z Ukrainy uczęszcza do polskich przedszkoli, podstawówek i szkół ponadpodstawowych. Dużo – a i tak to nie wszystkie, które wraz z matkami czy innymi krewnymi znalazły schronienie w Polsce. Bo pół miliona dzieci nie korzysta z polskich instytucji edukacyjnych – są albo za małe i jeszcze nie chodzą do przedszkola, albo uczą się zdalnie, pozostając w kontakcie ze szkołami w Ukrainie. W wielu polskich miastach władze lokalne lub inne organizacje udostępniają miejsca do prowadzenia zajęć edukacyjnych, ważnych szczególnie dla tych dzieci, które nie mają żywego kontaktu z rówieśnikami. Dodatkowo w licznych szkołach zatrudniane są Ukrainki, które wspierają uczniów jako asystentki polskich nauczycielek i nauczycieli. Wreszcie wsparcie oferują liczne osoby prywatne, podmioty i organizacje pozarządowe. A jest ono potrzebne, także w formie pomocy psychologicznej.

Przyjazne miejsce

W Gliwicach taką pomoc organizuje Alicja Baranek. Jako psychoterapeutka poznawczo-behawioralna od sześciu lat prowadzi w centrum miasta przychodnię, którą w weekendy udostępnia jako przestrzeń spotkań dla ukraińskich dzieci, młodzieży i dorosłych. Kilkadziesiąt młodych osób już od marca regularnie korzysta z tej placówki – a przy tym z pomocy Iriny Ovchar, doświadczonej psychoterapeutki z Ukrainy. Kobieta uciekła spod Kijowa i dotarła do Gliwic z dwójką dzieci. W Kijowie pracowała jako specjalistka psychoterapii dziecięcej i młodzieżowej, w prywatnej szkole prowadziła lekcje i udzielała konsultacji dla młodzieży i rodziców. Od kilku miesięcy mieszka w Gliwicach, ale nadal „tam" pracuje: zdalnie prowadzi zajęcia dla swoich uczniów w Ukrainie. W Gliwicach udziela się zaś jako wolontariuszka. „Nie potrafię pracować zbyt długo, bo jest to dla mnie duże obciążenie emocjonalne. Poza tym muszę i chcę się opiekować własnymi dziećmi", przyznaje.

Kilka razy w tygodniu Irina Ovchar w pomieszczeniach poradni Alicji Baranek prowadzi spotkania grupowe, ale też indywidualne rozmowy z rodzicami i dziećmi. Spotkań grupowych jest kilka: dla młodszych do szóstego roku życia wspólnie z rodzicami, zazwyczaj matkami, oraz dla starszych dzieci i nastolatków. W swoim podejściu Irina Ovchar wykorzystuje techniki terapii przez sztukę – zwłaszcza malowanie, rysowanie i lepienie z masy solnej.

„Niektóre dzieci nie chcą opowiadać o swoich przeżyciach – wyjaśnia psychoterapeutka. – Jednak w pewnym momencie zaczynają malować lub rysować. Bo każde dziecko ma własny punkt czy moment, w którym jest gotowe, aby coś rozpocząć. Dlatego kładę mazaki na stół i mówię: możecie z nich korzystać, jeśli i kiedy tylko będziecie chcieli. Niektórzy w ogóle nie korzystają, inni – jak najbardziej. I przychodzą potem opowiedzieć, co namalowali". Obrazy te niekoniecznie są związane z wojną.

Alicja Baranek dodaje: „Ta przestrzeń swobodnej zabawy artystycznej jest bardzo otwierająca. Nie trzeba pytać dzieci wprost: jak się czujesz po tym, co przeżyłeś, przeżyłaś? To wychodzi, choćby przez te rysunki, przez sztukę". Polka podkreśla, jak ważne jest, że osoby wspierające dzieci potrafią mówić w ich języku

eprasa.pl c615e1887d

Przestrzeń swobodnej zabawy artystycznej bardzo otwiera dzieci.

– a jeszcze ważniejsze, że same pochodzą z Ukrainy, że lepiej rozumieją to, co się dzieje w ich kraju.

Dla doświadczonych psychologów jest oczywiste, że każde dziecko inaczej przeżywa wojnę i potrzebuje nieco innego podejścia. Szczególnie że ich doświadczenia bywają skrajnie różne: niektóre dzieci bezpośrednio doświadczały bombardowania czy śmierci w najbliższym otoczeniu, inne zaś przeżyły utratę domu i ucieczkę bez zagrożenia życia. Dzieci reagują bardzo odmiennie na oferowaną pomoc. Niektóre nie chcą nikogo spotykać, chcą być same, nie chcą podejmować żadnej aktywności. Przynajmniej na początku część z nich boi się poznać coś czy kogoś nowego w obawie, że znów mogą to stracić.

Dzieci różnie reagują na oferowaną pomoc. Niektóre chcą być same i nie podejmują żadnej aktywności.

Irina Ovchar jako matka i jako terapeutka z doświadczenia wie, jak zazwyczaj zachowuje się większość sześcio- czy dziesięciolatków: skaczą, bawią się głośno, psocą. „Tutaj do nas na zajęcia przychodziły zaś dzieci początkowo maksymalnie wyciszone, chciały się bawić same". Dopiero po kilku tygodniach czy miesiącach pobytu w Polsce ich zachowanie się zmienia, zaczynają się bawić intensywniej, ich poczucie bezpieczeństwa rośnie – tak bardzo, że czasem nie chcą wracać do Ukrainy. „Na moje zajęcia uczęszczał sześciolatek, który przyjechał tu z mamą. Kilka tygodni temu matka musiała wrócić do Ukrainy, bo straciłaby tam pracę. Jej syn wcale nie chciał wyjeżdżać".

To, że dzieci z Ukrainy szybko zaczynają się czuć bezpiecznie w Polsce, a czasem wręcz nie chcą wracać do siebie, wynika w dużej mierze z zaakceptowania ich w pełni przez większość Polek i Polaków: jako uchodźców, jako młode osoby potrzebujące wsparcia i schronienia. Doświadczają zatem czegoś, o czym większość dzisiejszych uchodźców – według ONZ aktualnie ok. 50 mln osób na świecie szuka schronienia poza granicami swojego państwa – może tylko pomarzyć. Bo standard to odrzucenie, wrogość, nieufność krajów przyjmujących. Ukraińscy uchodźcy są zaś witani w Polsce z otwartymi ramionami i nie grozi im wydalenie. To doświadczenie ma kolosalny wpływ na ich samopoczucie.

Tak samo jak – tym razem negatywny – wpływ na psychiczny dobrostan dzieci ma doświadczanie przez nie, choćby na polsko-białoruskiej granicy, brutalnych pushbacków.

Dzieci gorszego sortu?

W obliczu wojny w Ukrainie bezlitosne działania wobec innych dzieci – niewpuszczanie i wypychanie ich poza granice naszego państwa – wydają się wręcz surrealne. A tymczasem kilkaset, kilkadziesiąt kilometrów dalej na północ, w Polsce, dzieci i dorośli dalej koczują na granicy polsko-białoruskiej. Budowa długiego na ponad 180 km muru, a raczej potężnego stalowego płotu, ma zostać sfinalizowana pod koniec czerwca. Rząd nie kryje zadowolenia. „Wszystko zgodnie z planem. Budowa zapory na naszej granicy jest realizowana w tempie naprawdę błyskawicznym", mówił pod koniec maja wiceszef Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, Błażej Poboży. Bo tam do Polski wejść chcą uchodźcy domniemanie „gorszego sortu", niebezpieczni – często z dziećmi.

W zasadzie wszystkie szkoły stają się w tej chwili wielokulturowe, nie ma już od tego odwrotu.

Dorota Przygucka jest koordynatorką zespołu psychologicznego przy Fundacji Ocalenie, która od 2000 r. pomaga uchodźcom i uchodźczyniom, imigrantom i imigrantkom w Polsce. Od lata 2021 r. pracownicy i wolontariusze fundacji angażują się także na granicy polsko-białoruskiej. Przygucka może opowiadać tylko o uchodźcach, którym udaje się przejść przez granicę – nie o tych, którzy w trudnych warunkach koczują po białoruskiej stronie i do których osoby z fundacji nie mają dostępu.

„Ci ludzie odbierają polskie ośrodki dla uchodźców jako więzienia – mówi. – Jeśli dziecko z rodziną trafia do takiego ośrodka zamkniętego, możliwości pomocy prawnej, ale i lekarskiej czy psychologicznej są naprawdę bardzo ograniczone. Wśród dorosłych, a jeszcze bardziej u dzieci, po przeżyciach takich jak na granicy z Białorusią istnieje duże prawdopodobieństwo wystąpienia stresu pourazowego (PTSD). Dzieci są jeszcze bardziej na to podatne, zwłaszcza jeżeli trafiają w tak niesprzyjające warunki, gdy nie wiedzą, jak długo tam zostaną, gdzie ograniczona jest ich wolność i możliwość uczenia się. Na dodatek te dzieci przebywają w towarzystwie innych, które przeżyły podobne sytuacje, a związany z tym brak normalności może powodować retraumatyzację".

Do tego dochodzi rażące poczucie niesprawiedliwości, co podkreśla Bogumiła Chodzyńska, która pracuje w zespole fundacji jako terapeutka i prowadzi zajęcia dla poszkodowanych: „Często słyszymy także z ust dzieci i młodzieży: jakie jest moje przestępstwo? Uciekam przecież przed przemocą, a zostaję zamknięty i nie wiem, co ze mną dalej".

Los dzieci i dorosłych na tej granicy we wstrząsający sposób opisuje aktualny raport Fundacji Ocalenie pod znamiennym tytułem „Przemoc państwa i działania oddolne". To obraz bezprawnego, nieraz dehumanizującego traktowania osób w potrzebie. Jedna z pierwszych interwencji aktywistów fundacji, próba pomocy dziesięciorgu Kurdom i Kurdyjkom wraz z dziećmi, przebiegła według sprawozdania następująco: „Na

eprasa.pl c615e1887d

miejscu najpierw pojawiła się straż graniczna, dopiero później karetka. Strażnicy byli teatralnie życzliwi. Wręczyli wszystkim po butelce wody, martwili się, że w grupie są dzieci. (…) Równocześnie otaczali grupę z długą bronią w rękach. Nie reagowali na nasze prośby, aby tę broń odłożyć. Na miejscu były w końcu dzieci i wycieńczeni ludzie, przy których eksponowanie karabinów było zupełnie nieuzasadnione czy wręcz szkodliwe. (…) Vijan, wraz z ojcem, została odwieziona do szpitala, a jej matka i brat do jednostki straży granicznej. Pozostałe sześć osób, w tym czteroletnią dziewczynkę, zabrano innym samochodem. Jako że odjechał w głąb strefy, nie mogliśmy za nimi podążyć w celu upewnienia się, czy osoby te trafiły do odpowiedniej placówki. (…) Kiedy wróciliśmy do bazy, dostaliśmy wiadomość z pinezką: grupa była już po stronie białoruskiej. Najprawdopodobniej zostali wypchnięci natychmiast".

Alicja Baranek i Irina Ovchar organizują w Gliwicach pomoc psychologiczną dla ukraińskich dzieci.

Kto chce wesprzeć działania Alicji Baranek i Iriny Ovchar, znajdzie informacje na: zrzutka.pl/swietlica.

Informacje o pracy i możliwościach wsparcia Fundacji Ocalenie, działającej m.in. na granicy polsko-białoruskiej, znajdują się pod linkiem: ocalenie.org.pl oraz ocalenie.org.pl/wlacz-sie.

Już mamy wielokulturowość

W przeciwieństwie do dzieci z Iraku, z Afganistanu czy z Ghany mali Ukraińcy znajdują schronienie w Polsce. Alicja Baranek: „Istotne jest, w którym momencie z perspektywy dzieci kończy się niebezpieczna sytuacja. Niebezpieczeństwo może ustać wraz z wyjazdem ze strefy bombardowań czy wraz z wyjazdem z samej Ukrainy. Jednak trauma może trwać, jeśli dzieci będą się czuć niepewnie, czy to z powodu braku przyjaciół, opresyjności szkoły, czy z powodu tęsknoty za rodzicami lub niejasnej sytuacji. Dlatego dla nas tu, w Polsce, to wielka odpowiedzialność, aby tworzyć odpowiednie środowisko, w którym dzieci mogą czuć się bezpiecznie".

Czy dzieci z Ukrainy czują się dobrze w polskich szkołach? Z obserwacji Iriny Ovchar wynika, że dobrze jest, jeśli w klasie uczy się więcej dzieci z Ukrainy. Bo to bardzo istotne, aby móc rozmawiać z rówieśnikami w języku ojczystym. „Wiele dzieci lubi nową szkołę, jednak trudno im teraz koncentrować się i uczyć". Nie można z kolei wykorzystywać za bardzo pomocy innych ukraińskich dzieci, które mieszkają u nas od dłuższego czasu i posługują się już polskim – to nie na ich barkach powinna spoczywać odpowiedzialność za integrację rówieśników.

Z perspektywy dyrekcji szkół i nauczycieli wskazane jest zatem, aby nie mierzyć dzieci jedną miarą. Poza tym to nie czas na nadmierne naciskanie na jak najlepsze wyniki. Przecież w szkołach i tak panuje prowizorka: brakuje nauczycieli języka polskiego jako obcego, nie ma też osób, które potrafią działać w środowisku wielokulturowym. Zresztą wielokulturowość dla obecnego rządu i dla ministra edukacji była przed wojną niczym diabeł wcielony. Ważniejsze zatem wydają się dobra wola, nastawienie i zaangażowanie personelu – choćby zapewnienie poczucia bezpieczeństwa, przynależności do szkolnej wspólnoty, do klas i grupy.

„W zasadzie wszystkie szkoły stają się w tej chwili szkołami wielokulturowymi, nie ma już od tego odwrotu – pisze Zuzanna Rejmer, psychotraumatolożka, trenerka i doradczyni w zakresie umiejętności społecznych przy fundacji Polskie Forum Migracyjne. – Ale do tego, żebyśmy mieli szkoły międzykulturowe, jeszcze daleka droga. A o to powinniśmy zabiegać. Wielokulturowość jest z nadania. Już ją mamy. To sytuacja, w której duża grupa ludzi przemieszcza się z jednego kraju do drugiego i różne kultury zaczynają egzystować obok siebie. O międzykulturowość trzeba zadbać – jest wtedy, gdy się poznajemy, uczymy od siebie, dochodzi do wymiany".

Dlatego potrzebna jest wyrozumiałość nauczycieli wobec różnych zachowań. Zwraca na to uwagę Alicja Baranek: „Dwie moje córki mają trójkę ukraińskich kolegów i koleżanek, jedna w szkole, druga w grupie przedszkolnej. Pytałam je, jak opisałyby zachowanie lub uczucia nowych znajomych. Powiedziały, że czasami dzieci są smutne, zezłoszczone, bywają niegrzeczne. Wszystkie te uczucia są wskazane, smutek jest sposobem na radzenie sobie i na okazywanie potrzeby pomocy, a złość pomaga w wyznaczaniu granic. To wszystko psychologiczne reakcje adaptacyjne. Nie widziałam u nas przypadków ukraińskich dzieci z ciężką traumą, choć niektóre mogą okazywać symptomy traumy". Terapeutka dodaje, że to pierwsze tygodnie decydują, czy negatywne doświadczenia przerodzą się w traumę czy nie.

Jednym z czynników zapobiegających traumom jest otwarte przyjęcie tych dzieci. Alicja Baranek: „Jako ludzie mamy ogromny potencjał w dostosowywaniu się do zmian. A dzieci potrafią to często jeszcze lepiej niż dorośli". Pod warunkiem że damy im szansę.

Jan Opielka

Mamy ogromny potencjał w dostosowywaniu się do zmian. A dzieci potrafią to często jeszcze lepiej niż dorośli.

FOT. JAN OPIELKA, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c615e1887d

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Produkt Kajdaniarski Brutto

Więcej kar, więcej kajdanek, więcej więzień i więcej wyroków, dla coraz młodszych, coraz więcej „zakładów" zamkniętych, poprawczych, izolacyjnych, więcej środków przymusu bezpośredniego i pośredniego, więcej sytuacji, kiedy można użyć siły – fizycznej i za pomocą urządzeń, pasów, paralizatorów, broni takiej i owakiej.

Wszystko to forsuje dla sprawiedliwości i prawa Prawo i Sprawiedliwość czy jakaś tam ich ziobrowska odnoga, autonomiczna, silna swoją słabością i niesamodzielnością, niewybieralna w wyborach, więc raz wybrana pozostaje najbardziej radykalna – Solidarna Polska. Takie osoby, niezdolne do zdania egzaminów na aplikację prokuratorską czy sędziowską, a od kilku lat budujące konstrukty prawne wbrew całemu światu nauk prawniczych, wbrew wiedzy o rozwoju człowieka, o mechanizmach resocjalizacji, o regułach skutecznego prawa – tworzą „wymiar sprawiedliwości".

Oglądamy potworny spektakl nieudolności wymieszanej z ignorancją, odwrót od wiedzy. Oglądamy po prostu w akcji sektę parareligijną, która, ponieważ mimo wszystko nie może wprowadzić rozwiązań starotestamentowych, tych wszystkich ukamienowań, ściętych głów, urywanych rąk, rozczłonkowywanych ciał, odwraca się plecami do całej wiedzy, badań – i robi na odwrót. Długość kary nie odstrasza przestępców? Nic to – wydłużajmy. Sama surowość bez nieuchronności też nie – a co tam, stawiamy na pustą, czystą surowość. Nieuchronność wymagałaby zmiany działania całego systemu, a to przerasta, oprócz warstwy deklaratywnej, kompetencje tej ekipy. To czarodzieje karania, zawsze i wszędzie, najsurowiej. Kara jest bogiem, na początku była kara i pozostanie na wieki. Potępienie piekielne na tzw. wieczność jest ideałem niedościgłym, zostaje marne dożywocie, tęsknoty nieutulone za karą śmierci – najukochańszą z kar, karą marzeniem, karą wzorcową. Kara śmierci jest spełnieniem rojeń cywilizacji życia.

Społeczeństwo łatwo daje się wciągnąć w tę grę strachu i niewiedzy, szczucia indywidualnymi, pojedynczymi historiami. A na nie wszystkie znajduje się cudowne antidotum, serum sprawiedliwości, sztandar zemsty – kara nad karami. Kara jako jedyna reakcja, jako dzika, nieokiełznana siła przemocowego państwa i jego opresywnych instytucji. O ileż łatwiej, zamiast wyjaśnić śmierci na komisariatach po torturach paralizatorami, dopisać je po prostu do legalnych form przemocy dla policji i mnożących się jak grzyby po deszczu instytucji kontroli ze specjalnymi uprawnieniami. O ileż łatwiej zapisać w ustawie prawo do zakuwania w kajdanki dzieci, które oczywiście są „skrajnie zdemoralizowane", bo funkcjonariusz policji w dynamicznej interwencji potrafi to bezbłędnie ocenić. Przecież. Karać, karania nam trzeba, kratami i pałą. I wszystkie te przemocowe fantazje podlewać jeszcze sosem religijnego umocowania, katolickiej inspiracji i inkwizycyjnego zauroczenia.

Jakże wstydzić się powinny te wydziały prawa, które całą tę armię jeźdźców zemsty i kar wypuściły ze swoich murów po latach nauk i namaściły tytułami magistrów. W jakim innym zawodzie możliwe są takie pomyłki i przestrzelenia, takie brakoróbstwo, takie wyhodowane kompleksy? Co zrobią korporacje prawnicze, gdy kiedyś, mam nadzieję, zostanie zdjęta z Ziobry czapka niewidka immunitetu parlamentarnego, kiedy drzwi ministerstwa zatrzasną się nieodwołalnie z jękiem ulgi? Kto go przygarnie? Adwokaci? Komornicy? Radcy? Wdzięczni prokuratorzy?

A może nastąpi spotkanie z tymi po drugiej stronie muru? Witajcie, rozumiecie, że musiało być surowo i na długo, tak uważa suweren, a wy też przecież suweren. Ja tu na krótko, przez pomyłkę, nieporozumienie, wszystko to przez zemstę kasty sędziowskiej, próbowałem ograniczyć im przywileje kradzieży kiełbasy i bateryjek. Mszczą się. To się zaraz wyjaśni i wtedy tak to zreformuję, że nikt nigdy przez nich siedzieć niewinnie nie będzie. Jak to tu wszyscy niewinni? Co wy mówicie? Każdy jeden? Przez moich prokuratorów niesłusznie oskarżany? Przez policję w śledztwach bity i do zeznań fałszywych, autooskarżeń przymuszany? Nie może być, nie tak miało być, byłem pewien, że zrozumiecie, że ta cała surowość to dla waszego dobra, że tam nie dacie rady, na tej wolności. Że niby bredzę? Ja? Dlaczego? Bo inaczej bym tu nie siedział już 25 lat bez powodu? No, był powód, mówiłem: zemsta, nienawiść, wszystko źle zrozumieli, wszyscy źle, a ja tylko dobrze i dlatego właśnie ja wychodzę, ale niedaleko, bo dziś egzekucja... No, sam chciałem przywrócić, ale przecież nie dla mnie. Dla was, złych, taki był plan. Nie wypalił, jak widać. Nie wiem jak, nie śledzę, podobno powieszą. Nie o takiej sprawiedliwości pisałem ustawy. Wykoślawili, przeinaczyli, uwzięli się. Nie dali się bronić. No tak, sam ograniczyłem prawo do obrony, bo kto to widział tyle praw dla przestępców, degeneratów, zdemoralizowanych bachorów. A to wy byliście tymi bachorami? No, w 2022 zmieniałem... 903 strony miała ustawa, kto by to czytał. Wolno wam patrzeć na egzekucję? Dziwne. Też ja to wprowadziłem? Miało odstraszać. Nie? Nie działało tak? Czemu nikt mi nie powiedział? Co ten sznur taki szorstki? Tak zalecałem? Hmmm... Kto by pomyślał?

Kara śmierci jest spełnieniem rojeń cywilizacji życia.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c615e1887d

O mowie nienawiści

Za mową nienawiści stoi zwykle lęk, obawa przed innym, obcym. Za hejtem – frustracja, czasem cynizm

Rozmawia Małgorzata Szczepańska-Piszcz

Z agresją językową mamy problem od dawna. Według badań CBOS już 15 lat temu 40% Polaków uważało mowę nienawiści za istotny problem. Aż 77% czuło zaś dyskomfort w związku z wypowiedziami pojawiającymi się w przestrzeni publicznej, niezależnie od własnego nastawienia wobec grupy obrażanej. Chyba wszyscy czujemy, że dzisiaj jest dużo gorzej. Jest tak źle, jak się wydaje?

– Mowa nienawiści *(hate speech)* jest terminem prawnym, sformułowanym przez Radę Europy. Dlatego warto tu przytoczyć jej definicję: „Mowa nienawiści obejmuje wszelkie formy wypowiedzi, które szerzą, propagują czy usprawiedliwiają nienawiść rasową, ksenofobię, antysemityzm oraz inne formy nienawiści bazujące na nietolerancji, m.in.: nietolerancję wyrażającą się w agresywnym nacjonalizmie i etnocentryzmie, dyskryminację i wrogość wobec mniejszości, imigrantów i ludzi o imigranckim pochodzeniu". Czyli mową nienawiści są wszystkie słowa i gesty prowadzące do cierpienia ludzi ze względu na jakąś cechę, która jest od nich niezależna, np. narodowość, kolor skóry, płeć, orientację seksualną czy wiek.

A także religię i wyznanie, choć te można zmienić.

– To wyjątek, bo religia jako pewna wizja porządku świata jest szczególnie mocno osadzona w tożsamości kulturowej wielu wspólnot etnicznych i – zwykle – jednak jej nie wybieramy. Po prostu rodzimy się i wychowujemy w pewnej społeczności, której tożsamość może być wyznaczana przez wyznanie.

DR HAB. RAFAŁ ZIMNY
– prof. UKW w Bydgoszczy, członek Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN

Przejawem nienawiści, choć nie werbalnym, jest też usuwanie z repertuaru niektórych filharmonii Rachmaninowa czy Prokofiewa, chociaż ci wielcy kompozytorzy, ani większość Rosjan, nie mieli żadnego wpływu na decyzję o rozpoczęciu wojny ukraińsko-rosyjskiej. A rosyjskości sobie przecież nie wybrali. Świat potępia Rosjan, choć wśród nich jest zapewne wielu, którzy decyzji Putina nie pochwalają i nie mają z tym, co dzisiaj się dzieje w Ukrainie, nic wspólnego.

Zgoda, stosujemy odpowiedzialność zbiorową. Ale to taki nasz symboliczny protest.

– W mojej ocenie niemądry. Wartość twórczości Rachmaninowa, Prokofiewa czy Dostojewskiego, którego dzieł znajomy nauczyciel nie chce teraz z uczniami omawiać, ma charakter uniwersalny i nie ma nic wspólnego z wywołaniem przez Rosję wojny w Ukrainie. Rozumiem, że chcemy w ten sposób okazać solidarność z Ukrainą. Bardzo szlachetnie. Ale warto robić to mądrze. Pod koniec maja oglądałem w warszawskim Teatrze Dramatycznym „Mistrza i Małgorzatę". Bardzo się cieszę, że po lutym 2022 r. nie zdjęto z afisza tej inscenizacji, bo wartość Bułhakowowskiego tekstu, choć silnie związanego z rosyjskością, jest ponadczasowa, a jego wymowa – w oczywisty sposób pacyfistyczna.

To takie pozycjonowanie się przeciw Rosji.

– Zalecałbym precyzyjne odróżnianie tego, co antyrosyjskie, od tego, co antyputinowskie. Niegranie Prokofiewa jest działaniem antyrosyjskim. Ale nie antyputinowskim. Gesty antyputinowskie są jak najbardziej na miejscu. Gesty antyrosyjskie wprowadzają niepotrzebną nienawiść. Niepotrzebnie zaostrzają dyskurs. Karmią mowę nienawiści. Naród rosyjski, choć otumaniony propagandą, nie odpowiada w swojej większości za wojnę. Za jej wywołanie odpowiada tylko Putin i jego otoczenie. Zamiast działać przeciwko rosyjskiej kulturze, lepiej skupić się na posunięciach uderzających w rosyjską politykę.

No ale to nie Putin i jego otoczenie gwałcą i rabują w Ukrainie.

– Tak przecież od zawsze się zachowują wszelkie armie najeźdźcze i robią to za przyzwoleniem swoich dowódców i władz państwa. Społeczeństwom czy narodom można zarzucać co najwyżej bierność w akceptacji tego stanu rzeczy. Niestety, nienawiść spaja dość mocno i pozwala zbrodniarzom usprawiedliwiać swoje czyny.

I bez wojny ukraińsko-rosyjskiej mowa nienawiści ma się w Polsce dobrze.

– Wręcz się wzmaga. Nietrudno zauważyć, że w ostatnich latach szkoła i instytucje państwa nie

FOT. MAŁGORZATA SZCZEPAŃSKA-PISZCZ

eprasa.pl c615e1887d

przeciwstawiają się niektórym formom mowy nienawiści. A nawet je wspierają, np. organizując nagonkę na osoby nieheteronormatywne (choćby przez blokowanie tzw. tęczowych piątków) albo strasząc uchodźcami. Kilka miesięcy temu 5-7 tys. uchodźców na granicy polsko-białoruskiej to był – zdaniem rządu, niektórych polityków i telewizji publicznej – wielki problem i niemal zagrożenie dla funkcjonowania państwa polskiego. A dzisiaj już ponad 3 mln uchodźców z Ukrainy absolutnie nie destabilizują Polski. Niewątpliwie mamy w Polsce olbrzymi problem z mową nienawiści. Pojawiło się nawet pojęcie hejtu, które jednak nie jest do końca tożsame z mową nienawiści.

Jakich?

– Bardziej agresywne formy trollingu polegają na celowym rozbijaniu i zakłócaniu sensownych dyskusji, np. na Facebooku. Gdy tylko trollowi się odpowie, zyskuje on przestrzeń do prezentowania urojonych, spiskowych, uproszczonych teorii, mających jednak zwykle bardzo szeroki zasięg. I dowiadujemy się, że za złą sytuację w kraju winę ponoszą Żydzi. A za czyjeś indywidualne kiepskie życie prywatne – „pedały", bo zajmują wysokie stanowiska i wzajemnie się popierają, lub Ukraińcy, bo zabierają „ludziom" pracę. Za mową nienawiści stoi zwykle lęk, obawa przed innym, obcym. Za hejtem – frustracja, czasem cynizm. W zorganizowanym hejcie wyspecjalizował się Władimir Putin. Skoro udało mu się wpłynąć na wybór Donalda Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych, to udowodnił tym samym, że hejt i trolling są dziś bardzo skuteczną bronią.

Hejt ma podstawę psychologiczną, a **mowa nienawiści** – antropologiczną, często motywowaną nadwartościowywaniem własnej etniczności, heteroseksualności czy religijności.

Jaka jest różnica?

– Nie ma jednoznacznych ustaleń. Ale można powiedzieć, że mowa nienawiści służy interesom większości albo dużych grup społecznych. Może je wręcz umacniać, spajać. Tak jak zapewne spaja dziś Rosjan mowa nienawiści przeciwko Ukraińcom. I odwrotnie. Natomiast hejt jest bardziej działaniem psychologicznym wynikłym z frustracji jednostki czy jednostek. Służy wyładowaniu negatywnych emocji. Zazdroszczę, że komuś lepiej się powodzi, to przywalę mu komentarzem na Facebooku. I poczuję się lepiej. Hejt ma podstawę psychologiczną, a mowa nienawiści – antropologiczną, często motywowaną nadwartościowywaniem własnej etniczności, heteroseksualności czy religijności, uznawanych wskutek tego za przezroczystą normę społeczną. Mowa nienawiści dotyczy zbiorowości, hejt jest skierowany przeciwko indywidualnym osobom. Aczkolwiek istnieje też coś takiego jak hejt zbiorowy, zwany trollingiem. Jest to – mówiąc obrazowo – puszczanie bąków w towarzystwie. Uporczywe brzęczenie, które jest tym słabsze, im bardziej się je ignoruje. Trolling ma zresztą kilka odmian.

Kto w Polsce najbardziej cierpi od mowy nienawiści?

– W ostatnich kilku latach bez wątpienia społeczność LGBT+, czyli osoby nieheteronormatywne. Wyszydzane są na wszelkie sposoby zasadne i potrzebne pojęcia płci kulturowej czy tożsamości płciowej. Niechęć do ludzi nieheteronormatywnych była zawsze. Ale manifestowała się najczęściej przez dystans czy żart, śmiech za plecami, pobłażliwe lekceważenie. A dzisiaj ta mniejszość czuje się realnie zagrożona przez uchwalane na poziomie samorządowym „strefy wolne od LGBT", przez oficjalne wypowiedzi Kai Godek (np. „Geje chcą adoptować dzieci, bo chcą je molestować i gwałcić, takie są fakty" z 2019 r.), ludzi spod znaku Ordo Iuris („LGBT jest ideologią, ponieważ ma tezę stricte ideologiczną, która jest całkowicie przeciwna antropologicznej tezie fundującej cywilizację europejską. I próbuje tę cywilizację zaorać" – prezes Instytutu Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski w 2021 r.), a nawet prezydenta Andrzeja Dudy („Próbuje się nam wmówić, że to ludzie, a to jest po prostu ideologia" w kampanii prezydenckiej w 2020 r.).

Drugą grupą są tradycyjnie w Polsce Żydzi. Jeden z bardzo znanych publicystów pozwolił sobie nie tak dawno pisać o nich „parchy".

Powiedział pan, że u podstawy mowy nienawiści leży lęk, obawa przed obcymi, innymi. Czego Polacy się boją, skoro w Polsce prawie nie ma Żydów?

– To lęk dziedziczony przez pokolenia. Wiele wskazuje, że jest to element naszego kodu kulturowego. Oczywiście antysemityzm nie jest tylko polską przypadłością. W chrześcijańskiej Europie wziął się – najogólniej rzecz biorąc – z tego, że diaspora żydowska była lepiej wykształcona. Tradycja czytania Tory, medytowania nad nią, rozmów z rabinem wykształciła pewien typ refleksyjności, szacunku do wykształcenia, który spowodował, że Żydzi garnęli się do szkół. Byli lepiej wykształceni i szybko opanowali całe sektory gospodarki.

W Polsce opanowali handel również dlatego, że szlachta nie chciała handlować. Obracanie pieniądzem uwłaczało szlachectwu.

– Handel, sektor bankowy, dodatkowo aż 55% lekarzy w przedwojennej Polsce było pochodzenia żydowskiego. Ogromna część palestry – także. Dlatego Żydom w miastach wiodło się często dużo lepiej niż Polakom. I to wzbudzało zazdrość, frustrację, gniew. Oczywiście było też wielu biednych Żydów żyjących w sztetlach. Oni zapewne drażnili odmiennością kulturową i religijną. I nie zapominajmy o niechlubnej roli Kościoła katolickiego, który szczuł Polaków na Żydów – zabójców Jezusa. To wszystko razem stanowi znakomite podglebie dla dzisiejszego irracjonalnego antysemityzmu, który dziedziczymy po przodkach.

Kolejna grupa to ciemnoskórzy.

– Niedawno powiedzielibyśmy „Murzyni". Słowo jeszcze kilkanaście lat temu uważane za neutralne okazuje się dziś obraźliwe, raniące, Polaków o ciemnej skórze. I mają rację. To widać, gdy przyjrzymy się bliżej choćby kilku polskim powiedzeniom:

eprasa.pl c615e1887d

„być sto lat za Murzynami", „wali (śmierdzi) jak z murzyńskiej chaty", „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść", „zdawać egzamin na murzyna". Wszystkie te wyrażenia zapisują w świadomości społecznej przypadkową cechę, jaką jest kolor skóry, jako ważącą kulturowo, tj. identyfikującą tożsamość. I z tych powodów słowo Murzyn ma w polszczyźnie negatywne konotacje.

A co jest złego w Murzynku Bambo z elementarza?

– Warto przypomnieć, że tekst ten ma tytuł „Bambo", a nie „Murzynek Bambo". Prawdopodobnie właśnie to słowo stało się bazą dla pogardliwego określenia „bambus". Wiersz ten opublikowano w 1935 r., gdy Polska miała ambicje kolonialne. Miał oswajać najmłodszych z odmiennością kulturową, bo kolonialne spojrzenie na Afrykę wtedy nikogo nie dziwiło. W PRL z kolei dominowało odczytanie afirmatywne, związane z proafrykańskim kierunkiem polityki państw bloku wschodniego. Uwypuklano więc to, że Murzynek jest taki sam jak polskie dzieci: psoci, nie słucha mamy... Po roku 1989 doszedł kontekst praw człowieka. I pojawiły się pierwsze krytyczne odczytania wiersza, w których uwypuklano, że propaguje stereotypy, Afrykę przedstawia jako krainę niecywilizowaną, dziką, niezróżnicowaną. Oczywiście trudno podejrzewać Tuwima o intencje rasistowskie – wiersz powstał w innej rzeczywistości kulturowej – ale w obecnych czasach obydwa spojrzenia, afirmatywne i krytyczne, należałoby w edukacji uwzględniać.

Widać dziś silny opór przeciwko temu, żeby słowo Murzyn wykreślić z publicznej polszczyzny. Ale myślę, że jego odejście w niepamięć to tylko kwestia czasu. Przestaliśmy mówić: Cyganie, zastępując ich Romami. Nie mówimy już: kaleka ani inwalida, tylko osoba niepełnosprawna, a jeszcze lepiej – z niepełnosprawnością.

Czyli jak nieraniąco nazywać ciemnoskórych ludzi? W USA mówią Afroamerykanie. My, Europejczycy, analogicznie powinniśmy mówić: Afroeuropejczycy?

– Po prostu czarnoskórzy, ewentualnie Afropolacy lub Afroeuropejczycy, ale tylko wtedy, gdy wskazanie koloru skóry jest w danym kontekście istotne.

Muzułmanie też nie mają w Polsce lekko.

– Nie mają, choć tu w stereotypie nakładają się dwie cechy – wyznanie i niebiały kolor skóry. Niebiali to przede wszystkim Azjaci, głównie Hindusi, Turcy czy Arabowie, których zbiorowo nazywa się pogardliwie „ciapatymi" (określenie pochodzi od słowa *ćapati* nazywającego placki z pszennej mąki jadane w Indiach czy Pakistanie). Muzułmanom dodatkowo przykleja się łatkę „terrorystów". Myślę, że głównie dlatego zabrakło nam empatii dla ludzi zamarzających na granicy białorusko-polskiej.

Doklejamy im jeszcze łatkę „brudasów".

– To strategia dehumanizacji. Można dehumanizować na wiele sposobów. Jednym z nich jest biologizacja, polegająca na nazywaniu ludzi „insektami", „parchami", „zarazą", „brudasami", „pasożytami", za którą stoi traktowanie ludzi jako zagrożenia biologicznego. Tak zresztą mówi się również o ludziach LGBT, przecież abp Marek Jędraszewski jasno nazwał osoby nieheteronormatywne i ich postulaty „tęczową zarazą".

Druga strategia to animalizacja – odbieranie człowieczeństwa przez przypisywanie ludziom cech zwierzęcych, np. mówienie o kobietach „suki", „lochy", „foczki" czy o uchodźcach „bydło z Iraku". Znane hasło z czasów II wojny światowej – „tylko świnie siedzą w kinie" – też jest przykładem animalizacji, co pokazuje, że od strony aksjologicznej nie jest to zjawisko jednoznacznie negatywne.

Jeszcze inna strategia dehumanizacyjna to uprzedmiotowianie.

– Tu przykładami mogą być znane dobrze „zasoby ludzkie" z języka korporacyjnego lub „stany osobowe" w wojsku. Poza tym jest mechanizacja, czyli przedstawianie ludzi jako bezdusznych maszyn. Widać to w pogardliwych określeniach typu „cyborg" czy pozornie neutralnych, jak choćby „siła robocza".

Dehumanizujące jest także niedostrzeganie, czyli unieważnianie, niewysłuchiwanie, niedopuszczanie do udziału w debacie, a gdy lekceważone grupy upomną się o swój głos – ośmieszanie ich.

No i na koniec wspomnę o demonizowaniu, czyli przypisywaniu ludziom mocy nadprzyrodzonych, co przejawia się w nazywaniu kogoś „czarownicą", „potworem", „demonem" czy „diabłem".

Język jest narzędziem strategii postępowania z obcymi, innymi czy, szerzej, z nieakceptowanymi?

– Oczywiście. Już słynny antropolog kultury Claude Lévi-Strauss obrazowo nazwał dwie podstawowe strategie radzenia sobie z obcymi wchłanianiem i wydalaniem. Wchłaniam, czyli integruję, asymiluję, nawracam, upodobniam do siebie. Złowroga reedukacja rodem z Chin też tu się mieści. Nazywa się to antropofagią. Ale mogę obcego wydalać – „wymiotuję" nim, czyli tym, co toksyczne, szkodliwe, a więc w wymiarze kulturowym wyrzucam go poza społeczność, wytyczam granice, odgradzam się murem. A w skrajnych wypadkach nawet eksterminuję. Lévi-Strauss nazywa to antropoemią.

Tożsamość zbiorowa zawsze buduje się na opozycji swój-obcy. Ale tego obcego można postrzegać różnie. Gdy jako wroga, wtedy się z nim walczy albo się go „nawraca" lub „reedukuje". Gdy jako przeciwnika, to w pewnych warunkach można z nim paktować, z respektem dla jego odmienności. Gdy zaś obcego postrzega się jako przyjaciela, jako innego, ale niezagrażającego, interesującego, egzotycznego – a to jest wytworem dopiero drugiej połowy XX w. – nie potrzeba go ani zjadać, ani się od niego odgradzać. Również mową nienawiści.

Mowa nienawiści dotyczy zbiorowości, **hejt** jest skierowany przeciw indywidualnym osobom.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz
m.piszcz@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c615e1887d

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Kaktus na języku

Jakimi śmieciami jest zapchany język, ile w nim „męskich decyzji", „trajkotania", „podjudzania", „pedalskich kolorów" i „babskiego gadania", ile „wieśniaków", „motłochu", „cyganów", „spaślaków", „ciapatych" itd. Staramy się czyścić ten język, ile się da, część słów oznaczona jako szejming (ang. *shame* – wstyd) już jest na cenzurowanym, ale niektóre dalej działają w ukryciu: przegapione, nierozpoznane, umacniają negatywne wzorce społeczne. Chciałoby się, żeby „nasi" byli uważni, wrażliwi, żeby wspierali wykluczonych ze względu na biedę, pochodzenie czy trudną sytuację życiową. A tu zaprzyjaźniona stacja, informując o wypadku samochodowym, dodaje, że sprawca pochodzi z Ukrainy. Naprawdę, nie usłyszałam tego w PiSTV. Tak podana informacja oczywiście klonuje się w innych mediach i przez kilka dni wszyscy mielą ją bezmyślnie. W podprogu idzie komunikat antyimigrancki, który jest nam teraz najmniej potrzebny. Rozumiem poetykę boldów i tytułów haków, ale te same stacje, które na co dzień wkładają mnóstwo energii w zaangażowanie społeczne swoich słuchaczy i widzów, te same gazety i portale, które organizują akcje, trudne debaty i zbiórki, przy informacji o ataku nożownika dodają od niechcenia, że „sprawca leczył się psychiatrycznie". Dopiero zaczynamy – i to ze sporym wysiłkiem – zdejmować piętno społeczne z ludzi szukających pomocy u terapeutów i psychiatrów.

Chociaż w niektórych przestrzeniach publicznych widać konkretną zmianę. Przeglądając pisma lajfstajlowe, moglibyśmy pomyśleć, że co najmniej raz w miesiącu jest tydzień depresji, a raz na trzy miesiące tydzień nerwicy lękowej. Celebryci dzielą się z fanami i fankami informacjami o swoich kryzysach, chemioterapii i pobytach w szpitalach. I już mniejsza o to, czy chodzi im o utrzymanie zainteresowania – to są dobre ruchy w odpowiednim kierunku. O naszym zacofaniu społecznym świadczył zawsze także wstyd (będący skutkiem opresji) przed pójściem do terapeuty (dotyczyło to szczególnie mężczyzn).

Konsekwencje społecznego piętnowania osób, które „leczyły się psychiatrycznie" (podanie takiej informacji przy okazji nożownika jest w najlepszym wypadku bezmyślne, sprawcami zbrodni najczęściej są osoby, które nie mają tego typu przeszłości medycznej), są oczywiste, grożą większą liczbą samobójstw i przestępstw, samookaleczaniem się dzieci, ograniczeniem wykrywania przemocy domowej i w miejscach pracy, ale też ogólnie – obniżeniem jakości naszego życia.

Dlaczego ludzie, którzy cierpią, mają się tego wstydzić, dlaczego, oprócz tego, że mają trudną sytuację życiową, mają być dodatkowo piętnowani? Czy zaśmiewamy się, widząc chromych, wytykamy palcami osoby chronicznie chore? A może ostrzegajmy ludność przed blondynami, jeśli blondyn zaatakuje nożem w Mietkowie. Ostrzegajmy przed operatorami kamery, jeśli operator kamery nakradnie w nocnym. Zresztą w podobny sposób PiS próbowało oczernić sędziów. Swoją drogą zabawne, wystarczy pomyśleć coś absurdalnego, okaże się, że PiS już to wymyśliło.

Szkoda, sądziłam, że te czasy minęły. Oczywiście ta część społeczeństwa, która jest uprzywilejowana, bo ma wyższy kapitał społeczny lub po prostu pieniądze, chętnie dziś się udaje do terapeuty. A fakt, że ktoś zrobił terapię lacanowską, humanistyczną, behawioralną lub psychoanalizę, należy do small talków na przyjęciach. Po prostu jest częścią humanistyki. Farmakologia najlepiej działa, kiedy idzie w parze z terapią. Wydawało mi się, że zrobiliśmy spory skok w dobrym kierunku, jeśli chodzi o społeczną akceptację takiej pomocy/leczenia. A tu proszę, atak nożownika: „sprawca w przeszłości leczył się psychiatrycznie".

Każde słowo może stać się polityczne.

Wojna informacyjna zawsze była elementem każdej innej wojny. A walka o narrację była kluczowa, bo to od właściwej komunikacji zależy przychylność opinii publicznej, czyli ewentualna wygrana. Czy jest jeszcze ktoś, kto wierzy w niewinność, w przezroczystość języka? W ostatnich latach obserwowaliśmy nie tylko walki polityczne, w których kandydatom zdarzało się polec przez niefortunnie użyte słowo, ale również tzw. *cancel culture*, kiedy dosłownie wykasowywano nieuważny autorytet z przestrzeni publicznej.

Każde słowo może stać się polityczne, jak stare, dobre „ośmiorniczki" czy dość nieszkodliwy w sumie „dupiarz". Bo owszem, każdy jest czasem zmęczony, rozproszony albo po prostu boli go brzuch, są emocje, pośpiech, stres. Ale jeśli kilka lub kilkanaście razy w ciągu dwóch-trzech dni powtarza się w mediach informację, że wypadek samochodowy spowodował Ukrainiec, a nożownik w przeszłości leczył się psychiatrycznie – to nie czeka nas happy end.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c615e1887d

SKUTKI WOJNY

Zniszczony port w Mariupolu.

Straty Ukrainy w wyniku działań wojennych sięgnęły w maju prawie biliona dolarów. I nadal rosną

Marek Czarkowski

„Specjalna operacja wojskowa" w Ukrainie, która w założeniu Kremla miała być blitzkriegiem, zakończonym po kilku dniach zajęciem Kijowa, zmieniła się w długotrwałą wojnę na wyniszczenie. Ukraińcy tracą nie tylko żołnierzy. Niszczone są infrastruktura drogowa i kolejowa, rafinerie, zakłady produkcyjne, zarówno cywilne, jak i pracujące na rzecz wojska.

Rosjanie zajęli Zaporoską Elektrownię Jądrową w Enerhodarze, największą tego rodzaju siłownię w Europie, i prawdopodobnie zacznie ona wkrótce dostarczać prąd na Krym oraz do opanowanych przez nich obwodów – donieckiego, zaporoskiego i ługańskiego.

W Mariupolu w wyniku ciężkich walk zrujnowane zostały kombinat Azowstal i Mariupolski Kombinat Metalurgiczny im. Ilicza. Te wielkie przedsiębiorstwa wchodziły w skład grupy Metinvest należącej do najbogatszego ukraińskiego oligarchy Rinata Achmetowa. Ich odbudowa i uruchomienie będą bardzo trudne.

Ukraiński przemysł motoryzacyjny przed 24 lutego br. zatrudniał ponad 60 tys. pracowników. W kraju nadal działa ponad 20 związanych z tą branżą firm międzynarodowych, takich jak Eurocar, Prettl, Bosch, Aptiv, Nexans czy Fujikura. Mimo że większość zakładów ulokowana została w zachodniej części Ukrainy, z dala od strefy bezpośrednich działań wojennych, na początku marca zakłady Audi w Ingolstadt musiały zawiesić produkcję modeli Audi A4 i A5 z powodu braku części pochodzących od tamtejszych dostawców. Podobnie Porsche – zawieszona została produkcja modeli Macan i Panamera. Wywołane wojną przerwy w dostawach części dotknęły też zakłady BMW Group w Monachium i Dingolfing oraz fabrykę w Oksfordzie produkującą model Mini. Mercedes-Benz został zmuszony do zmniejszenia produkcji.

Na początku maja Rosjanie zbombardowali silosy zbożowe w Rubiżnem w obwodzie ługańskim, w których przechowywano 17,5 tys. ton pszenicy i 8,5 tys. ton ziarna słonecznika. Był to jeden z serii ataków na ukraińskie magazyny, w których zgromadzono ok. 25 mln ton przeznaczonego na eksport ziarna. Z powodu blokady portu w Odessie oraz zdobycia przez Rosjan portów w Mariupolu, Berdiańsku, Skadowsku i Chersoniu nie można wywieźć go z kraju. Straty mogą sięgnąć 6 mld dol.

Utrata portów nad Morzem Czarnym oznacza konieczność skierowania dwóch trzecich eksportu pozostałych towarów na szlaki prowadzące przez zachodnią granicę. Ani infrastruktura kolejowa, ani tym bardziej drogowa nie były na to przygotowane.

Sytuację gospodarczą Ukrainy pogarsza fakt, że najbardziej uprzemysłowione, bogate w węgiel i inne surowce obwody na wschodzie kraju zostały zajęte przez wojska rosyjskie i oddziały zbuntowanych republik. Co oznacza poważne problemy w przemyśle ciężkim, chemicznym i energetyce.

Rosjanie gaszą światło

Po rozpadzie ZSRR Ukraina odziedziczyła m.in. pięć elektrowni jądrowych: Czarnobylską, Rówieńską, Chmielnicką, Zaporoską i Południowoukraińską. Ostatni reaktor elektrowni

eprasa.pl c615e1887d

w Czarnobylu zamknięto w roku 2000. Pozostałe cztery siłownie produkują połowę energii elektrycznej zużywanej przez naszych wschodnich sąsiadów. Kolejnym dużym źródłem energii są elektrownie cieplne, głównie opalane węglem kamiennym. Największe znajdują się we wschodniej i środkowej części kraju – w Ługańsku, Doniecku, Charkowie, Zaporożu, Dniepropietrowsku i innych miastach. Sześć w 2014 r. zajęli rebelianci. Co gorsza, na kontrolowanych przez nich terenach znajdują się kopalnie węgla, będącego podstawowym surowcem energetycznym ukraińskich elektrowni konwencjonalnych. Trzeba zaznaczyć, że Ukraina zajmuje pierwsze miejsce w Europie pod względem zasobów geologicznych tego surowca – szacuje się je na 34 mld ton. Z czego prawie 4 mld ton stanowi najwyższej klasy antracyt, którego ponad 92% znajduje się na terenie samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej.

Rosjanie atakują też kluczowe elementy systemu energetycznego Ukrainy. Wynika to z faktu, że ukraińskie koleje są prawie w całości zelektryfikowane. Pozbawienie ich prądu oznacza problemy z dowiezieniem wojsk, uzbrojenia i amunicji z zachodu Ukrainy do oddziałów walczących w obronie Kijowa, Charkowa i Donbasu.

Do końca maja rosyjskie rakiety zniszczyły dwie duże stacje rozdzielcze 750 kV, jedną stację rozdzielczą 500 kV i 18 mniejszych – 330 kV oraz 220 kV. Spowodowało to odcięcie od dostaw prądu mieszkańców ok. 10 tys. miast i wsi, a koszt naprawy wyrządzonych szkód oszacowano na ponad miliard euro.

Jeśli wojna będzie trwała, Rosjanie mogą wzmóc ataki na konwencjonalne elektrownie, jak to miało miejsce w przypadku Elektrowni Trypilskiej pod Kijowem, którą wielokrotnie ostrzeliwano, wywołując pożary.

Na początku czerwca ukraińskie władze podały, że Rosjanie rozważają wyłączenie zajętej przez nich na początku marca Zaporoskiej Elektrowni Atomowej w Enerhodarze. Jednocześnie pojawiły się informacje, że przeciwnie – zamierzają włączyć ją do systemu energetycznego Federacji Rosyjskiej i produkowanym przez nią prądem zasilać Krym oraz tereny zajęte na południu Ukrainy.

W kręgu zainteresowań rosyjskich generałów znalazła się również Południowoukraińska Elektrownia Atomowa w Jużnoukraińsku w obwodzie mikołajowskim. To 180-200 km na zachód od Chersonia. Gdyby udało im się ją zająć, Rosjanie odcięliby od prądu niemal całą wschodnią Ukrainę. Transport kolejowy i działalność zakładów przemysłowych, służby zdrowia, handlu itp. w tych warunkach byłyby skrajnie utrudnione.

Na zachodzie sytuację ratuje zsynchronizowanie sieci elektroenergetycznych Ukrainy i Mołdawii z europejskim systemem przesyłu energii, które nastąpiło 17 marca br. Oznacza to, że Kijów i Kiszyniów mogą liczyć na dostawy prądu z Europy.

Poważnym wyzwaniem są niejasne zasady funkcjonowania ukraińskiego sektora energetycznego. Duże przedsiębiorstwa, należące do kilku tamtejszych oligarchów, przez lata kupowały prąd po wyjątkowo promocyjnych cenach, co w praktyce obniżało przychody elektrowni. Na proceder ten zwracały uwagę media, lecz nic się nie zmieniało. Dość powszechne jest przekonanie, że po zakończeniu działań wojennych część ukraińskich elektrowni zostanie przejęta przez nowych oligarchów. Administracja prezydenta Zełenskiego na razie nie reaguje, co fatalnie wróży na przyszłość.

Utrata portów nad Morzem Czarnym oznacza konieczność skierowania dwóch trzecich eksportu przez zachodnią granicę. Ani infrastruktura kolejowa, ani drogowa nie były na to przygotowane.

Ropa i gaz, czyli business as usual

Wojna wojną, a gaz ziemny płynie z Rosji przez Ukrainę do krajów zachodnich jak gdyby nigdy nic, o czym pisaliśmy już w PRZEGLĄDZIE. Gazprom tłoczy go nawet więcej niż przed 24 lutego br. i rozlicza się z Kijowem w twardej walucie. Nie słychać też, by wojska rosyjskie czy ukraińskie niszczyły infrastrukturę przesyłową na kontrolowanych przez nie terenach.

Identyczna sytuacja jest z rurociągiem Samara-Granica Zachodnia, nazywanym „rurociągiem Medwedczuka" (Wiktor Medwedczuk to ukraiński oligarcha, deputowany do Rady Najwyższej, dobry znajomy Władimira Putina, obecnie aresztowany przez ukraińskie władze). Wybudowano go w czasach Związku Radzieckiego. Pierwotnie zapewniał dostawy paliwa dywizjom Układu Warszawskiego stacjonującym na Węgrzech, w Bułgarii i Rumunii. Po roku 1991 zaczęto tłoczyć nim rosyjskie produkty naftowe do krajów Europy Zachodniej, głównie olej napędowy. Ukraiński oligarcha kupił rurociąg po bardzo korzystnej cenie i zarabiał kokosy.

Po wybuchu wojny Mykoła Gawrylenko, kierujący spółką Ukrtransnafta, odpowiedzialną m.in. za tranzyt rosyjskiej ropy przez Ukrainę, otrzymał polecenie zapewnienia dostaw deficytowego oleju napędowego z Unii Europejskiej do kraju. Zaproponował więc, by skończyć z tranzytem rosyjskiego paliwa „rurociągiem Medwedczuka" i tłoczyć nim tak potrzebny ukraińskiej armii olej napędowy z Węgier. Jedyne, co Budapeszt zaproponował stronie ukraińskiej, to aby sama znalazła dostawców oleju napędowego w Europie i sprowadziła go na Węgry cysternami, by dalej mógł popłynąć tym rurociągiem. Nic z tego nie wyszło. W maju Gawrylenko został zwolniony, a rosyjskie produkty naftowe nadal płyną przez Ukrainę na Zachód. Ceny rosyjskiego oleju napędowego nigdy nie były tak wysokie jak dziś.

Sześć rafinerii naftowych, którymi dysponował Kijów, zostało zaatakowanych rakietami na przełomie marca i kwietnia br. Najpierw zniszczono dwie największe, w Krzemieńczuku i Lisiczańsku. Dwa tygodnie później pociski spadły na niewielkie rafinerie i składy paliwa spółek Neftechim Prikarpatia w Nadwórnej oraz Karpatnieftechim w Kałuszy w obwodzie

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c615e1887d

iwanofrankowskim. Rafineria Szebelińska w obwodzie charkowskim już na początku wojny wstrzymała działalność, a rafineria w Odessie nie może działać z powodu blokady morskiej portu.

W ten sposób Rosjanie drastycznie ograniczyli możliwości produkcji paliw w Ukrainie. Zniszczenia instalacji produkcyjnych, składów paliwa i infrastruktury służącej do transportu produktów naftowych należy liczyć w miliardach dolarów. Dziś Kijów skazany jest na dostawy paliwa z krajów Unii Europejskiej.

Za to nic złego nie dzieje się z trzema gazociągami: Sojuz, Braterstwo i Jamał-Europa, którymi rosyjski gaz płynie przez Ukrainę, Słowację i Czechy do Austrii, Niemiec, Francji i innych bogatych państw Zachodu.

Wojna naprawdę nie przeszkadza w robieniu dobrych interesów. 1 czerwca agencja Bloomberg podała, na podstawie własnych obliczeń, że średni dochód Rosji z eksportu ropy naftowej i gazu może do końca roku sięgnąć ok. 800 mln dol. dziennie. Nie miesięcznie, ale DZIENNIE!

Wniosek jest prosty – im dłużej rosyjskie rakiety i pociski będą niszczyły ukraińskie miasta, drogi, mosty, zakłady przemysłowe i lotniska, tym więcej będą zarabiać Kreml i jego zachodni partnerzy biznesowi.

Bez stali i maszyn

Rzut oka na mapę Ukrainy wystarczy, by zorientować się, że także największe kombinaty hutnicze znalazły się na terenach kontrolowanych przez wojska rosyjskie. Większość została zniszczona lub poważnie uszkodzona. Jest mało prawdopodobne, by w przyszłości odbudowano np. Azowstal. Zakład Żelazostopów Nikopol, największy w Europie producent manganu, jest niemal na linii frontu. Po drugiej stronie Dniepru w Enerhodarze i Kamionce Dnieprowskiej od marca stacjonują oddziały rosyjskie i republik Ługańskiej i Donieckiej.

Zakłady Kryworiżstal, Zaporiżstal, Dniepropietrowski Kombinat Hutniczy, Donieckstal – Zakład Metalurgiczny i inne już kilka lat temu znalazły się w kłopotach. Konkurencja ze strony chińskich i indyjskich producentów była zbyt silna, a po roku 2014 rynek rosyjski został dla ich produktów zamknięty. Skurczyły się zamówienia, spadły przychody, a więc i zyski.

Najbardziej uprzemysłowione, bogate w węgiel i inne surowce obwody na wschodzie kraju zostały zajęte przez wojska rosyjskie i oddziały zbuntowanych republik.

Wojna nie poprawiła sytuacji. Zakłady metalurgiczne, zwłaszcza wielkie, to wygodne cele dla rosyjskich rakiet i pocisków artyleryjskich. Podobnie jak liczne na wschodzie kraju zakłady mechaniczne, w których mogą być remontowane czołgi, transportery opancerzone i inne pojazdy wojskowe. W Dnipro (dawniej Dniepropietrowsku) znajduje się Jużmasz – niegdyś jedno z kluczowych przedsiębiorstw radzieckiego programu kosmicznego i wojsk rakietowych. Produkowano w nim rakiety balistyczne przystosowane do przenoszenia głowic jądrowych. W kwietniu w zakłady Jużmasz trafiło kilka rakiet.

Dramat ukraińskiego przemysłu maszynowego pogłębia fakt, że podobnie jak huty zlokalizowany jest on w miejscowościach doskonale znanych nam z codziennych wiadomości telewizyjnych: Doniecku, Mariupolu, Horłowce, Ługańsku, Chersoniu, Charkowie, Mikołajowie, Kijowie…

Wschód Ukrainy w czasach ZSRR był jednym z czterech – obok Moskwy, Leningradu i Swierdłowska (obecnie Jekaterynburg) – wielkich centrów naukowo-przemysłowych kraju. Straty spowodowane działaniami wojennymi na tym obszarze należy liczyć w setkach miliardów dolarów. Na tym tle zachodnia część Ukrainy to region, którego wojna nie dotknęła. Dlaczego? Gdyż nie ma tam przemysłu ciężkiego.

Kto za to zapłaci?

Jest tajemnicą poliszynela, że dziś ukraińskie państwo utrzymują kraje zachodnie, Stany Zjednoczone i Kanada, oraz takie instytucje jak Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Chodzi nie o dostawy uzbrojenia i amunicji, bez których armia ukraińska nie mogłaby długo walczyć, lecz o pieniądze przeznaczone na pensje urzędników, policjantów, sędziów, lekarzy, prokuratorów, nauczycieli itp. Przecież system poboru podatków nie działa tak sprawnie jak w czasach pokoju. W kwietniu br. w wywiadzie udzielonym dziennikowi „Corriere della Sera" minister finansów Ukrainy Siergiej Marczenko powiedział, że kraj potrzebuje miesięcznie 5 mld dol. tylko na potrzeby humanitarne i cywilne, nie militarne. Na razie te środki się znajdują.

Agencja Bloomberg podała, że średni dochód Rosji z eksportu ropy naftowej i gazu może do końca roku sięgnąć 800 mln dol. dziennie.

Powstała również platforma internetowa United24, za pośrednictwem której z dowolnego miejsca na świecie każdy może wpłacić drobne sumy na rzecz Ukrainy.

Wiadomo, że odbudowa kraju będzie trwała latami i pochłonie setki miliardów dolarów i euro. Nie brakuje głosów, że część pieniędzy powinna pochodzić od Federacji Rosyjskiej. To 300 mld dol. rezerw Centralnego Banku Federacji Rosyjskiej, które 24 lutego br. znajdowały się w zachodnich bankach i zostały zablokowane przez rządy, głównie krajów europejskich. Przekazanie tych pieniędzy Ukrainie byłoby działaniem bez precedensu w relacjach międzynarodowych. Tak czy inaczej środki na odbudowę muszą się znaleźć.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c615e1887d

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Moje oczy śmierdzą książką

Och, jakże nie wolno dziś nie kochać ludu. Skrajna prawica i ekstremalna lewica idą o lepsze w obronie czci pospólstwa, gotowe brać na widły wszystkich, którzy masami niewykształconymi gardzą, nad prymitywem kręcą nosem klasistowskim, chamem się brzydzą. Od kiedy Oldze Tokarczuk wymyślił się na potrzeby mowy noblowskiej czuły narrator, empatia zaczęła funkcjonować w sztukach narracyjnych na prawach dogmatu. Mimo wszystko dość powierzchownie odczytano to przykazanie: każdemu człowiekowi należy się szacunek i basta, dworować sobie z niego nie wolno, czas karykaturzystów przeminął, wszyscy teraz powinniśmy nieustannie się pochylać nad sobą, czule i miłośnie, delikatnie, we wzajemnym zrozumieniu i poszanowaniu. Pieczęć na tym postawiła inwazja barbarzyńców, wojna jako narracja absolutnie nieczuła, doskonałe zaprzeczenie empatii – wobec wydarzeń w Ukrainie rynek literacki i filmowy przechylił się ostatecznie na jasną stronę mocy, producenci wyciągają coś z trzosa tylko na komedie lub filmy familijne, wydawcy odrzucają dystopie, ludzkość teraz pragnie wyłącznie pozytywnego przekazu. Sztuka krytyczna musi się przeformatować lub zniknąć, szydercy mogą sobie pisać do szuflad, a i to w zalęknieniu, czy strażnicy czułości im tych szuflad nie przetrzepią na okoliczność wykrycia przestępstwa przeciw ludzkości.

Ze świecą szukać po księgarniach pereł literackiej mizantropii.

Ze świecą więc szukać po księgarniach pereł literackiej mizantropii, tym większa moja radość, gdy w ostatnich tygodniach udało mi się je wyłowić z oceanu czułych narracji. Świetny jest i jak zwykle bezlitosny Marcin Kołodziejczyk w nowej prozie. „Wolnoć" to książka amorficzna, najbliżej jej do zbioru opowiadań, ale jeśli się trzymać definicji Darka Foksa, mamy tu do czynienia z poezją, bo tekst ma z prawej poszarpane, a i z lewej nie zawsze równo. Niektóre z tekstów są jednozdaniowe ledwie, całość okraszona fotografiami lub rysunkami autora, znanego także z reportaży pisanych od lat do „Polityki". Jako prozaik posługuje się niepodrabialną frazą, umiejętnie żonglując socjolektami, wytężając słuch na wszelkie zwyrodnienia współczesnej polszczyzny, a i poetyckie „readymades", które wyłapuje bezbłędnie, jak w motcie książki, przejętym od trzyletniej dziewczynki: „Twoje oczy śmierdzą książką". Kołodziejczyk wycina maczetą ścieżkę przez tłum Polaków i trzeba przyznać, że siecze sprawiedliwie całą drabinę społeczną, od szczebli wielkomiejskich, przemierzających ulice stołeczne „krokiem, w którym czuć dumę z posiadania", przez wyższą średnią klasę robotniczą, jak w przypadku historii Gorolla Alfonsego (jako rodzony Górnoślązak składam autorowi wyrazy uznania za udatną zabawę naszą mową), aż po uskrzydloną husarsko żulię, do której ma słabość od czasów świetnego „Prymitywu". Młodzi gniewni krytycy wytykają Kołodziejczykowi, że „pisze Masłem", i może nie jest to wcale porównanie krzywdzące, przy czym pazur Doroty Masłowskiej po raz ostatni podrapał mnie do krwi w „Innych ludziach", a potem jakby został potraktowany pilnikiem czułości. Jeśli w najbardziej udanym zdaniu „Bowiego w Warszawie" jedna z postaci „rozgląda się, jakby sondowała wszystko – ludzi i sprzęty – pod kątem nawiertów pod wprowadzenie toksyn", Kołodziejczyk się nie rozgląda, tylko zajadle wierci i wstrzykuje witriol.

Ostatni numer „Literatury na Świecie" oferuje dwa przekorne arcydzieła prozy niesfornej, narracji wysoce dotkliwej, zarazem rozkosznie pogardliwej. Chodzi o relacje podróżne Théophile'a Gautiera i Heinricha Heinego. Chronologicznie rzecz obejmując, niemiecki romantyk pierwszy wsiadł do powozu, by przemierzyć drogę z Monachium do Genui, nie po to jednak, by się napawać krajobrazem, lecz by kąśliwie dawać wyraz rozczarowaniu – a jakże – ludnością. Już w pierwszym akapicie na najwyższej nucie sarkazmu rozprawia się z filistrem, głupota go nie wzrusza, brzydota nie rozczula, podróż jest więc okazją do strzelania z literackiego bata na wszystkie strony – przełożył tę rzecz z właściwą sobie swobodą Jacek Buras. Proza Heinego była inspiracją podróżopisania Gautiera, którego równie jadowitą w opisie „Wycieczkę po Belgii", przedsięwziętą w towarzystwie Gérarda de Nervala w celu znalezienia u źródeł niewiasty „rubensowskiej", przetłumaczył zacnie i opatrzył posłowiem Mateusz Kwaterko. Swoistym ekstremum nieczułości jest w numerze turpistyczno-turystyczna „Podróż za rogatki", a ściślej do Montfaucon, gdzie mieściła się w XIX w. fabryka… gówna. Zwożono tam fekalia paryżan i sporządzano z nich na skalę przemysłową nawóz zwany *poudrette*, co Gautier z niejaką ostentacją i najdrobniejszymi cuchnącymi szczegółami opisuje. Cudowna ohyda.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c615e1887d

Pegasus
zerwał się ze smyczy

Miał być narzędziem autokratów, a sięgają po niego też kraje demokratyczne

Mateusz Mazzini

W ostatnich dniach ubiegłego roku o oprogramowaniu szpiegującym stworzonym przez izraelską firmę NSO Group mówiło się wszędzie. W Polsce temat stał się popularny za sprawą odkrycia inwigilacji polityków PO, Romana Giertycha oraz prokurator Ewy Wrzosek (zresztą od grudnia ta lista się wydłużyła). Znacznie szerzej na świecie komentowano przypadki użycia Pegasusa przez rządy, które akurat można było o to podejrzewać. Bahrajn, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Arabia Saudyjska, Honduras, Węgry. Wszystkie te kraje są albo jawnie autorytarne, albo zdecydowanym krokiem w kierunku autorytaryzmu podążają. W żadnym z nich wybory, jeśli w ogóle są przeprowadzane, nie spełniają kryteriów równości, a wolna prasa została albo zlikwidowana, albo zepchnięta do podziemia. Dziennikarze zresztą nierzadko okazywali się solą w oku satrapów. Dowodem na to niech będą ślady użycia Pegasusa na telefonie saudyjskiego felietonisty „Washington Post" Dżamala Chaszukdżiego czy akcja inwigilowania reporterów dziennika „El Faro", największej środkowoamerykańskiej redakcji śledczej, z jej szefem Óscarem Martínezem na czele.

Podsłuch u Katalończyków

Od końca ubiegłego roku do początku wiosny związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy antydemokratyczną formą rządów a używaniem wszechpotężnego oprogramowania inwigilacyjnego wydawał się więc oczywisty. Pogłębiały go zresztą kolejne odkrycia Citizen Lab, jednostki naukowej przy Uniwersytecie Toronto zajmującej się badaniami na styku demokracji i przestrzeni cyfrowej. Obraz zaczął jednak się komplikować, gdy do listy trzeba było dopisać dwa kolejne kraje: Hiszpanię i Wielką Brytanię. Dwie dobrze funkcjonujące demokracje, z szerokim wachlarzem praw publicznych i, zwłaszcza na Wyspach, dobrze rozwiniętym aparatem cywilnej kontroli nad służbami. W Hiszpanii podsłuchiwani byli liderzy katalońskich ruchów separatystycznych, od lat uważani przed rząd federalny w Madrycie za zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. W październiku 2017 r. zorganizowali w Katalonii referendum niepodległościowe, którego ani premier Pedro Sánchez, ani rodzina królewska nie zamierzali uznać. Konflikt eskalował błyskawicznie, ulice Barcelony zalał rozgniewany tłum budujący barykady i ścierający się z policją. Sytuacja przestała być zwykłym sporem politycznym, a stała się czymś pomiędzy cywilnym zamachem stanu a zalążkiem realnej wojny domowej. Carles Puigdemont, lider separatystów i główny organizator referendum, zrozumiał, że pozostanie w Hiszpanii będzie oznaczało karę więzienia i klęskę całego ruchu, którego był twarzą. Pokojowe współistnienie jego i jego ekipy z rządem Sáncheza było niemożliwe, więc Puigdemont z Hiszpanii po prostu uciekł. Dla wolności – swojej i Katalonii – gotów był poświęcić karierę, odmawiając uczestnictwa w zaprzysiężeniu go na europosła w 2019 r. W Parlamencie Europejskim ostatecznie zasiadł, choć dopiero kilkanaście miesięcy później, po wygraniu długiej batalii sądowej.

Carles Puigdemont był śledzony za pomocą Pegasusa również poza granicami kraju.

Dziś już wiadomo, że Puigdemont był śledzony za pomocą Pegasusa, również poza granicami kraju. Oprogramowanie szpiegowskie zainstalowano też na telefonach co najmniej 65 osób związanych z ruchem separatystycznym. W tym u poprzedników Puigdemonta na stanowisku szefa władz Katalonii od 2010 r. To informacja o tyle ważna, że wcześniejsi premierzy Katalonii, np. bezpartyjny Quim Torra, nie należeli do specjalnie agresywnych zwolenników niepodległości swojego regionu. Większość nie angażowała się też w późniejsze krucjaty Puigdemonta. Po co więc było ich podsłuchiwać?

Ustawka premiera?

Citizen Lab dobrze diagnozuje zainfekowanie Pegasusem, nie ma jednak sposobu na odnalezienie jego przyczyny. Innymi słowy, Kanadyjczycy wiedzą, kto był śledzony, ale nie wiedzą, przez kogo. W sprawie katalońskich separatystów opinia

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl c615e1887d

publiczna szybko wydała wyrok. Podsłuchiwać musiała ekipa Sáncheza! Premier wielokrotnie wypowiadał się przeciwko Puigdemontowi, zapowiadał postawienie przed sądem organizatorów referendum. Miał zatem motyw. Jeśli dodać do tego zapewnienia NSO Group, że klientami Pegasusa mogły być tylko administracje publiczne, naprawdę trudno było mieć jakiekolwiek wątpliwości.

Sprawa się skomplikowała, gdy miesiąc później wyszło na jaw, że ślady Pegasusa znaleziono na telefonie samego Sáncheza. Choć w tym wypadku ekspertyzy nie przedstawiły pozarządowe organizacje z zagranicy, takie jak Citizen Lab czy Amnesty International – zrobiła to hiszpańska publiczna agencja bezpieczeństwa cyfrowego CNC. Zhakowany został też aparat szefowej resortu obrony, Margarity Robles. Opinia publiczna podzieliła się w Hiszpanii prawie na pół. Przeciwnicy rządu nie wierzyli w ustalenia CNC, uznając je za ustawkę. Ich zdaniem Sánchez sfingował własną inwigilację, żeby odsunąć od siebie oskarżenia o bezprawne śledzenie Katalończyków. Po drugiej stronie sporu kwitły z kolei teorie, jakoby Pegasusa na czarnym rynku mieli nabyć ludzie Puigdemonta, by szpiegować Sáncheza. Najbardziej prawdopodobna wydaje się jednak wersja pośrednia. Możliwe, że Pegasus, wbrew twierdzeniom NSO, nigdy nie był sprzedawany wyłącznie rządom. Tezę tę może potwierdzać fakt, że w Polsce w zakupie oprogramowania pośredniczyła prywatna firma Matic, która przekazała go CBA. Być może i w Hiszpanii działał pośrednik, który zatrzymał sobie dostęp do kilku wybranych „kontaktów", jak w fachowym żargonie nazywa się inwigilowaną osobę.

Łowy na Downing Street

Pegasusa znaleziono też w bezpośrednim otoczeniu premiera Wielkiej Brytanii, Borisa Johnsona. Program ściągał dane pracowników i doradców z 10 Downing Street oraz Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jak przyznaje John Scott-Railton z Citizen Lab, to odkrycie było szokiem nawet dla badaczy. „Szczęka mi opadła", powiedział w rozmowie z reporterem magazynu „New Yorker" Ronanem Farrowem. Wątek brytyjski był o tyle bardziej przerażający, że tu Pegasus użyty został najpewniej jako szpiegowska broń ofensywna. Tropy prowadziły m.in. do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, których służby inwigilowały zbiegłą na Wyspy księżniczkę Haję, byłą żonę emira Dubaju. Brytyjczycy nie byli w stanie jej ochronić, co pokazuje, że Pegasus przebija się przez nawet najsilniejsze tarcze cyberprzestrzeni.

Afery w Madrycie, Barcelonie i Londynie to tylko wierzchołek góry lodowej. Ronan Farrow tematem Pegasusa zajmował się przez półtora roku, publikując ustalenia w reportażu dla „New Yorkera" w kwietniu tego roku. Udało mu się ustalić, że demokracji, które nabyły Pegasusa, było znacznie więcej. Przyznali się do tego Niemcy, nie zaprzeczyła też belgijska policja, zasłaniając się ogólnikami o używaniu „narzędzi inwigilacyjnych w granicach prawa" – co brzmi jota w jotę jak tłumaczenia polskiego rządu i służb. Ile jeszcze krajów zostanie zdemaskowanych? A może błędem jest myślenie tylko o krajach, skoro w handlu tym oprogramowaniem coraz częściej pojawiają się prywatne spółki?

Jedyne, co można stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, to absolutny monopol NSO Group. O dominacji Izraelczyków mówią zarówno badacze z Citizen Lab, jak i szefowie dużych firm informatycznych. One także są celem, często wręcz ofiarą Pegasusa, dlatego z tym i innymi oprogramowaniami szpiegowskimi walczą, chcąc zapewnić bezpieczeństwo użytkownikom ich sprzętu. NSO Group stworzyła potwora, nie wiadomo jednak, czy nadal go kontroluje. Czy rzeczywiście to od niej zależy utrzymanie oprogramowania w stanie funkcjonalnym. Wreszcie – czy to do NSO spływają dane pochodzące z inwigilacji albo czy Izraelczycy mają do nich wgląd. Pegasus to coraz potężniejszy stwór, który uwiódł nawet rządy silnie demokratyczne. W dodatku wszystko wskazuje, że zerwał się ze smyczy.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

> Możliwe, że wbrew twierdzeniom Izraelczyków Pegasus nigdy nie był sprzedawany wyłącznie rządom.

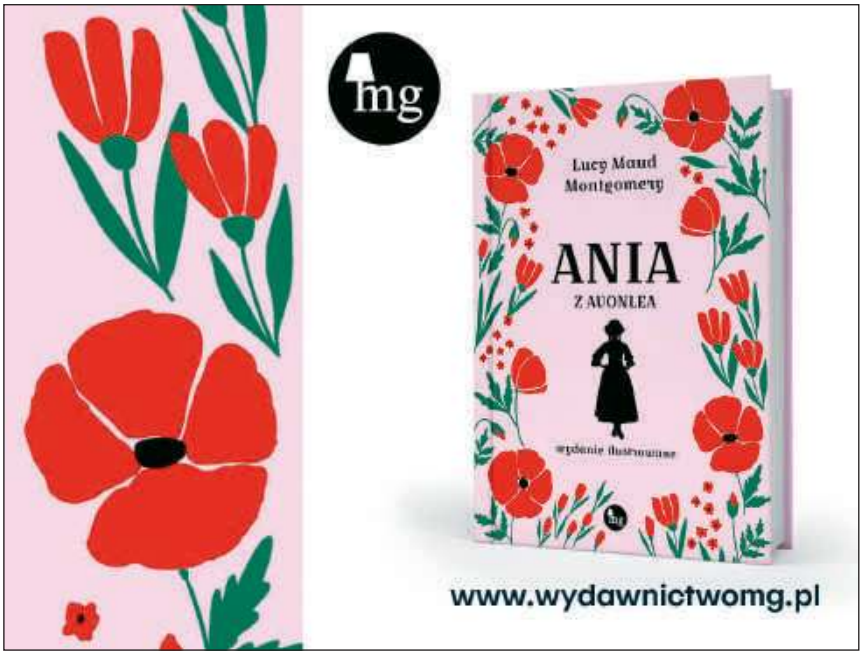

eprasa.pl c615e1887d

Tomasz Skowronek

Wpływowe Afganki działają z Grecji

Od przejęcia władzy przez talibów Ateny stały się drugim domem dla afgańskich polityczek, dziennikarek i aktywistek

Shagufa Noorzai pochodzi z rozdartej wojną konserwatywnej prowincji Helmand w południowym Afganistanie. Kiedy została wybrana na posłankę w 2018 r., miała 24 lata, co czyni ją najmłodszym posłem w historii tego kraju. Była znana z zaangażowania w prawa dziewcząt i kobiet. „Posłowie z mojej prowincji nie zwracali zbytniej uwagi na sprawy kobiet i młodzieży – wyjaśnia. – Byli częścią mafijnego systemu politycznego i nie uświadamiali ludziom, że mogą się zaangażować w społeczeństwo obywatelskie. Chciałam pokazać, że jest inny sposób. Pracowałam już dla mieszkańców Helmandu na poziomie lokalnym. Zaufali mi, pomogłam im i dałam im głos. Mój ojciec i matka wspierali mnie w tym".

Kiedy w sierpniu zeszłego roku talibowie zdobyli Kabul, zapanował chaos. Shagufa Noorzai ukrywała się przez dziesięć dni w piwnicy. Szukając jej, talibowie włamali się do jej rodzinnego domu i splądrowali go. W końcu deputowanej udało się dotrzeć na stołeczne lotnisko z matką, siostrą w zaawansowanej ciąży i jednym z braci. Był 26 sierpnia, dzień, w którym samobójczy atak na jedną z bram wjazdowych, dokonany najprawdopodobniej przez ISIS, zabił ok. 180 osób. Shagufa Noorzai widziała zakrwawione i porozrywane ciała. Światowe agencje informacyjne relacjonowały zamach na lotnisku w Kabulu. Noorzai miała szczęście, w tym czasie wsiadała do samolotu do Iranu. Potem poleciała do Gruzji i wreszcie dotarła do Grecji, gdzie obecnie mieszka.

Złożona akcja ratunkowa była możliwa dzięki sieci różnych podmiotów, przede wszystkim amerykańskiej organizacji pozarządowej Mina's List, która pomogła uciec tysiącom kobiet i ich rodzin. Tuż po przyjeździe do Aten Noorzai wraz z innymi byłymi posłankami postanowiły utworzyć parlament na uchodźstwie – Sieć Parlamentarzystek i Liderek Afgańskich (AWPLN). W jej ramach spotykają się, rozmawiają z politykami, dyplomatami i organizacjami pozarządowymi.

Po przyjeździe do Aten Shagufa Noorzai z innymi byłymi posłankami utworzyła parlament na uchodźstwie – Sieć Parlamentarzystek i Liderek Afgańskich.

„Jestem bardzo wdzięczna Mina's List, bez niej pewnie nadal tkwiłabym w Kabulu. Jak tylko tu przyjechaliśmy, z innymi posłankami starałyśmy się zorganizować. Większość jest teraz w Grecji. Spotykamy się regularnie i zastanawiamy, jak możemy pomóc kobietom, które musiały zostać w Afganistanie. Nie mogą już chodzić do szkoły ani na uczelnię, a wiele nie mogło wrócić do pracy. Talibowie odebrali im wszelkie prawa – mówi młoda polityczka. – Chcemy zbudować sieć z naszym parlamentem emigracyjnym. Zależy nam, aby społeczność międzynarodowa usłyszała nasze obawy o kobiety i dzieci w Afganistanie".

Chcemy pokazać światu, czym są rządy talibów.

W afgańskim parlamencie obowiązywały kwoty płci: w 2019 r. posłanki stanowiły 30% i był to wyższy odsetek niż w Kongresie USA (2019 – 24%), a nawet w niektórych krajach UE, takich jak Bułgaria, Czechy czy Chorwacja. Nim talibowie wrócili do władzy, w afgańskim parlamencie zasiadało 69 kobiet, z których 25 obecnie mieszka w Atenach.

Po przejęciu władzy w Afganistanie przez talibów Grecja przyjęła wielu afgańskich dysydentów. Od września 2021 r. Ateny zapewniają bezpieczną przystań ponad 800 afgańskim sędziom, prawniczkom i dziennikarkom wraz z ich rodzinami. Przybyły tu z pomocą organizacji pozarządowych, międzynarodowych grup pomocowych i kilku osób lobbujących u greckich przywódców, aby ewakuowali z Afganistanu ludzi, których życie było najbardziej zagrożone, czyli kobiety reprezentujące demokratyczne społeczeństwo kraju.

FOT. TWITTER

eprasa.pl c615e1887d

Grecja, szczególnie pod rządami konserwatystów, nie miała opinii kraju przyjaznego uchodźcom. Dla większości greckie drzwi do Europy są zamknięte: ogrodzenie na granicy z Turcją, sprzęt obserwacyjny, wojsko. Ci, którym uda się przedrzeć przez tę zaporę, prawdopodobnie znajdą się w obozach przypominających fortece, otoczonych drutem kolczastym i policją. Aby zniechęcić Afgańczyków do przyjazdu bez odpowiedniego pozwolenia, greckie Ministerstwo ds. Migracji przygotowało nawet kampanię medialną, w której przedstawia surowe warunki życia w obozach dla migrantów. Jak pisze portal Politico, szczególną rolę w umożliwieniu pobytu afgańskim aktywistom odegrał list napisany do żony premiera przez Ameda Khana, amerykańskiego filantropa.

We wrześniu Khan rozpoczął starania, aby sprowadzić dziesiątki Afgańczyków i ich rodzin do Grecji. Po uzyskaniu niemal natychmiastowej zgody greckich urzędników koordynował z rządem pokrycie kosztów wyżywienia, zakwaterowania i ubezpieczenia zdrowotnego ewakuowanych, a z Ministerstwem ds. Migracji zorganizowanie operacji. „Napisałem do żony premiera Grecji, Marevy Grabowski, która jest moją starą przyjaciółką, i powiedziałem jej, że chcę pomóc afgańskim uchodźcom, tylko nie mam dokąd ich zabrać – mówi filantrop. – Godzinę później greckie urzędy i ministerstwa dały mi zielone światło. Nawet nie musiałem zbytnio się narzucać i o to prosić".

Wiele organizacji pozarządowych, takich jak Melissa Network, Mina's List czy Human Rights 360, przeprowadziło ewakuacje we współpracy z greckim rządem. Jedna z pierwszych operacji ewakuacyjnych miała miejsce w październiku 2021 r., kiedy przez Tbilisi, stolicę Gruzji, do Aten przybyło 26 sędzi i prawniczek z rodzinami. Ich bezpieczny transfer odbył się z pomocą prezydentki Kateriny Sakellaropoulou. Kobiety zostały przyjęte na lotnisku w Atenach, gdzie zostały zarejestrowane, a następnie zabrane do mieszkań zapewnionych w ramach programu ESTIA Ministerstwa ds. Migracji.

Także w październiku niewielka grupa afgańskich dysydentek spotkała się z premierem Grecji Kiriakosem Mitsotakisem i prezydentką Kateriną Sakellaropoulou. Premier napisał wówczas na Twitterze: „Grecja oferuje bezpieczny przejazd i tymczasowe zakwaterowanie kobietom, które pełniły funkcje parlamentarzystek i sędzi w Afganistanie, a także ich krewnym. W przeciwnym razie ich życie byłoby zagrożone przez talibów. Jestem bardzo dumny z działań, które podejmujemy".

„Straciliśmy wszystko, gdy talibowie przejęli Afganistan: naszą tożsamość, nasze domy, nasze siostry, nasze miejsca pracy, nasze możliwości, naszą infrastrukturę – mówi w rozmowie z portalem eKathimerini Homa Ahmadi, posłanka obecnie mieszkająca w Atenach. – Większość osób, które opuściły Afganistan lotami ratunkowymi, należała do elity kraju: byli to edukatorzy lub urzędnicy rządowi. Wyjechali w niepewną przyszłość. Byli oczami i uszami afgańskiego społeczeństwa, a teraz nie mają nic".

W afgańskim parlamencie obowiązywały kwoty płci: w 2019 r. posłanki stanowiły 30% i był to wyższy odsetek niż w Kongresie USA.

W Afganistanie system rządzenia padł w ciągu 24 godzin i tak po prostu wszystko się skończyło.

W budynku należącym do organizacji Melissa Network regularnie spotykają się byłe posłanki i inne wygnane afgańskie kobiety, które są członkiniami Sieci Parlamentarzystek i Liderek Afgańskich. „Nasza praca jeszcze się nie skończyła. Zostałyśmy wybrane przez Afgańczyków do ich reprezentowania – wyjaśnia w komunikacie prasowym Nazifa Yusufi Bek, jedna z pomysłodawczyń AWPLN. – Nasi ludzie, zwłaszcza kobiety i dziewczęta, a także osoby żyjące w ubóstwie, stoją w obliczu poważnego kryzysu humanitarnego i są narażone na represje ze strony talibów. Będziemy im nadal służyć, gdziekolwiek jesteśmy".

Sieć powstała w ciągu tygodnia od przybycia kobiet do Grecji, która dla większości nie jest miejscem docelowym. Wiele z nich nie znało się wcześniej, ale zbliżyły się podczas przymusowej podróży. Nazifa Yusufi Bek była ustawodawczynią reprezentującą region Tachar w afgańskim parlamencie. Teraz jest prezeską AWPLN. Ciągle dostaje SMS-y i nagrania telefoniczne, od których w jej oczach pojawiają się łzy. Próbuje się skontaktować z matką, aby się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja w ojczyźnie. Cały czas pamięta o tym, że większość współpracujących z nią kobiet zostawiła w kraju bliskich lub straciła ich w walce.

„Mam te obrazy w pamięci – Nazifa przywołuje ostatnie wspomnienie sprzed ucieczki. – Było tak wiele ofiar. Straciliśmy tylu młodych ludzi, którzy zostali zaciągnięci do afgańskiego wojska. W dniu naszego wyjazdu na lotnisku doszło do wybuchu i ponad tysiąc osób zginęło lub zostało rannych. To nasze główne wspomnienie. To i patrzenie, jak upada system rządzenia. Padł w ciągu 24 godzin i tak po prostu wszystko się skończyło". Jak zaznacza, do końca nie wiedziała, czy powinna opuścić kraj, jednak niebezpieczeństwo było zbyt wielkie. Teraz w Atenach wraz z innymi kobietami próbuje wpływać na społeczność międzynarodową. „Bardzo nam przykro z powodu tego, co się dzieje w naszym kraju, chcemy więc pokazać światu, czym są rządy talibów. Staramy się podnieść świadomość społeczności międzynarodowej, zrobić coś dla ludzi, którzy wciąż żyją w bardzo niebezpiecznych warunkach". Nazifa podkreśla, że świat nie powinien uznać rządu talibów, jeśli ten nie uzna praw kobiet ani demokracji. ■

eprasa.pl c615e1887d

Wirus bardziej autorytarny

Wraca ryzyko zakażeniem wirusem zika. A wraz z nim dyskusja o demokracji i chorobach

Mateusz Mazzini

To jedna z tych historii, których już nigdy nie chcielibyśmy usłyszeć, ale przeczuwaliśmy, że może się wydarzyć ponownie, i to szybciej, niż ktokolwiek zakładał. W maju 2015 r. po obu stronach Kanału Panamskiego służby sanitarne postawiono w stan najwyższej gotowości. Zika, wirus przeanalizowany co prawda już w 1947 r., ale niespecjalnie dobrze przestudiowany, zaczął się rozprzestrzeniać coraz szybciej po całej półkuli, zwłaszcza na tropikalnych i subtropikalnych szerokościach geograficznych. Jego epicentrum szybko ustabilizowało się w Brazylii, ale łącznie w ciągu zaledwie pięciu miesięcy pojawił się aż w 21 krajach w Ameryce Południowej, Centralnej i Północnej. Przenoszony przez komary, wcześniej wywołał tylko kilka lokalnych, niespecjalnie groźnych epidemii, głównie w Indiach i Azji Południowo-Wschodniej.

Nie był też uważany za przesadnie niebezpieczny. Według ówczesnego stanu wiedzy jakiekolwiek objawy – najczęściej grypopodobne, np. bóle mięśniowe i lekką gorączkę – notowano zaledwie u kilkunastu procent zakażonej populacji. Ofiar śmiertelnych nie było prawie wcale, jeśli ten wirus zabijał, to tylko jako dodatek do znacznie silniejszych. W rankingu chorób tropikalnych zika przegrywała zatem ze znacznie bardziej śmiercionośnymi, ale i bardziej znanymi malarią, dengą czy żółtą febrą.

Siedem lat temu było inaczej. Odsetek chorej populacji wprawdzie nie wzrósł znacząco, ludzie nie zaczęli umierać, ale wirus okazał się bardziej szkodliwy, choć nie od razu. Amerykańskiej CDC, federalnej agencji zajmującej się badaniem i prewencją chorób zakaźnych, mniej więcej cztery miesiące zajęło ustalenie ponad wszelką wątpliwość, że wirus może powodować głębokie zmiany neurologiczne u zakażonych. Niedowłady kończyn, problemy ze wzrokiem, niekiedy również zaburzenia poznawcze. Szczególnie niebezpieczny był jednak dla kobiet w ciąży. Jeśli zostały one ukąszone przez komara nosiciela, istniało spore ryzyko, że płód będzie miał wady rozwojowe. Najczęściej była to mikrocefalia, czyli defekt genetyczny polegający na nienaturalnym uformowaniu się kształtu czaszki. W samej Brazylii, gdzie w latach 2015-2016 ziką zaraziło się ponad 1,5 mln osób, zdiagnozowano aż 3,5 tys. przypadków mikrocefalii. W innych krajach, takich jak Salwador, Kolumbia i Nikaragua, władze otwarcie odradzały kobietom zachodzenie w ciążę, dwa pierwsze kraje uznały dopiero dwuletni horyzont czasowy – a więc rok 2018 – za bezpieczną perspektywę na macierzyństwo. Kontrolować tego oczywiście nie było jak, aczkolwiek dane dotyczące przyrostu naturalnego w Ameryce Południowej pokazują, że niejedną parę paraliżował wtedy strach przed decyzją o dziecku.

Zika mutuje bardzo szybko. Jest zaledwie „o jedną mutację" od stania się wirusem masowego rażenia.

Od tego czasu zika nie była częstym gościem w mediach. Trochę miejsca poświęcały jej redakcje amerykańskie, bo choroba dotarła też do USA, choć oczywiście nie w takich rozmiarach i z proporcjonalnie mniejszymi konsekwencjami. W Europie z kolei stanowiła jedynie wakacyjną sensację tamtego lata. Przypadki były sporadyczne, czasami liczone na palcach jednej ręki, jak w Portugalii, gdzie odnotowano pięcioro nosicieli, wszystkich z historią niedawnych podróży do Brazylii. W popularnym odbiorze zika była więc kolejną tajemniczą chorobą tropików, kompletnie niezagrażającą bogatej i, co ważne dla dalszej części tekstu, demokratycznej Północy. Kiedy sezon na podróże powoli dobiegł końca, zapomniano o komarach, wadach rozwojowych płodów i strachu przed ciążą.

Wybuch pandemii koronawirusa ponad dwa lata temu sprawił jednak, że globalne myślenie o chorobach zakaźnych zmieniło się, przynajmniej na poziomie dyskursu. Covid uderzył we wszystkich, bez względu na położenie geograficzne, kolor skóry czy poziom rozwoju gospodarki. Nie wszystkich oczywiście tak samo przeorał, niektóre kraje przeszły przez zarazę prawie suchą stopą. Wiadomo, że bogatsze i sprawniej zarządzane państwa, w których społeczeństwo cechuje się dużym zaufaniem do władzy i publicznie wypowiadających się ekspertów, z zagrożeniem wywołanym przez wirusa poradziły sobie lepiej. Jednak właśnie ze względu na uniwersalizm koronawirusa Północ znów musiała spojrzeć na Południe. Co bowiem z tego, że Europa, Australia czy Stany Zjednoczone wyszczepią większość populacji, hamując w ten sposób rozprzestrzenianie się wirusa, skoro nie zrobią tego kraje afrykańskie czy latynoskie. Tam wirus będzie mógł swobodnie mutować, tworząc nowe warianty, zagrażające również bogatej, białej Północy. W interesie wszystkich było zatem, by każdy kraj otrzymał chociaż podstawowe narzędzia do ograniczenia zasięgu pandemii.

Taka narracja dominowała jeszcze latem 2021 r. Pieśń o wspólnej globalnej walce z chorobą zakaźną jak zwykle jednak ładnie się zaczęła,

eprasa.pl c615e1887d

W samej Brazylii w latach 2015-2016 wirusem zika zaraziło się ponad 1,5 mln osób.

ale przy refrenie słychać było już fałsz. Koncerny nie chcą zdjąć patentów ze swoich technologii, Europa i USA wolą chomikować szczepionki dla siebie na kolejne lata, niż przekazać je Afryce i Azji. W efekcie świat wcale nie wygrał z pandemią koronawirusa, nawet jeśli sam dla siebie ogłosił w tej walce zwycięstwo.

Co to ma wspólnego z epidemią ziki sprzed siedmiu lat? Wbrew pozorom bardzo wiele. Po pierwsze, wirus znów zaczyna się rozpędzać. W 2021 r. ponownie pojawił się w Indiach. W stanie Kerala zaraziło się nim kilkadziesiąt osób, w tym 14 pracowników ochrony zdrowia, wysłanych przez rząd federalny ze swoistą misją edukacyjną. Mieli przekazywać lokalnej populacji informacje na temat wirusa, informować o jego konsekwencjach, a w razie zakażenia oferować diagnozy, w tym badania prenatalne. Skończyli sami w grupie zakażonych. W Indiach powtórzyła się historia z Brazylii: uszkodzenia układu nerwowego u dorosłych, mikrocefalia u noworodków. I pytanie, czy tej mikroepidemii można było zapobiec. Tegoroczne raporty mówią z kolei, że zika znów szybko rozprzestrzenia się w Brazylii, grożąc kolejną zarazą tropikalną. Najważniejsze jest jednak nie to, co się powtarza, ale to, co się zmieniło.

Opublikowane dwa miesiące temu wyniki badań przeprowadzonych przez zespół wirusologów z Uniwersytetu Teksańskiego w Austin wskazują, że zika mutuje bardzo szybko. A dokładnie mówiąc, jest zaledwie „o jedną mutację" od stania się wirusem masowego rażenia. Kolejne jego warianty prowadzą do wad prenatalnych u coraz wyższego odsetka zarażonych ciężarnych kobiet. Rośnie też wachlarz samych defektów, które wirus wywołuje, oraz intensywność objawów u dorosłych. Innymi słowy, kolejna kontynentalna zaraza może nie być już tylko egzotyczną ciekawostką.

W 2021 r. wirus ponownie pojawił się w Indiach. W stanie Kerala zaraziło się nim kilkadziesiąt osób, w tym 14 pracowników ochrony zdrowia.

Po siedmiu latach od ostatniej epidemii kraje wówczas nią dotknięte nie są ani trochę lepiej przygotowane do walki z chorobą. Sama Brazylia została zdewastowana przez covid, przede wszystkim dlatego, że rządzący nią populistyczny autokrata Jair Bolsonaro przez długie miesiące negował zagrożenie wynikające z koronawirusa. Jego zaniechania były katastrofalne w skutkach, liczba ofiar oficjalnie wyniosła 667 tys. osób, nieoficjalnie mówi się o grubo ponad milionie. Dodatkowo pandemia mocno spolaryzowała Brazylijczyków. Zwolennicy Bolsonara, radykalizowani hasłami o globalnych marksistowskich spiskach przeciw niemu, uwierzyli w negacjonistyczną narrację. Jeszcze słabszy stał się autorytet wszelkiej władzy, nie mówiąc o świecie nauki. W dodatku głęboko niedemokratyczny charakter rządów obecnego prezydenta spowodował, że Brazylijczycy mniejszym szacunkiem darzą literę prawa. Mniej zatem prawdopodobne, by przestrzegali zasad ewentualnego kolejnego reżimu sanitarnego, bez względu na to, kto go wprowadzi.

Prezydentem Bolsonaro pozostanie pewnie do końca roku. Zaplanowane na 2 października wybory prawdopodobnie przegra, chyba że do nich w ogóle nie dopuści. Po drodze będzie jednak pora deszczowa, a więc czas namnażania się komarów. Nie da się wykluczyć, że zika znów uderzy na skalę kontynentalną. Nowa mutacja będzie zapewne groźniejsza od poprzedniej.

Złe przygotowanie to zresztą problem nie tylko tropików czy biedy, ale głównie systemów politycznych. Jak zauważa „The Economist", kraje autorytarne lub w tę stronę dryfujące radzą sobie z chorobami zakaźnymi dużo gorzej od demokracji. Tygodnik przygotował ostatnio analizę zestawiającą te dwie zmienne na podstawie danych zbieranych przez Katolicki Uniwersytet Lowański w Belgii. Tamtejsza baza zawiera informacje o wszystkich rejestrowanych epidemiach od 1960 r. Wnioski są często niejednoznaczne, poza jednym: demokratyczne rządy, mimo zawiłej biurokracji i wielogłosu decyzyjnego, choroby zakaźne opanowują szybciej, lepiej, skuteczniej. Niezależnie od tego, ile mają pieniędzy w budżecie. Podejmując więc kolejną decyzję przy urnie, warto o tym pamiętać. Wybiera się wtedy nie tylko przywódców kraju, ale też szansę na dłuższe i zdrowsze życie.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl c615e1887d

Pierwsze powstanie w demoludach

17 czerwca 1953 r. w NRD doszło do strajków i krwawych zamieszek

Eugeniusz Guz

Zaledwie cztery lata po proklamowaniu Niemieckiej Republiki Demokratycznej, powstałej w odpowiedzi na utworzenie przez mocarstwa zachodnie Niemieckiej Republiki Federalnej, 17 czerwca 1953 r. w Niemczech Wschodnich doszło do strajków i krwawych zamieszek. Był to pierwszy buntowniczy zryw ludności w krajach demokracji ludowej. Wydarzenia te długo pozostawały białą plamą, ponieważ w NRD wracano do tematu niechętnie, a jeżeli już, to poprzestawano na lakonicznych tekstach, w dodatku rażąco upraszczających fakty. Z kolei historykom i publicystom w PRL nie wypadało wersji tej kwestionować. Szczególnie że sami nie byliśmy lepsi w opisie dramatycznych zrywów własnej ludności.

Budowlańcy na czele buntu

Wstępem do tych wydarzeń była decyzja Rady Ministrów NRD z 28 maja 1953 r. o wprowadzeniu w gospodarce wyższych norm pracy. Kłóciło się to z ogłoszoną niemal równolegle (11 czerwca) polityką „nowego kursu". Z narady w Moskwie przywódcy przywieźli nakaz szybkiego złagodzenia stalinowskiego kursu „przyśpieszonej budowy socjalizmu", ogłoszonego latem 1952 r. Zapowiadano odwilżowe, liberalne ułatwienia w codziennym życiu, obiecano podjęcie reformatorskich kroków w zarządzaniu państwem. Zapowiedź rewizji wyroków w procesach politycznych obudziła nadzieję, że nastąpi otwarcie na demokratyzację. Być może władze sądziły, że ułatwi to przełknięcie podwyższenia norm. Prawdopodobnie obietnica liberalizacji w połączeniu ze śmiercią Stalina i wywołaną tym przejściową dezorientacją polityczną i w Moskwie, i w Berlinie w jakimś stopniu ośmieliły ludność do wyjścia na ulice.

Pierwsi, już 15 czerwca, przerwali pracę i zaprotestowali w kilku punktach Berlina robotnicy budowlani. Była to wówczas arystokracja robotnicza, najbardziej świadoma swojej wartości i dobrze zorganizowana. Poza przerwaniem pracy skierowano pismo protestacyjne do premiera Ottona Grotewohla, a 16 czerwca manifestacja budowlańców, do których dołączyli liczni przechodnie, przemaszerowała głównymi ulicami miasta pod siedzibę rządu. Po drodze pochód zatrzymał się przed gmachem centrali związkowej FDGB, jednak żaden z funkcjonariuszy związkowych nie wyszedł porozmawiać z protestującymi. Zamknięte drzwi manifestanci zastali także w Urzędzie Rady Ministrów, nadaremnie domagając się spotkania z Grotewohlem bądź z I sekretarzem SED, Walterem Ulbrichtem. W końcu do tłumu wyszli (nie wiadomo, czy z własnej inicjatywy, czy delegowani) sekretarz berlińskiej organizacji partyjnej Heinz Brandt oraz profesor Uniwersytetu Humboldta, znany późniejszy dysydent, Robert Havemann. Obiecali odwołanie zwiększonych norm. Ale czy ich ustne zapewnienia mogły uspokoić nastroje?

Władze oficjalnie i jednoznacznie wycofały się z tej decyzji 17 czerwca, ale było już za późno, by zapanować nad sytuacją; w międzyczasie zgłoszone zostały nowe żądania. Góra partyjna i związkowa popełniły błąd – zamiast błyskawicznie zareagować na pierwszy sygnał niezadowolenia, ociągały się z wysłuchaniem protestujących. W końcu zdobyły się na suchy komunikat, nadal nie kwapiąc się do bezpośrednich rozmów z przedstawicielami wzburzonej ulicy.

Od rana 17 czerwca robotniczy bunt zaczął się rozlewać na całą NRD. Zastrajkowało ok. 600 zakładów pracy, czyli mniej więcej pół miliona zatrudnionych – do strajku generalnego było zatem jeszcze daleko. Nie doszło do niego głównie dlatego, że władza zastosowała środki siłowe, tłumiąc rozruchy przede wszystkim przy użyciu wojsk radzieckich. Lokalne niepokoje o różnym stopniu natężenia miały miejsce w ok. 400 miejscowościach. Na terenach przemysłowych wokół Halle, Lipska, Chociebuża, Gery i Magdeburga były nawet silniejsze niż w samym Berlinie. W niektórych rejonach do protestujących przyłączyli się chłopi. Demonstranci wdarli się do ok. 140 budynków partyjnych bądź związkowych, administracji państwowej i policji. Szturmowano nawet więzienia, uwalniając ok. 1,3 tys. więźniów, nie tylko politycznych. Nie należało do rzadkości zrywanie emblematów partyjnych i państwowych,

Robotniczy bunt rozlał się na całą NRD. Zastrajkowało ok. 600 zakładów pracy, czyli mniej więcej pół miliona zatrudnionych.

eprasa.pl c615e1887d

Berlin, plac Poczdamski, 17 czerwca 1953 r.

haseł państwowotwórczych, niszczenie portretów przywódców. Doszło również do pojedynczych podpaleń.

Kule przeciw robotnikom

Buntom brakowało jednak „jasno określonych celów", jak czytamy w jednym z posthoneckerowskich opracowań. Wybuchały bez uprzedniego przygotowania, chaotycznie. Nie mniej chaotyczne były żądania niezadowolonych. Postulaty socjalne mieszały się z politycznymi, wśród których dość głośno rozlegało się żądanie ustąpienia rządu i przeprowadzenia wolnych wyborów. W tłumie padały okrzyki „Precz ze Szpicbródką!" (Ulbricht) i „Rosjanie do domu!" (jeszcze przed wkroczeniem wojsk radzieckich do akcji). Czy krzyczeli tylko miejscowi, czy także, lub głównie, zachodni berlińczycy, trudno powiedzieć. Rosjanie początkowo czuli się zdezorientowani, wykazywali powściągliwość. „Ulbricht prosił Rosjan o interwencję, lecz ci początkowo nie chcieli się angażować. To wasza sprawa – mówili. – Dopiero za pośrednictwem Moskwy Ulbricht spowodował, że jednak wkroczyli". Władze NRD szukały wsparcia u Rosjan – nie tylko dlatego, że własne, nieokrzepłe jeszcze siły policyjne były słabe. Nie było pewności, czy można zaufać policji, czy w godzinie próby niektóre jednostki nie przeszłyby na stronę demonstrantów lub po prostu zachowały bierność.

Jednostki radzieckie pojawiły się na ulicach Berlina 17 czerwca, po wprowadzeniu przez komendanturę radziecką o godz. 13 stanu wyjątkowego, ogłoszonego też w kilku innych miastach. Demonstracje szybko rozpraszano, strzelając ostrą amunicją. Ehrhart Neubert, autor prawie 1000-stronicowej pracy o opozycji w NRD, utrzymuje, choć nie podając źródeł, że z powodu odmowy wykonania rozkazu rozstrzelano 40 żołnierzy. Władze wojskowe przyznały się jedynie do siedmiu takich przypadków.

Radzieccy komendanci wydali m.in. rozkaz publicznej egzekucji kilku cywilów, w tym mieszkańca Berlina Zachodniego Willy'ego Göttlinga. Między dzielnicami miasta istniał swobodny przepływ ludności. NRD zamknęła granicę dopiero 13 sierpnia 1961 r. Ostatnie strajki wygasły 20 czerwca. Bilans ofiar to co najmniej 50 zabitych demonstrantów i 10 policjantów. Liczba rannych szła w setki. Jeszcze bardziej bolesne dla uczestników bądź sympatyków powstania były represje po jego zdławieniu. Aresztowano ok. 6 tys. osób, z czego jedną trzecią wkrótce zwolniono, chociaż zapewne fakt zatrzymania odnotowano w ich aktach personalnych. Wśród aresztowanych było 3,5 tys. robotników i ok. 1,8 tys. pracowników umysłowych, chłopów i rzemieślników. Charakterystyczną cechą powstania była nieobecność wśród demonstrantów środowisk inteligenckich i intelektualnych. Częste były przypadki deklarowania z ich strony poparcia dla władz.

Zdławienie ulicznego zrywu spotęgowało falę ucieczek do Berlina Zachodniego. Kilka tysięcy osób oddało legitymacje partyjne, setki osób wykluczono z partii, a w instytucjach państwowych i na uczelniach doszło do czystek personalnych. Najwyżej postawioną ofiarą tych czystek był socjaldemokrata, minister sprawiedliwości Max Fechner, który nie obronił się przed zarzutem niedopuszczalnej w początkowym okresie powściągliwości organów ścigania. Został nie tylko usunięty z SED, ale i skazany na karę więzienia.

Kościół ewangelicki stał na uboczu zrywu ulicznego, a nawet odradzał udział w demonstracjach. Po przegranej w kołach kościelnych mówiono o bezcelowości wszelkiego sprzeciwu i opozycji, bo władzy się nie pokona.

Postulaty socjalne mieszały się z politycznymi. Dość głośno rozlegało się żądanie ustąpienia rządu i przeprowadzenia wolnych wyborów.

Zachód mieszał?

W NRD unikano przypominania daty 17 czerwca. Gdy już trzeba było ją zauważyć, mówiono o inspirowanym przez Zachód puczu. Wersję tę przyjęli nawet tak szanowani intelektualiści jak Anna Seghers, Bertolt Brecht, Stefan Heym[1] czy Erich Loest. Prof. Robert Havemann jeszcze

FOT. ARD ARCHIVE

eprasa.pl c615e1887d

długie lata twierdził, że w powstaniu miały udział elementy faszystowskie. W przeciwieństwie do wykładni SED intelektualiści nie byli jednak bezkrytyczni i wskazywali wewnętrzne, uzasadnione przyczyny niezadowolenia. Erich Honecker, wieloletni przywódca, w wydanej w 1980 r. autobiografii „Aus meinem Leben" kwituje datę 17 czerwca jakby mimochodem kilkudziesięcioma zdaniami: „Błędem okazało się przede wszystkim podwyższenie w sposób administracyjny norm. Wśród robotników wywołało to niezadowolenie. Ich zaufanie do partii i rządu zostało zakłócone. Na początku czerwca 1953 r. KC SED i Rada Ministrów podjęły kroki zmierzające do skorygowania błędnych decyzji, ustabilizowania gospodarki i poprawy poziomu życia ludzi pracy. Zanim jednak decyzje mogły wejść w życie, uderzył przeciwnik. 17 czerwca 1953 r. w Berlinie i w kilku innych miastach doszło do przerwania pracy i demonstracji. Wrogowie socjalizmu wykorzystali niezadowolenie pracujących, żeby podjąć próbę kontrrewolucyjnego puczu, od dawna przygotowywanego przez imperialistyczne wywiady i centrale agentów. Do oczekiwanego przez nich »strajku generalnego« jednak nie doszło. Gdy robotnicy zorientowali się, że kontrrewolucyjni prowokatorzy szaleją jak faszyści, szybko odcięli się od nich. W wielu zakładach zdecydowanie przeciwstawili się podżegaczom. Do akcji wkroczyły zbrojne organa NRD, wspierane przez stacjonujące w NRD radzieckie siły zbrojne. Przesądziło to o szybkim załamaniu się prób puczystów. Ugaszono potencjalne źródło kryzysu jako zapalnik konfliktów militarnych w centrum Europy". Tak myślał Honecker jeszcze w 1980 r.

Źródła zachodnie oceniają obecność zachodnich berlińczyków znacznie skromniej. W publikacji Ehrharta Neuberta[2] znajdujemy podsumowanie: „W demonstracjach licznie uczestniczyli zachodnioberlińczycy, którzy w większej liczbie napłynęli do sektora wschodniego, by wesprzeć demonstrantów. (…) Małe ugrupowania polityczne wspierały propagandowo rewoltę z terenu Berlina Zachodniego, a media RFN i Berlina Zachodniego odegrały dużą rolę w przekazywaniu informacji o rozruchach. Także ze strony odpowiedzialnych polityków nie brakowało oświadczeń i deklaracji solidarności, jak również krytyki działań militarnych". Autor nie uważa jednak, żeby mieszkańcy Berlina Zachodniego byli siłą sprawczą powstania, tym bardziej że protesty poza Berlinem odbywały się już bez ich udziału, bo swoboda poruszania się istniała tylko w samym Berlinie.

17 czerwca, po wprowadzeniu przez komendanturę radziecką o godz. 13 stanu wyjątkowego, na ulicach Berlina pojawiły się jednostki radzieckie.

Heiner Müller[3], naoczny świadek wydarzeń 17 czerwca, zanotował: „Z całą pewnością również Zachód tutaj mieszał, to jasne, aczkolwiek zapewne nie tak skrajnie, jak to przedstawia Stefan Heym". Jedynym masowym łącznikiem między ludźmi było wówczas radio, telewizja stawiała dopiero pierwsze kroki. W RFN zarejestrowanych było zaledwie 10 tys. telewizorów, a w NRD chyba nie było ani jednego.

Rząd wybierze sobie nowy naród

Alianci zachodni w Berlinie od początku zachowali rezerwę wobec zdarzeń we wschodnim sektorze. Brytyjska policja wojskowa rozpraszała na granicy swojego sektora większe zgromadzenia zachodnich berlińczyków. Podobnie postępowała policja amerykańska. Ponadto Amerykanie nie dopuścili do przekazania przez amerykańską rozgłośnię radiową RIAS wezwania do strajku generalnego w NRD. Po zdławieniu buntu zorganizowali pomoc żywnościową dla ludności.

Świadome lekcji udzielonej 17 czerwca władze NRD wytargowały od Moskwy tolerowanie bardziej liberalnego kursu oraz deklarację rządu radzieckiego z sierpnia 1953 r. o rezygnacji z wszelkich dalszych reparacji ze wschodniej strefy. Zatroszczono się bardziej o podniesienie stopy życiowej, o bogatszą ofertę towarów konsumpcyjnych, podwyższono świadczenia socjalne, złagodzono naciski na rolników i sektor prywatny w mieście. Jednocześnie w zakładach pracy zaczęto tworzyć bojówki partyjne. tzw. *Kampfgruppen*.

Sensacją, która utrwaliła się w annałach historycznych, była postawa Bertolta Brechta wobec buntu w NRD. Po pierwszym sygnale buntu Brecht, pisarz lewicujący, lecz niebędący członkiem rządzącej SED, skierował do szefa partii Waltera Ulbrichta, premiera Ottona Grotewohla i ambasadora ZSRR Władimira Siemionowa pisma opatrzone zastrzeżeniami i wątpliwościami. List do Ulbrichta opublikował organ SED „Neues Deutschland" dopiero 21 czerwca, kiedy powstanie już dogorywało. Tekst, generalnie akceptujący kroki reżimu, dziennik ocenzurował, usuwając zdanie: „Obejmująca szeroką wymianę zdań rozmowa z masami co do tempa budowy socjalizmu spowoduje usunięcie braków i zabezpieczy zdobycze socjalizmu". Zapisano natomiast: „Czuję potrzebę wyrazić w aktualnej sytuacji moją więź z SED".

Po zdławieniu powstania sekretarz Stowarzyszenia Pisarzy Kurt Barthel polecił rozprowadzać w Alei Stalina (tam zaczął się bunt budowlańców) ulotki ze zdaniem: „Naród roztrwonił zaufanie rządu, które może przywrócić tylko zdwojoną pracą".

Brecht zareplikował wierszem „Lösung" (Rozwiązanie), w którym znalazło się głośne później zdanie: „Czy nie byłoby lepiej, prościej zdecydować, że rząd rozwiąże sobie naród i wybierze nowy?".

Eugeniusz Guz

[1] Stefan Heym, bardzo popularny pisarz w NRD. W połowie lat 30. wyemigrował do USA. Walczył w armii amerykańskiej przeciwko Niemcom, jako lewicujący odczuł po wojnie kampanię McCarthy'ego i przeniósł się do NRD, lecz wkrótce popadł w niełaskę władz NRD.

[2] Ehrhart Neubert, *Geschichte der Opposition in der DDR 1949-1989*, Bonn 1998.

[3] Heiner Müller, dramaturg niemiecki, który często miał na pieńku z władzami NRD, autor książki *Krieg ohne Schlacht. Leben in zwei Diktaturen*, Kolonia 1992.

eprasa.pl c615e1887d

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Wielki brat

Ogłoszono, że średnia życia mężczyzn w Polsce wynosi 72 lata. Ukończyłem 72 lata, ale mam wrażenie, że mnie to nie dotyczy. Irracjonalne, bo dotyczy. Znowu kontrola biletów w autobusie i kontroler omiata mnie wzrokiem i pomija. Jak byłoby miło, gdyby kazał pokazać dowód. Jadąc autobusem, spotykam Julię, córkę mojej przyjaciółki, z dwójką dzieci. Była ze swoim 11-latkiem u psychiatry. Chłopiec nie chce chodzić do szkoły, przestał uprawiać sport, stracił kolegów, podejrzenie depresji. Chłopczyk ma takie piękne, myślące i smutne oczy, zawsze największą wrażliwość mamy na dzieci, które są w wieku naszych dzieci. Cierpienie dziecka zabrałoby mi wiarę w Boga, gdybym ją miał.

•

Przez tyle lat grałem w tenisa, był smaczną przyprawą do mojego życia. Jak wymienię sobie biodro, to do tenisa wrócę. Też dlatego gorąco kibicowałem Idze Świątek. Ciekawe to utożsamianie się z zawodnikiem, nawet jak nie gra Polak, utożsamiamy się z jakimś graczem, bo ładny, bo reprezentuje miłe nam państwo albo ma ładne nazwisko, mamy taką skłonność, i wtedy rodzą się emocje. To zapewne cecha zwierzęca, instynkt identyfikacji ze stadem. Nie potrafię tylko utożsamić się z polską drużyną piłkarską. Winne są prymitywne plemiona kibiców, pierwotne hordy. Byłem kiedyś na meczu na stadionie Legii, w celach poznawczych. Tabuny goryli na tzw. żylecie, gołe do pasa, ryczące i walące się w piersi. A ze Świątek się utożsamiam. Utożsamia się z nią większość Polaków, jak z Kopernikiem i z Mickiewiczem. Na kibica też pada promień łaski zwycięzcy. A przecież w rzeczywistości łączy nas czasami tylko język, ale język to także myślenie i ta wspólna piaskownica z piaskiem kultury. Można się różnie utożsamiać, też z siłami mroku, z faszyzmem, z pisizmem, albo z myśleniem liberalnym, z tym, co altruistyczne. Wzruszyło mnie, gdy po zwycięstwie na kortach Rolanda Garrosa Świątek mówiła o solidarności z Ukrainą. To był moment, gdy poczułem największą wspólnotę uczuć i myśli. Bardziej wtedy niż po ostatniej piłce meczu, którą niecelnie posłała Amerykanka.

•

Na konwencji PiS prezes przemówił, coraz mu bliżej do Gomułki. „Wszyscy musimy być kontynuatorami dzieła i myśli mojego brata. Musimy iść tą drogą, którą wskazał". Wielki brat zmienia się w Marksa i Lenina w jednej osobie. I mówił Jarosław: „Pamiętajmy, że nasi przeciwnicy, kiedy rządzili, ciągle twierdzili, że pieniędzy nie ma i nie będzie; że nic nie można zdziałać. Otóż zdiagnozowaliśmy sytuację. Diagnoza była krótka: te pieniądze są po prostu kradzione i rabowane. Najczęściej u źródła – w momencie poboru". Kłamstwo. W czasie rządów PiS nie było żadnego procesu, w którym by udowodniono, że ludzie opozycji cokolwiek ukradli. A wielkie projekty? Jak chwali się Kaczyński, Centralny Port Komunikacyjny ma być przedsięwzięciem, jakiego nawet w PRL nie było. Otóż fachowcy mają poważne wątpliwości, czy CPK jest w ogóle potrzebny. A gdzie milion samochodów elektrycznych, które obiecywał długonosy premier, gdzie tanie mieszkania dla biednych rodzin? Dramat mieszkaniowy w Polsce nasila się. Miał zostać zatamowany krwotok emigracji młodych, nic z tego. Polki dzięki PiS miały rodzić więcej dzieci. A nie chcą rodzić, bo nie ma mieszkań, bo groza, że nie można przerwać ciąży, nawet gdy płód jest ciężko uszkodzony. PiS niezbędny jest wróg. Dlatego prezes oskarża opozycję, że zajmuje się „donosicielstwem na swój kraj" oraz ma „skłonność do mikromanii narodowej". Prezes skarży się: „Opozycja przybrała niespotykany w świecie charakter opozycji totalnej". Kto się sprzeciwia prezesowi, ten wedle prezesa jest wrogiem totalnym, z prezesem można się tylko totalnie zgadzać. Prezes oskarża opozycję o „pedagogikę wstydu".

> Głupota mówi nie tylko po polsku, mówi wszystkimi językami świata.

Mnie nieraz oskarżano, że w felietonach uprawiam pedagogikę wstydu. Co to za zwierzę? Jak się mówi prawdę o Jedwabnem, jest to pedagogika wstydu. Jak się mówi o naszych wadach narodowych, to pedagogika wstydu. O Polsce tylko dobrze i na kolanach. W życiu zarówno jednostki, jak i narodu unikanie rachunku sumienia jest grzechem. A grzeszą wszyscy, ludzie i narody. Niby tacy religijni, a o tym nie wiedzą.

Jednak zdumiewające, że mimo wszystko, a tego „wszystkiego" w mimo wszystko jest wiele, aż 35% Polaków jest gotowych głosować na PiS, w tym tzw. twardy elektorat to 25%. Wierzą w zamach smoleński i w te wszystkie propagandowe bzdury, którymi karmi ich PiS. Albert Einstein powiedział kiedyś: „Tylko dwie rzeczy są nieskończone, wszechświat i ludzka głupota, choć nie jestem pewien co do tej pierwszej". Na pociechę – ta głupota mówi nie tylko po polsku, mówi wszystkimi językami świata.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c615e1887d

Zbyt optymistyczna jak na Polskę

Amerykanie emanują dobrą energią, nawet jeśli coś w życiu idzie źle

JOLANTA LION
– dyrektorka festiwalu filmowego w Pittsburghu

Rozmawia Artur Zaborski

Jak się masz?

– Spotykamy się w czasie organizowanego przeze mnie festiwalu filmowego. Robię go sama, wspiera mnie ekipa szkolonych przeze mnie każdego roku studentów. To dla mnie okres intensywnej pracy, kiedy nie mam życia poza tym, co jest związane z pokazami, promocją, gośćmi itd. Permanentnie nie dosypiam, jestem bardzo zmęczona.

Mieszkasz ponad 20 lat w USA i nie odpowiadasz jak Amerykanie: „Dziękuję, wszystko u mnie dobrze", tylko szczerze mówisz, jak jest naprawdę?

– Jestem krytyczna wobec standardowych amerykańskich rozmówek: „Cześć, jak się masz? Dziękuję, wspaniale". Często prawda wygląda inaczej. Ja odpowiadam na to pytanie zgodnie z prawdą, odkąd tylko osiedliłam się w USA. Mówiłam w najlepszym wypadku: „Tak sobie", ale często też: „Jest mi źle. Boli mnie głowa, nie mam pieniędzy, a moja córka jest chora" – i nie rozumiałam, dlaczego ludzie dziwnie na mnie patrzą. Czyżby wszyscy dookoła byli szczęśliwi? Krytykowałam ten zwyczaj, ale teraz już tego nie robię.

Przywykłaś?

– Raczej zrozumiałam, z czego on się bierze. Ludzie tu często się przemieszczają. W Łodzi, skąd przyjechałam, mieszkało się w jednym domu, z rodziną, często całe życie. Człowiek przez lata pracował w jednym miejscu, nie zmieniało się środowisko, w którym przebywał. W USA jest inaczej – tu ciągle spotyka się nowych ludzi, dlatego nie narzekasz, nie otwierasz się przed nimi. Musiało to znaleźć odzwierciedlenie w języku – „*How are you?*" jest początkiem niezobowiązującej konwersacji. Przecież rozmowa jakoś musi się zaczynać. A moje nastawienie do tej formułki ewoluuje i teraz nawet lubię, kiedy ludzie zwyczajowo odpowiadają, że czują się dobrze.

Dlaczego?

– Bo to mnie dobrze nastawia. Amerykanie w ogóle są optymistami, co u nich uwielbiam, to rodzaj ludzi, którzy emanują dobrą energią, nawet jeśli coś w życiu idzie źle. W Pittsburghu mam kontakt z Amerykanami, którzy zdążyli się przyzwyczaić do Polski i naszego języka, bo oprócz tego, że organizuję festiwal filmowy, pracuję jako lektorka języka polskiego. Zdarza się, że oni wtedy pytają: „Mam odpowiedzieć po polsku czy po amerykańsku?".

FOT. CHRISTOPHER SPROWLS

eprasa.pl c615e1887d

Polska odpowiedź może brzmieć: „Niedobrze. Mam kaca, nie zrobiłem pracy domowej”. Młodym ludziom podoba się taka wersja, bo mogą powiedzieć, co czują naprawdę, a to też nie jest zły wstęp do rozmowy, ktoś przecież może odpowiedzieć, że również nie czuje się najlepiej, że ma kłopoty – a wtedy zaczynamy o tym rozmawiać, lepiej się poznajemy, otwieramy się na siebie. W Ameryce czegoś takiego nie ma, co skutkuje tym, że niemal każdy musi mieć terapeutę. Dzięki temu, że uczę języka i komunikuję się z ludźmi w języku angielskim, sama nauczyłam się, że odzwierciedla on historię i kulturę. Żeby naprawdę dobrze się nim posługiwać, trzeba spędzić w danym kraju bardzo dużo czasu.

Popularyzowanie polskiej kultury w Pittsburghu dobrze ci idzie. Na festiwalu pokazujesz wiele nowości – w tym roku „Żeby nie było śladów” Jana P. Matuszyńskiego i „Cichą ziemię” Agi Woszczyńskiej. Sale były pełne. Co Amerykanów przyciąga do naszego kina?

– To nie tak, że polskie kino ich jakoś specjalnie przyciąga. Nie wystarczy pokazać cokolwiek. Trzeba wybrać filmy na takim poziomie artystycznym, który będzie czytelny dla widza, zakładając, że po seansie odbędzie się rozmowa. Najlepiej z reżyserem. Gdybym startowała teraz, z pozycji osoby, która przebywa w tym kraju od ponad 20 lat, i miała zorganizować pierwszą edycję festiwalu, nie odważyłabym się pokazać takich filmów, jakie prezentowałam dwie dekady temu.

Co wtedy pokazywałaś?

– Były to produkcje na bardzo wysokim poziomie artystycznym – Polacy mogli być przyzwyczajeni do tego rodzaju kina, gdzie trzeba było odczytać znaczenie metafory. Po pół roku od momentu, w którym tu zamieszkałam, poszłam do kawiarni i zaobserwowałam, że wszędzie jest pusto. W lokalu były dwie osoby, na ulicy – nikogo. Zapytałam sprzedawcę, o co chodzi, jaki film pojawił się dziś w telewizji czy w kinach. „Jak to film? Przecież dziś jest mecz”! Tym, co ludzi łączyło, był sport, w którym wspólny język nie był potrzebny. W 2006 r., kiedy zaczynałam pracować przy CMU International Film Festival, wiedziałam, że nikt nie przyjdzie oglądać filmu, w którym piękne ujęcie śpiewającego ptaka trwa 20 minut. Szukałam czegoś autorskiego, ale nie ekstremalnie artystycznego.

Jak trafiłaś do USA?

– Przyjechałam tu na stypendium Fundacji Kościuszkowskiej, za pośrednictwem której uczyłam języka polskiego. Redagowałam również podręczniki do nauki polskiego wybitnego amerykańskiego profesora Oscara Swana. Stypendium miało trwać rok, ale zostało przedłużone na trzy lata. Dlatego zaczęłam prowadzić kursy na wydziale filmu. Zaproponowałam, aby jeden z nich dotyczył twórczości Kieślowskiego. Na drugim nauczałam polskiej historii poprzez filmy. Wciąż jednak miałam sporo wolnego czasu. W Pittsburghu nie było ani zorganizowanej Polonii, ani programu dotyczącego polskich filmów, w czym także się specjalizuję. Pomyślałam, że w ramach zajęć na wydziale slawistyki warto powołać do życia projekt ukazujący najnowsze osiągnięcia polskiej kinematografii. W tamtym czasie w Carnegie Museum of Art organizowany był program filmowy, w ramach którego co miesiąc emitowano produkcję z innego kraju – pojawiło się sporo dzieł kinematografii azjatyckiej, koreańskiej i europejskiej, jednak w ciągu 10 lat ani jednego filmu z Polski. Pomyślałam, żeby połączyć siły tej placówki i wydziału slawistyki.

Jaki miałaś pomysł na to wydarzenie?

– Chciałam, żeby powstał festiwal filmu polskiego. Łódzka Szkoła Filmowa szybko udzieliła mi wsparcia, przede wszystkim w zdobyciu filmów. Dlatego, wbrew pozorom, przedsięwzięcie nie było dla mnie szczególnie trudne, nawet zaproszenie najwybitniejszych polskich reżyserów. Zależało mi na wizycie Andrzeja Wajdy, musiał jednak odmówić z przyczyn zdrowotnych. Ale pokazywaliśmy jego „Pana Tadeusza”. W programie znalazły się też „Duże zwierzę” Jerzego Stuhra, „Weiser” Wojciecha Marczewskiego i „Dług” Krzysztofa Krauzego oraz inne najnowsze filmy w 2001 r. Okazało się, że można nie tylko te filmy pozyskać, ale także uzyskać zgodę reżyserów na przyjazd. W „Pittsburgh Post-Gazette”, lokalnym odpowiedniku „New York Timesa”, napisano, że to najlepszy festiwal, jaki kiedykolwiek odbywał się w Pittsburghu. Kurator Carnegie Museum of Art Bill Judson potwierdził te słowa, bo nigdy nie widział, aby bilety wyprzedawały się z dwutygodniowym wyprzedzeniem.

Jak ci się to udało?

– W celach promocyjnych spotykałam się z wieloma osobami z Polski zajmującymi ważne stanowiska, których nie zrzeszała żadna organizacja. Były to chociażby żony profesorów CMU, zainteresowane promowaniem polskiej kultury. Małgorzata Matyjaszewska, tak jak ja absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Łódzkiego, bardzo mi pomogła, organizowała spotkania wszystkich zainteresowanych festiwalem w swoim domu. Od tego momentu zorganizowała się Polonia w Pittsburghu, pod nazwą Polish Cultural Council. Pracowałam wówczas na tamtejszym uniwersytecie, gdzie wielu studentów uczyło się polskiego. Uczęszczali na oba moje kursy, o historii Polski oraz o Krzysztofie Kieślowskim. Wydarzeniu towarzyszyła mieszana publiczność, w tym osoby, które dowiedziały się o festiwalu dzięki Carnegie Museum of Art, gdzie wisiał baner z logo Through Polish Eyes Film Festival. Janusz Einhorn, który zaprojektował logo, stał się grafikiem festiwalu międzynarodowego Faces na kolejne 15 lat. To był mój pierwszy festiwal, ale powtórzyłam go w następnym roku. Niestety, stypendium się skończyło.

Nikt nie przyjdzie oglądać filmu, w którym piękne ujęcie śpiewającego ptaka trwa 20 minut.

eprasa.pl c615e1887d

Chciałaś zostać?

– Bardzo polubiłam Pittsburgh, ułożyło się tam również moje życie osobiste – wyszłam za mąż, urodziły mi się dzieci. Mimo to Ameryka nie jest moją ojczyzną, często towarzyszy mi poczucie, że jestem tu obca. Z drugiej strony – nigdzie nie czuję się jak w domu, bo chociaż mam w Pittsburghu fizyczny dom, to wciąż nie do końca rozumiem amerykańską kulturę i nie czuję się tu „u siebie".

W USA ciągle spotyka się nowych ludzi, dlatego nie narzekasz, nie otwierasz się przed nimi.

A w Polsce?

– Kiedy tam wracam, też czuję się trochę obco, bo nie nadążam za zmianami, które dokonały się w ciągu 22 lat, i nie poznaję Polski z lat młodości. Poza tym rodzina i znajomi w Polsce mówią mi, że jestem zbyt optymistyczna i widzę świat przez różowe okulary. Towarzyszy mi poczucie, że mam dwa życia, ale żadne nie jest pełne – to takie podwójne życie, żeby nawiązać do tytułu filmu mojego ulubionego reżysera.

Jak udało ci się zostać w USA?

– Gdy stypendium się skończyło i przedłużenie pobytu przez fundację okazało się niemożliwe, szukałam pracy i wtedy wymyśliłam festiwal filmowy, bo miałam już doświadczenie w organizacji wspomnianego festiwalu Through Polish Eyes. W tym czasie miałam już wizję, wiedziałam, jak trzeba zorganizować promocję i marketing. Ale to nie było łatwe, bo obcy był mi świat dystrybucji. Próbowałam różnymi kanałami dostać się do producentów, dystrybutorów i reżyserów. Postanowiłam zaproponować projekt festiwalu jako kursu studenckiego dyrektorowi Humanities Center na pobliskim uniwersytecie Carnegie Mellon. Początkowo nie miałam ambicji stworzenia imprezy międzynarodowej. David Shumway, dyrektor Humanities Center w CMU, zainteresował się projektem i dysponował wystarczającym budżetem. Pieniądze były małe, ale kurs filmowy kończący się prawdziwym festiwalem na skalę miasta okazał się sukcesem. Pierwsza edycja była w dużej mierze projektem studenckim, choć wcześniej moi uczniowie nie mieli pojęcia ani o filmach, ani o samych festiwalach i ich organizacji. Przybyli znani reżyserzy, tacy jak Laura Poitras, której film o Iraku „Mój kraju!" nominowany do Oscara otworzył festiwal. Od tej pory praca nad festiwalem zaczynała się od naboru i selekcji zainteresowanych studentów z różnych wydziałów jako stażystów w poszczególnych sekcjach. Gośćmi festiwalu byli m.in.: Jerzy Stuhr, Filip Bajon, Dominik Wawrzyniak, Hanna Polak, Krzysztof Zanussi, Wojciech Marczewski, Jan Komasa, Jan P. Matuszyński, Aga Woszczyńska, a nawet Danuta Wałęsa, która przyjechała na otwarcie imprezy z filmem „Wałęsa. Człowiek z nadziei".

Publiczność amerykańska oczekuje od naszego festiwalu poczęstunku w ramach projekcji. Na takich przyjęciach oferujemy jedzenie typowe dla kuchni kraju, z którego pochodzi film. A więc, jeśli jest to film polski, będą pierogi i placki ziemniaczane, a dla pełnoletnich piwo.

Żeby naprawdę dobrze posługiwać się językiem, trzeba spędzić w danym kraju bardzo dużo czasu.

Jak doświadczenie pracy przy festiwalu wpływa na twoich studentów?

– Studenci pracują ukradkiem na zajęciach, w czasie nudnych wykładów, świąt Bożego Narodzenia i przede wszystkim nocami. Kiedyś jeden z asystentów, Michael, moja prawa ręka, nie miał czasu złożyć podania o pracę, tak jak jego koledzy, a ja przypomniałam sobie o tym dopiero po zakończeniu festiwalu i zaniepokojona zapytałam: „Co teraz będzie, Michael? Nie masz przecież pracy, a tu koniec studiów". On popatrzył i odpowiedział spokojnie: „Jolanta, proszę, nie martw się, kiedy przyjąłem zadania koordynatora logistyki, nie miałem pojęcia, co oznacza praca nad festiwalem, ale po tym doświadczeniu już niczego nie będę się bał w życiu, żadnej pracy, i wcześniej czy później coś dostanę". Miesiąc później otrzymał wspaniałą posadę w Los Angeles w jednej z najbardziej renomowanych firm dystrybucyjnych. Wielu innym to doświadczenie zmieniło kierunek ich życia. No bo jak może być inaczej, kiedy po rozmowie z Hanią Polak, reżyserką dokumentu „Nadejdą lepsze czasy", próbowaliśmy walczyć o wizę, żeby główną bohaterkę Julę sprowadzić z największego śmietnika pod Moskwą do Pittsburgha jako gościa festiwalu? Nie udało się, ale publiczność po filmie skrzyknęła się i założyła zbiórkę pieniędzy, żeby jakoś się przyczynić do spełnienia marzenia Juli. A jej marzeniem było ukończenie kursu fryzjerskiego.

Co jest dla ciebie największym wyzwaniem przy pracy z Amerykanami?

– Technologia, mimo że pracuję w jednym z najbardziej renomowanych technicznych uniwersytetów na świecie. Pamiętam pokaz w 2006 r. dokumentu „Czeski sen" dwóch studentów szkoły filmowej w Pradze. To historia wielkiego otwarcia fikcyjnego supermarketu, na które Czesi przybyli tak tłumnie, jak gdyby to była furtka do nieba. Film pokazuje siłę kultury konsumpcji w kraju, który przechodzi transformację od socjalizmu do kapitalizmu. Wiedzieliśmy, że na ten film przyjdą tłumy. Była to premiera w USA. Audytorium na 450 osób było wypełnione po brzegi. Film dojechał pocztą jako format 35 mm. Po 15 minutach projekcji zapadła ciemność. Nic nie działało. Wyszłam na scenę, przepraszając, że byłam przygotowana na wszystko, ale nie na to, że żarówka w projektorze się wypali. Po 15 minutach żarówka została wymieniona i publiczność obejrzała film. Technologia została usprawniona, ale ciągle się boję, że coś nie zadziała.

Artur Zaborski

eprasa.pl c615e1887d

NA EKRANACH

Po miłość / Pour l'amour

reż. Andrzej Mańkowski, prod. Polska, już w kinach

W „Po miłość…" oglądamy bohaterkę przeszło 50-letnią w głównej roli, co już jest warte odnotowania, bo w naszym kinie kobiety w jej wieku grają głównie matki albo babki, pełnią funkcję dopełniającą wobec głównych postaci, nie dostając osobnych historii. Marlena utkwiła w małej społeczności, którą chciałby zarządzać lokalny pleban, pełen wyrozumiałości dla alkoholizmu jej męża. Można podejrzewać, że to kolejny czarny obraz polskiej prowincji – rozmodlonej i rozpitej. Ale spokojnie, Andrzeja Mańkowskiego nie interesuje powielanie stereotypów. Bardziej ciągnie go do odkrywania siły swojej bohaterki, do której los jeszcze się uśmiechnie, gdy pozna w internecie urodziwego Senegalczyka. I tu Mańkowski znów myli tropy, bo ów wirtualny romans tylko otrze się o komedię romantyczną. Film nie jest pozbawiony rys i pęknięć, ale oferuje ciekawy portret dojrzałej kobiety w nieprzychylnym jej otoczeniu. I mimo gorzkiego finału daje nadzieję.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Joël Dicker

Zaginięcie Stephanie Mailer

tłum. Oskar Hedemann

Albatros, Warszawa 2022

Nie dajcie się zwieść okładkowemu widoczkowi w różach i fioletach. To nie romans, lecz kryminał co się zowie, z elementami grozy i groteski. W uroczym miasteczku Orphea w stanie Nowy Jork latem odbywa się festiwal teatralny. Pierwszą edycję upamiętniło poczwórne morderstwo: zginęli burmistrz z rodziną i kobieta, która uprawiała jogging w okolicy. Po 20 latach dociekliwa dziennikarka rzuca w twarz policjantowi, że wcale nie rozwiązał tej sprawy. I znika – prawdziwy morderca, wcześniej bezpieczny, teraz desperacko zaciera ślady. Wątpliwości, kto nim jest, Dicker zasiewa, jak długo się da. Stopniowo ujawnia przeszłość bohaterów, wśród których są i policjantka z namolnym byłym mężem, i redaktor naczelny romansujący raczej już wbrew woli z podwładną, i szef policji grafoman... Przy okazji naigrawa się z twórczego światka – z pychy krytyków i z pogoni za mirażem literackiej sławy.

Aleksandra Pańko

ZASŁUCHAJ SIĘ

Joanna Sochacka

Chopin. Preludes, Polonaise-Fantasy

Sheva

Joanna Sochacka twierdzi, że być polską pianistką i nie grać Chopina to wręcz niemożliwe. Nagrała więc płytę, na której znalazł się cykl 24 preludiów. Muzyka urzeka tu spokojem, nastrojem, zadumaniem. Nie ma żadnych dramatów ani szaleńczych gonitw, nie ma popisu wirtuozerii, ale jest niezwykły urok, prostota i prawda. Wierzymy, że właśnie taki był Chopin, także gdy tworzył przedziwnego „Poloneza-Fantazję".

Bronisław Tumiłowicz

KURTYNA W GÓRĘ

Czy Zamek istnieje?

Nie wiadomo. Geometra (Modest Ruciński) nigdy go nie zobaczy, nie zobaczy nawet Klama, jednego z wpływowych urzędników Zamku, którego istnienie także budzi wątpliwości. Zamek u Kafki może być zamkiem rzeczywistym i onirycznym zamkiem z piasku, może być parabolą umierającego świata, monstrum biurokracji, jak kto chce. Kafka tego (na szczęście) nie wyjaśnia, nie tylko dlatego, że pisanie powieści przerwał. Ta przerwa w pół zdania też ma swoją moc.

A jednak mocy nie ma przedstawienie Franciszka Szumińskiego, młodego reżysera, który już wcześniej pracował nad adaptacją „Zamku" – inscenizacja przygotowana przed paru laty w krakowskiej AST przyniosła Szumińskiemu grand prix na 8. Forum Młodej Reżyserii. Tamten spektakl trwał tylko 45 minut, ten na Małej Scenie Dramatycznego prawie trzy godziny, a dłużej wcale nie oznacza lepiej. W pełni sprawdziła się jedynie pierwsza scena: przyciemnione wnętrze karczmy, niepokojąca muzyka, nagłe jej wyciszenie, gwałtowne otwarcie drzwi, w których pojawia się K., a potem jego więcej niż chłodne przyjęcie – to zapowiada przedstawienie duszące, w którym emocje będą ściskać za gardło.

Ale tak się nie stanie – spektakl coraz bardziej się rozjeżdża, a po przerwie zwyczajnie nudzi. Dłużyzny, które wypełnia uporczywe przesuwanie mebli, powtarzające się sekwencje rozbierania i ubierania głównego bohatera, aseptyczne i aseksualne negliże Friedy i Olgi, skłonności do zabiegów higienicznych – cała gama poślednich środków rozmywa atmosferę, która zamiast gęstnieć, rzednie.

Tomasz Miłkowski

Franz Kafka, „Zamek", tłumaczenie Krzysztof Radziwiłł, Kazimierz Truchanowski, reżyseria Franciszek Szumiński, Mała Scena Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy, premiera 20 maja 2022

FOT. SŁAWOMIR WITEK/GALAPAGOS FILMS, KRZYSZTOF BIELIŃSKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c615e1887d

Szukajcie w trzcinie

Jezioro ludzkich ciał. Brakuje wyobraźni na to, co wiatr może zrobić z Mazurami. W trzy minuty

Dawid Góra

21 sierpnia 2007 r. Wczesne popołudnie. Upał, prawie 30 st. Na mazurskich jeziorach setki łódek. Mimo temperatury na niebo wpływają coraz cięższe chmury. Wiszą niżej niż zwykle. Krople deszczu jak tykanie zegara. Nic nadzwyczajnego. Setki załóg decydują o pozostaniu na wodzie, mimo że z minuty na minutę deszcz robi się coraz gęstszy. Krople uderzają o pokład w rytmie sekundnika. Temperatura obniża się o kilka stopni. I wciąż spada.

Radosław Wiśniewski z Mazurskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, wtedy 27-latek, ma dzień wolny od pracy. Po przyjściu do domu z zakupów zdejmuje kurtkę i buty. Podchodzi do lodówki. Dźwięk telefonu. Dzwonią z bazy. To nie jest dobry znak. Radosław odbiera. „Chodź do roboty. Idzie burza. Nie wiemy gdzie, ale dzisiaj na pewno pierdolnie. Trzeba ostrzec ludzi. Zbieram ekipę". To czas, kiedy nie istnieje system powiadamiania o zagrożeniach. Z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej wiadomo tylko tyle, że coś się tworzy. Nie wiadomo, na jaką skalę.

Przychodzi informacja ze stacji ratowniczej w Piszu, miasta położonego na południowy wschód od Mikołajek. Komunikat jest krótki, ale dosadny. „Puszcza Piska się kładzie. Drzewa wyrywa z korzeniami". Ratownicy wypływają. Nawołują turystów, aby wrócili do portów. Nie do wszystkich udaje się dotrzeć. Nie wszyscy się podporządkowują. Wiśnia przyjechał przed chwilą. Jest już na łodzi. Spogląda to na rosnącą chmurę, to na powierzchnię wody. Nie zwraca uwagi na rozmowy swoich towarzyszy. Jego twarz blednie z każdą uderzającą do głowy myślą. Odwraca się do pozostałych. Jego słowa są niezbyt głośne, ale wszyscy doskonale je słyszą. Widzą, że właśnie coś sobie uświadomił. Coś, co oni też wiedzieli, ale wzbraniali się przed wypowiedzeniem tego na głos.

– Panowie, mamy biały szkwał.

Po chwili stacja w Mikołajkach odnotowuje gwałtowne zmiany w kierunku wiatru. Przyrost prędkości – 120 km/godz. Temperatura spada z 28 do 16 st. C. Godzina 14.27. Wichura zrywa się nagle. Nie ma czasu na ucieczkę. Wszystko, co najgorsze, stanie się teraz. Łódki nierównomiernie balansują na falach. Ulewa.

Ratownicy wypływają. Nawołują turystów, aby wrócili do portów. Nie wszyscy się podporządkowują.

Ale deszcz pada inaczej – od dołu i w poziomie. Wydobywa się z wody. Krople wydziera prąd powietrza. Drobinki jeziora zasłaniają widok. Mleczna biel jest wszędzie. Łódki poddają się wichurze niemal bez żadnego oporu. Wiatr zrywa żagle i przewraca kolejne jednostki. Woda zatapia żaglówki. Za późno na jakiekolwiek decyzje.

Głuche uderzenia ciał. O pokład, o wodę, o brzeg. Ból. Wszystko trwa może trzy minuty. Potem zimna cisza. Na miejsce dociera Wiśnia. Łódka zbliża się do kolejnych przewróconych jachtów. Część osób ratuje się przed utonięciem, inni próbują znaleźć fragmenty łodzi, aby bezpiecznie dobić do brzegu. Wśród nich dryfujące ciała. Wiśniewski wyciąga na jednostkę wszystkich po kolei. Również zwłoki. W ciągu 20 minut ratownicy wyjmują z wody prawie 100 osób. Resuscytacja trwa na okrągło. Na początku przynosi skutek. Potem okazuje się, że niedotlenienie ofiar jest zbyt duże. Ludzie umierają w szpitalach. Wiśniewski nigdy wcześniej nie czuł takiego poziomu adrenaliny. Najbardziej boli go jednak ludzka niefrasobliwość. Kilkakrotnie powtarza, że tragedii można było uniknąć. Wystarczyło przyjrzeć się niebu. Wcześnie ostrzegało o nadchodzącym kataklizmie.

„Z której łódki jesteś?"

Tomasz Kurowicki, wtedy 21-letni ratownik, pełni dyżur w jednej z czterech karetek wodnych. Biały szkwał zaskakuje go na środku jeziora Niegocin. Łódź przetrwała ponadpółtorametrowe fale. Na Mazurach ratownik nigdy nie widział wyższych. Przewrócone jednostki, żeglarze w wodzie. Tylko część z nich macha, prosząc o pomoc. Nagle wołanie przez radio. „R jeden, podpłyń do R dwa. Potrzebuję zespołu medycznego. Mamy resuscytację". Teraz wszędzie trwa akcja ratunkowa. Każda łódź ratownicza zajęta. Ale Kurowicki musi odpowiedzieć na wezwanie.

– Płyniemy! Choć dokładniejszym określeniem byłoby: „Przemieszczamy się w waszym kierunku". W tych warunkach karetka nie może gnać. Jeziora są rozkołysane, fale nadal stosunkowo wysokie. Po włączeniu pełnej mocy łódka, spadając ze szczytu fali, uderzałaby o szczyt kolejnej. W wodzie jest tylu ludzi, że istnieje ryzyko potrącenia człowieka potrzebującego pomocy. Niektórzy poszkodowani znajdują się pod przewróconymi łodziami. W każdym momencie ktoś może wyjść spod kadłuba. Odległość do miejsca docelowego na szczęście nie była duża. Jezioro Boczne przy Niegocinie. Kuter ratowniczy. Na nim widoczna z daleka akcja. Załoga karetki wchodzi na

eprasa.pl c615e1887d

21 sierpnia 2007 r. nad mazurskimi jeziorami przeszła tragiczna w skutkach nawałnica. Nz. jezioro Niegocin.

jednostkę i przejmuje resuscytację. Obok Kurowickiego leży półprzytomna dziewczyna. Najważniejsze, że oddycha. Trwa resuscytacja jej koleżanki. Na burcie siedzi chłopak. Na oko 18 lat. Wzrok wpatrzony w jeden punkt. Obgryza paznokcie. Ratownik podchodzi. Pyta wolno i wyraźnie:

– Z której łódki jesteś?

Mimo widocznej dezorientacji u rozmówcy powoli przepuszczana przez zęby krótka odpowiedź zaskakuje ratownika.

– Nie wiem.

Tomasz nie odpuszcza.

– Ile osób było na pokładzie?

– Nie wiem.

Rozmowę przerywa krzyk. Od strony prawej burty ktoś wzywa pomocy. W ciągu ostatnich kilkunastu minut to nic zaskakującego. Ale głos był zadziwiająco blisko. Dlaczego wcześniej go nie słyszeli?

Ratownik się odwraca. Widzi chłopaka kurczowo trzymającego się boi szlakowej. Jest w podobnym wieku co jego rozmówca z łodzi. Wydaje się bardziej świadomy tego, co się z nim dzieje. Ratownicy szybko wydobywają go z wody. Chłopak wchodzi zdyszany na pokład kutra. Zauważa osobę siedzącą na burcie. Wpada w osłupienie. Rozkłada ręce.

– Przemek! To ty?

Chłopak spod burty przytomnieje.

– Ja!

Kurowicki marszczy brwi.

– To wy się znacie?!

Odpowiada przed chwilą wydobyty rozbitek:

– Tak! Przecież jesteśmy z jednej łódki.

Ratownik nawet nie zakładał, że wichura mogła rozrzucić załogę jednej żaglówki na powierzchni ponad 100 m. A na to wskazują miejsca, z których jego koledzy wyciągali kolejne osoby. „Nowy" też musiał przypłynąć z daleka, skoro wcześniej nikt nie słyszał jego wołania.

– To ile was było na tej łódce?

Ratownik czuje niepokój. Ktoś z żaglówki jeszcze przebywa pod wodą? Okazuje się, że na pokładzie było pięć osób. Dwie dziewczyny – na jednej nadal jest prowadzona resuscytacja, a druga półprzytomna leży obok koleżanki. I trzech chłopaków – jeden w szoku, jeden wydobyty z wody przed momentem. I jeszcze jeden, którego dotąd nie udało się zlokalizować. Kiedy doszło do wywrócenia łódki, trzech chłopaków starało się utrzymać dziewczyny na wodzie. Przez wysoką falę nie dali rady. Bilans rejsu: jeden z członków załogi zginął w jeziorze, nie udało się też uratować dziewczyny. Ostatecznie z pięcioosobowej załogi przeżyła trójka przyjaciół. Chłopak, który zginął jako pierwszy, miał na imię Łukasz. Resuscytowano Zosię, jego dziewczynę.

– Podczas uderzenia wichury Łukasz próbował ich ratować, pomagał im. Niestety zmarł w akcji. To byli nastolatkowie. Potem odprawiono mszę w Mikołajkach poświęconą ofiarom białego szkwału. Po niej rodzice Łukasza podeszli do mnie i podziękowali za to, że uratowaliśmy resztę załogi. Powstała między nami więź. Inni nie podziękowali. Ale żeby było jasne, wcale tego nie oczekiwałem. Jednak to piękne, że rodzice Łukasza znaleźli w sobie siłę, aby znów się z nami spotkać. Mimo że przecież w przypadku ich syna koniec był tragiczny – wspomina Wiśniewski, który również brał udział w akcji ratunkowej załogi. Rodzice przez kolejne trzy lata przyjeżdżali na miejsce katastrofy. Pytali Wiśniewskiego, czy może ich wziąć na motorówkę i zabrać na miejsce śmierci syna. Stawiali się zawsze 21 sierpnia przed godziną 14.27. Patrzyli na miejsce wypadku. Może modlili się w ciszy. Chwila zadumy dodawała sił. To była część ich żałoby.

– Ogrom tragedii przerósł wszystkie możliwe służby. Nie pamiętam czegoś takiego przedtem i po białym szkwale – przyznaje dziś Kurowicki.

W dniu szkwału spośród wydobytych ok. 100 osób od razu zidentyfikowano nazwiska 88.

– Tylko dwie osoby miały na sobie kamizelki. I byli to Francuzi. Wydobyliśmy ich z jeziora Niegocin… – Ratownik wymownie zawiesza głos.

Porażka z lękiem

Noc. Żaden z ratowników, strażaków, nurków i policjantów, którzy brali udział w akcji, nie widział takiej tragedii na własne oczy. Teraz przyszedł czas na analizę. Skotłowane myśli. Wygasłe emocje. Na pomoście stoi 10 ratowników. Są fizycznie i psychicznie wykończeni całodzienną pracą. Patrzą na jezioro. Po policzkach spływają im łzy.

– Płakaliśmy. Jak jeden mąż. Dopiero wtedy mogliśmy uwolnić emocje. Wcześniej nikt nie myślał o tym, czy odpowiednio zadbaliśmy także o własne bezpieczeństwo i zdrowie. Czy łódki wytrzymają naszą akcję.

FOT. MAZURY.INFO/REPORTER

eprasa.pl c615e1887d

Teraz uświadomiliśmy sobie, czym była ta tragedia i nasza późniejsza praca – wspomina ratownik. O zdarzeniu nie dało się nie rozmawiać. Zginęło 12 osób. Wiatr przewrócił ok. 60 łódek. 15 zatonęło.

– Analizowaliśmy, czy wszystko poszło tak, jak sobie tego życzyliśmy i jak planowaliśmy. Telefony odbierały trzy osoby. Często dotyczyły tych samych zdarzeń. Można się było pogubić. Mimo to mam wrażenie, że udało nam się uniknąć chaosu. Wymiana informacji działała sprawnie – przyznaje Kurowicki z dumą. (…)

Kiedy mowa o białym szkwale, każdy z ratowników widzi inny obrazek przed oczami. Choć poziom dramatyzmu tego, co zostało w ich głowach, zawsze jest podobny. Jednym z pierwszych ratowników na miejscu katastrofy był Mariusz Raubo.

– Wystające głowy. Jakieś 30 cm nad taflą jeziora. To pamiętam. Nie wystarczyło wrzucać koła. Trzeba było wskakiwać do wody i holować ludzi do łodzi. Oczywiście zmienialiśmy się, raz wskakiwał jeden, raz drugi. Często dostaję pytania, czy biały szkwał nie załamał mnie psychicznie. Odpowiadam krótko: każdy z nas umrze. Ale jeden przez własną głupotę, inny po prostu będzie miał pecha, a jeszcze inny zachoruje na raka. To naturalna kolej rzeczy. Jeśli nie jesteśmy w stanie się z nią pogodzić, to znaczy, że oszukujemy samych siebie – mówi Raubo, jakby oświadczał najbardziej oczywistą rzecz na świecie.

Nowy numer tygodnika „NIE”:
Netflix znieważa Pana Jezusa, czego Ziobro nie może znieść.

Puścił ją tylko na chwilę

Kurowicki: – Media podają, że było 12 ofiar. Ale my mówimy, że uratowaliśmy 100 osób. Oczywiście żyliby wszyscy, gdyby mieli na sobie kamizelki. Nie ukrywam, przykro jest wyciągać koleżankę z liceum, która leżała 33 m pod wodą. Znałem zarówno ją, jak i jej chłopaka. Podczas szkwału ich mała dwuosobowa łódka natychmiast zatonęła. On miał na sobie sztormiak. Kiedy wpadli do wody, dziewczynę trzymał cały czas przy sobie. Powiedział, że sztormiak zaczyna mu ciążyć, że chłonie wodę, więc musi go zdjąć. Puścił dziewczynę dosłownie na chwilę. Kiedy ściągnął sztormiak, ona już opadała w toni. Znaleźliśmy ją na dnie jeziora Tałty. Nasi ratownicy, którzy wskakiwali do wody, mówili, że żywioł był potężny. Fala i wiatr były tak mocne, że choć płynęli co sił w mięśniach, długo tkwili w tym samym miejscu. Jeśli ratownicy mieli problem w wodzie, to co mieli powiedzieć rozbitkowie?

Wiśniewski twierdzi jednak, że nie sama akcja była najtrudniejsza. Najgorsze, co może spotkać ratownika, to konieczność poinformowania bliskich zmarłego o tym, co stało się z ich córką, synem, siostrą czy bratem.

– To odbija się na mnie psychicznie. Jak nic innego. Reakcje są bardzo skrajne, od niedowierzania, poprzez śmiech typu „nie ma takiej opcji”, aż po wielką rozpacz i lament już na miejscu zdarzenia – zaznacza Wiśnia. Może dlatego kiedy myśli o białym szkwale, przed oczami staje mu przede wszystkim ludzka głupota i brak wyobraźni. Bo częściowo to ona, jak uważa, doprowadziła do katastrofy. Dziś, po latach, taką wysnuł konkluzję:

– Na Boga, ta chmura stała na niebie od długiego czasu! Czekała i śmiała się ze wszystkich, którzy nadal byli na wodzie. Każdy wiedział, że pierdyknie. Można było się spierać, jakie będą skutki, ale że uderzy, to było jasne. Kiedy wypływaliśmy z portu, aby ostrzec ludzi przed tym, co zaraz się może wydarzyć, przechodził koło nas pan, który prowadził dwójkę dzieci. Mówił do nich: „Ale sobie dziś popływamy!”. Zwróciliśmy mu uwagę, ale usłyszeliśmy, że będzie sobie pływać, kiedy będzie chciał i my mu nie możemy zabronić. – Ratownik wciąż jest wściekły, kiedy przypomina sobie tę scenę.

Przed 21 sierpnia przez Mazury przeszło kilka burz dzień po dniu. Ludzie sądzili, że we wtorek znów chwilę popada, potem zagrzmi. I tyle.

– Wypłynęliśmy 10 minut przed uderzeniem i nie zdążyliśmy ostrzec wszystkich. Wichura szła od Pisza, a doszła aż do Węgorzewa. Nie pamiętam burzy, która jednorazowo przeszłaby przez całe Mazury. Coś takiego znałem tylko z literatury. Ale kiedy zobaczyłem, co się do nas zbliża, od razu to rozpoznałem – relacjonuje Wiśnia.

Podczas najtrudniejszej akcji w swoim życiu przypominali sobie ćwiczenia, które miały ich przygotować do najgorszego. Obowiązki wykonywali automatycznie. Na zastanowienie nie było czasu. Niektóre z rozwiązań nie stanowiły reguły postępowania w podobnych sytuacjach. Czasem ratownicy działali ad hoc.

– Kilkanaście lat temu zrobiliśmy test wypornościowy i na karetkę wodną wpakowaliśmy 21 ochotników, aby sprawdzić wyporność. Wszyscy stali jak śledzie, ale udało się zrobić małe kółko. Siedmioipółmetrowa łódź wytrzymała. Na łodzi sześcioipółmetrowej zmieściłem 16 osób. Dzięki tej głupiej zabawie wiedziałem, ilu ludzi mogę zabrać na pokład podczas białego szkwału. Liczyła się każda sekunda. Nie mogliśmy wracać z czterema osobami na brzeg, bo w wodzie zostawilibyśmy kolejne, które otrzymałyby pomoc za późno. Pytałem tylko, ile mamy osób na pokładzie. Kiedy słyszałem, że osiem, wiedziałem, że mogę płynąć pomagać kolejnym i że łódka da radę – wspomina Kurowicki.

Adam Soczewka pracujący na stacji Harsz-Skłodowo podczas uderzenia białego szkwału pełnił służbę w policji wodnej wraz z ratownikiem

eprasa.pl c615e1887d

MOPR. Gdyby nie pomysł na to, jak poradzić sobie z szalejącymi falami, trudno byłoby im wyłapywać kolejnych rozbitków.

– Wyszliśmy na jezioro, a łódź policyjna zaczęła się zachowywać jak statek, który tonie. Cała nurkowała pod wodę. (...) Do tego dramatyczny obraz poprzewracanych jachtów i ludzi, którzy się przy nich topili. Fale były piekielnie wysokie. Nigdy wcześniej takich nie widziałem – potwierdza słowa swoich kolegów Soczewka. – Do łódki rozbitków miałem może 4 m, ale wystarczyłyby dwie kolejne fale i zamiast działać przy tej jednostce, byłbym wyrzucony na nią. Musiałem coś wymyślić. Na szczęście korzystaliśmy z motorówki, w której otwierała się burta, a więc mogłem wyciągać ludzi wprost z wody. Ratownika zabezpieczyłem w koło. Powiedziałem, żeby wyszedł i płynął do poszkodowanych, a ja będę ich wyciągał na łódź i pilnował położenia.

Została jedna ofiara

30 września, od białego szkwału minął ponad miesiąc. Ratownicy i nurkowie znaleźli już wszystkie ofiary tragedii. Poza jedną. Nikt o zdrowych zmysłach nie wierzy, że kiedykolwiek się odnajdzie. Rano do Komendy Powiatowej Policji w Węgorzewie przychodzi kobieta. To prawdopodobnie szwagierka poszukiwanej ostatniej ofiary żywiołu. Wchodzi jakby speszona. Mówi cicho. Chce, żeby usłyszało ją jak najmniej osób. W ręku trzyma kartkę z rysunkiem.

– Panowie, ja bardzo przepraszam, że zawracam głowę. Pewnie będą się panowie śmiać. Ale byłam u jasnowidza Krzysztofa Jackowskiego – patrząc w ziemię, podaje kartkę Adamowi Soczewce. – On narysował, gdzie może się znajdować ostatnie ciało.

Ratownik spogląda na rysunek. Są na nim zaznaczone obrzeża jeziora Łabap. I krzyżyk postawiony w jednym miejscu. Soczewka podnosi wzrok.

Wiatr zrywa żagle i przewraca kolejne jednostki. Woda zatapia żaglówki. Głuche uderzenia ciał. O pokład, o wodę, o brzeg.

Momentami łódka była tak przechylona, że zbierała wodę jak czerpak. Na szczęście od razu wszystko się wylewało dzięki otwartej burcie. To nas wtedy uratowało – relacjonuje ratownik.

Szukanie ciał i zatopionych łódek trwało miesiąc. Każda ofiara, a przede wszystkim jej bliscy, zasługiwali na pogrzeb. To jasne.

– (…) W dzień spaliśmy, a pracowaliśmy w nocy. Sonar i tak wychwyci zwłoki, a dzięki temu mogliśmy w spokoju wypełniać swoje obowiązki – mówi Wiśniewski. Jednak czasami nawet sonar się myli. W takich sytuacjach niezawodny był komandor Dariusz Grabiec z marynarki wojennej. Astronawigację miał w małym palcu. Kiedy w odczyty sonarów wkradał się niewielki błąd, ten wychodził na pokład, patrzył w niebo i wskazując palcem, mówił: „Teraz 20 m w tamtą stronę". I miał rację. Jednak nawet on skapitulował podczas poszukiwań ostatniej ofiary. Dopiero interwencja… nadprzyrodzona pozwoliła zlokalizować ciało.

Patrzy na kobietę. Jeśli ktoś miałby namalować nadzieję, to wyglądałaby ona dokładnie tak jak twarz, na którą właśnie spojrzał. Ratownik idzie do drugiego pomieszczenia. Dzwoni do strażaków i opowiada o wizycie.

– Słuchajcie, jeśli tego nie sprawdzimy, będzie afera. – Ratownik nie przypuszcza, aby w ten sposób przekonał kolegów do wskazań jasnowidza, jednak czeka go pozytywne zaskoczenie.

– Jasne, płyniemy z wami – odpowiada głos w słuchawce.

Soczewka wraca do kobiety.

– Widzimy się przy miejscu wskazanym przez Jackowskiego. Za dwie godziny. Pani będzie stała na brzegu z… tym. – Ratownik nie odważa się użyć słowa „mapa", kiwając głową w kierunku rysunku jasnowidza. – I będzie nam pani mówić, gdzie mamy płynąć. Przeszukamy teren.

(…) Dwie godziny później ekipa poszukiwawcza jest na wskazanym obszarze jeziora Łabap. Kobieta stoi na brzegu, ale nie potrafi nakierować ratowników i strażaków na dokładną lokalizację. Dzwoni do jasnowidza. Przez dwie minuty tylko słucha, po czym woła Soczewkę.

– Lepiej będzie, jak dam pana do telefonu.

Koledzy wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Ratownik wychodzi z łodzi i bierze telefon. Rozmowa trwa prawie 10 minut. Jackowski przyznaje, że odległości, które podał, mogą się nieco różnić od stanu faktycznego. Najważniejsze jest to, że w swojej wizji widział 20-metrowe wzniesienie, a ciało nie znajduje się głęboko w wodzie.

– Szukajcie w trzcinie. Na obszarze o długości jakichś 200 m. – Na tym rozmowa się kończy.

Soczewka spogląda na teren wskazany przez Jackowskiego. Jest stosunkowo niewielki. Poszukiwania nie powinny trwać dłużej niż godzinę. (…)

Soczewka stawia pierwszy krok. Obok siebie ma Marka. On, chyba jako jedyny, wierzy, że coś znajdą. Pyta:

– Jak mam szukać? Kiedy będę wiedział, że w pobliżu jest ciało?

Soczewka odpowiada bez pardonu:

– Na pewno to poczujesz.

– Jaki to zapach?

– Zgniłych jaj.

Marek chce zapytać o coś jeszcze, ale któryś ze strażaków rzuca, że przejdą maksymalnie 200 m. Do cypla. Jeśli niczego nie znajdą, to znaczy, że zwłok tu nie ma. Przeszli 50. Zapach, który czują, nie pozostawia wątpliwości. Są blisko. Po kolejnych dwóch krokach wystarczy się rozejrzeć. Jest! Soczewka zauważa wystające pomiędzy trzcinami nogi.

– Zaginiony był w miejscu, nad którym wcześniej latał śmigłowiec, ale w takim gąszczu nie było szans na zauważenie ciała. Pani szybko rozpoznała mężczyznę, choć po 30 dniach nie było to najłatwiejsze zadanie – nie ukrywa ratownik. (…)

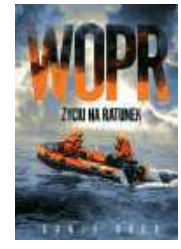

Fragment książki Dawida Góry, *WOPR życiu na ratunek*, Muza SA, Warszawa 2022

eprasa.pl c615e1887d

Wrocławski doktor Dolittle

Grzegorz Dziwak jest weterynarzem. Po pracy opiekuje się ponad 200 domownikami. To m.in. szopy, kangury, alpaki, papugi i węże

Dominika Tworek

Na progu jego posesji wita mnie gromadka psów, obwąchując i domagając się pieszczot. Wśród nich wesoło kica mara patagońska – gryzoń z Ameryki Południowej. Od wybiegu z kangurami woli beztroską zabawę z czworonogami na przydomowym trawniku.

– Mara trafiła do mnie z minizoo. A właściwie z rąk jego pracownicy, która zauważyła, że samica nie karmi młodych. Wzięła je więc do swojego mieszkania, podkarmiła i oddała matce. Po czasie znów pojawiły się problemy. Jedno młode zmarło, a drugie było w ciężkim stanie, z zapaleniem płuc. Dziewczyna znów przygarnęła maluszka i odratowała, ale ten nie mógł już wrócić do zoo, a ona nie miała warunków, by go zatrzymać. I odezwała się do mnie. Z początku miałem duże wątpliwości. Między innymi dlatego, że to tak rzadko spotykane zwierzę, nawet nie wiedziałam, jak się nim zająć. Ale świetnie się odnalazło, o dziwo, dogadując się z psami – opowiada Grzegorz Dziwak, 36-letni weterynarz.

Leczenie zwierząt było jego marzeniem od najmłodszych lat. W dzieciństwie zasypiał obłożony pluszowymi misiami. Wcześniej robił im zastrzyki i zakładał opatrunki.

Po jego rodzinnym domu zawsze biegały psy i koty. Ale jemu było mało. Kolejno pojawiały się więc chomiki, szynszyle, świnki morskie czy papugi. A kiedy rodzice przestali się zgadzać na coraz bardziej egzotycznych nowych współlokatorów (gady, węże, jaszczurki), zaczęło się przemycanie tych mniejszych – głównie pająków – do szafy. Mimo rodzicielskiego oporu zwierzęca rodzina stale się powiększała. Na studiach cały wynajmowany pokój Grzegorz wypełnił terrariami. Skończył weterynarię, zostając specjalistą od zwierząt nieudomowionych.

Chaos kontrolowany

Miał w planach hodowanie zwierząt egzotycznych. Jednak zrezygnował z tego pomysłu, kiedy zaczął pracę w zawodzie. – Gdy zobaczyłem ogrom potrzebujących zwierząt, stwierdziłem, że rozmnażanie kolejnych jest bez sensu. Bo potem bardzo trudno znaleźć im dobry dom. Dziś przygarniam do siebie głównie skrzywdzone istoty. Mam znajomych w różnych organizacjach, którzy dają mi cynk, że gdzieś jest zwierzę potrzebujące azylu. Większość jest kastrowana i zostaje ze mną dożywotnio. Wyjątek stanowią obecnie kangury. Pozwalam na ich rozmnażanie, dopóki mam dla nich odpowiednio dużo miejsca lub gdy wiem, że zwierzę chciałby przyjąć ktoś odpowiedzialny, kto również mógłby zapewnić mu dobre warunki – przyznaje.

Po ogromnym wybiegu przechadzają się dostojne alpaki, ciekawskie owce i urocze, niewielkie kangury. Jedna z samic nosi w torbie kangurzątko. Grzegorz ze śmiechem wspomina, że pierwszego kangurowatego kupił przez OLX. Kolejna kangurzyca była, jak większość trafiających tu zwierząt, schorowana i potrzebowała szczególnej opieki.

> Przygarniam do siebie głównie skrzywdzone istoty. Mam znajomych w różnych organizacjach, którzy dają mi cynk, że gdzieś jest zwierzę potrzebujące azylu.

– Lila jest niedowidząca, urodziła się w zoo – opowiada Grzegorz. – Została wyjęta z torby martwej matki. Później była odkarmiana sztucznym mlekiem. A kangury mają nadwrażliwość na laktozę i jeśli dostają mleko, którego używa się dla szczeniąt, czyli z laktozą, może dojść do zwyrodnienia białek soczewek oczu. I ona zachorowała na tak silną zaćmę, że totalnie nic nie widziała. Nie nadawała się więc na wybieg w zoo. I tak trafiła do mnie,

FOT. DOMINIKA TWOREK

eprasa.pl c615e1887d

a moja koleżanka, która specjalizuje się w okulistyce zwierząt, zrobiła jej zabieg usunięcia zaćmy. Obecnie choroba wróciła, ale dzięki temu, że Lila jest świetnie zaznajomiona z terenem, bardzo dobrze sobie radzi.

Wybieg obok zdominowały ptaki: uważnie przypatrujące się nam emu, wszędobylskie kury i upodobniony do nich masywną posturą gołąb king. Pieczę nad kokoszkami sprawuje Bożena, kura uratowana z laboratorium. Dzięki ludzkiej opiece udomowiła się na tyle, że dziś hasa po ogródku z pieskami i pierwsza wyczekuje wiadra z ziarnem.

Podwórze to chaos, ale kontrolowany przez Grzegorza. Zwierzęta integrują się, oddają wspólnym zabawom, choć nierzadko toczą międzygatunkowe spory. – Staram się, żeby życie toczyło się tu naturalnie, jak w przyrodzie. Żeby zwierzęta żyły w symbiozie. Ktoś mógłby powiedzieć, że to niebezpieczne, że nie powinno się łączyć obcych gatunków. Ale ja wychodzę z założenia, że przecież w naturze tak właśnie żyją. Zresztą sam wolałbym żyć z kimś, kogo nie lubię, niż w samotności. Jak ktoś trzyma zwierzę samo w klatce, to ono po prostu się nudzi. A tutaj, nawet jeżeli te zwierzęta się kłócą, to zawsze mają możliwość się rozejść, bo nie są zamknięte w małych klatkach – tłumaczy opiekun.

Szopowisko na ratunek

W 30-metrowej wolierze baraszkują szopy. Harcom oddaje się tu również ostronos. Szopowate to ulubione zwierzęta Grzegorza. Ma ich 11, a za kilka dni zagoszczą tu kolejne. – To bardzo ciekawskie, przyjacielskie i kontaktowe zwierzaki. Lubią się przytulać, bawić, być głaskane. Część trafiła do mnie z wypadków samochodowych, były połamane. Jest też jeden, który wpadł do żywołapki i poobdzierał sobie łapy. A teraz przyjedzie do mnie gromadka maluszków. Ktoś znalazł na ulicy przejechaną samicę szopa, widać było, że jest karmiąca. Przeszukano więc teren i w pobliskiej dziupli znaleziono trzy młode.

Weterynarz zwraca uwagę na tragiczną sytuację szopów w Polsce. Według prawa, które weszło w życie w grudniu ub.r., znalezione na terenie kraju zwierzę, nawet jeżeli jest zdrowe, powinno być poddane eutanazji lub oddane do azylu. Sęk w tym, że w Polsce nie ma ani jednego azylu dla szopów.

Aby stworzyć pierwsze takie miejsce w naszym kraju, wrocławski dr Dolittle założył fundację Szopowisko. Obecnie czeka na decyzję Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska. Jeśli się uda – a wszystko jest na dobrej drodze – w planach ma budowanie kolejnych wolier dla szopów. – To zwierzęta, które są bardzo poszkodowane w naszych realiach. Zostały sprowadzone do Europy z Ameryki Północnej, wbrew swojej woli. Człowiek przywiózł je tu ze względu na pozyskiwanie futer. I one z tych hodowli pouciekały. Obecnie są totalnie tępione. Rozumiem, że jest to gatunek obcy i nie ma wątpliwości, że nasza rodzima fauna jest najważniejsza. Uważam, że powinny być usunięte ze środowiska, ale są na to inne sposoby – podkreśla Grzegorz. – Doświadczenia ze Stanów Zjednoczonych pokazują, że masowe wybijanie szopów nie ma sensu. Gdy tego próbowano, ich liczba się zwiększała. W naturze zostawało więcej małych osobników, zajmujących małe terytoria, one znajdowały dla siebie niszę i dużo ich się rodziło. Gdy przestanie się na nie polować, jest ich mniej, bo zostaje wiele starych zwierząt, które zajmują duże terytoria i wybijają inne młode, więc one same się regulują. A jest ich już na tyle dużo, że wytępienie wszystkich jest nierealne. Takie radykalne wybijanie tych, które gdzieś się znajdzie, nie jest dobrym pomysłem. Zwłaszcza że są ludzie, którzy chcieliby te zwierzaki wziąć: osoby prywatne, minizoo czy agroturystyki chętnie je wezmą.

Grzegorz w ustawie o gatunkach obcych widzi wiele mankamentów: – Wpisano tam gatunki, które w ogóle nie są inwazyjne. Przykładem jest ostronos. Czy ktokolwiek widział w Polsce dziko występującego ostronosa? Mocno wątpię! Poza tym, jeśli azyle dla szopów powstaną, bardzo szybko się przepełnią. Bo te zwierzęta nie żyją trzy czy cztery lata, tylko 20. Nieprędko więc zwolnią miejsce dla następnych.

Dla opiekuna ponad 200 braci mniejszych prawo to jest odzwierciedleniem kulturowego postrzegania zwierząt przez polskie społeczeństwo: – Boli mnie, że wielu ludzi podchodzi do zwierząt przedmiotowo. Przeliczają je na wartość pieniądza i np. mówią, że na chomika nie wydadzą tyle pieniędzy, ile na psa. Bo my nie traktujemy zwierząt równo. Tępimy szopy, ale koty są już w porządku, a one przecież także nie są naturalne dla naszego środowiska. Ale nikt ich nie wybija, tylko się je kastruje. Dla nas to zwierzaczki domowe. A szopy już nie, bo to coś obcego.

> My nie traktujemy zwierząt równo. Tępimy szopy, ale koty są już w porządku, a one przecież także nie są naturalne dla naszego środowiska.

W zgodzie z naturą

Na placu jest również miejsce dla stworzonego przez stowarzyszenie Otwarte Klatki azylu dla norek, w którym bezpieczną przystań znaleźli też fretka i skunks. Kłótnia dwóch żywiołów, którą obserwujemy – czarnej norki Noresi i białej Perełki – odbywa się przy akompaniamencie śpiewu papug z pobliskiej woliery. Barwne ptaszki zostały oddane przez swoich właścicieli z przeróżnych powodów. Jedno jest pewne, nie brakuje im doznań czy towarzyskich kontaktów.

Nie wszystkie zwierzęta zostaną u Grzegorza. Młoda czapla po wypadku, która właśnie wygrzewa się w słońcu, jak tylko trochę podrośnie i wyzdrowieje, wróci na wolność. Podobnie jak trzy wiewiórczątka, które Grzegorz karmi sztucznym mlekiem. Stara się spędzać z nimi jak najmniej czasu, bo jeśli się nie oswoją, łatwiej im będzie wrócić na łono natury.

Weterynarz samodzielnie opiekuje się wszystkimi domownikami:

eprasa.pl c615e1887d

– Spędzam z nimi cały wolny czas. To moje hobby. To nie jest tak, że jakoś się poświęcam i męczę. Tak jak filatelista nie cierpi, całe dnie zajmując się znaczkami. Czasem ludzie pytają, skąd we mnie tyle optymizmu. Jestem przekonany, że to płynie właśnie od zwierząt. Tutaj nie ma czasu mieć doła. Nawet jak czasem nic się nie chce i chciałbym się położyć, to zwierzęta trzeba przecież nakarmić. A po drodze już zaczepia jakiś szop czy pies i człowiek się cieszy. Najgorzej jest, jak jakieś zwierzę choruje. A zdarza się, że i kilka naraz, i to jest bardzo stresujące. Ale zazwyczaj udaje się opanować sytuację. Czasami chciałbym gdzieś pojechać na parę dni, odpocząć. I nawet jestem w stanie zorganizować kogoś, kto zaopiekuje się zwierzętami, ale na takim wyjeździe i tak cały czas o nich myślę i wydzwaniam, dopytując o każdego zwierzaka. Mimo wszystko nie zamieniłbym mojego życia na żadne inne.

Grzegorz czuje się jak nałogowiec, gdy deklaruje, że więcej nie weźmie już żadnego zwierzęcia, a nowych członków rodziny pomimo postanowień wciąż przybywa. Jak twierdzi, nigdy nie miał hamulców. Towarzystwo zwierząt jest też remedium na trud i ogrom cierpienia, z którym mierzy się w swoim zawodzie.

– Pracuję w całodobowej klinice i jako jedni z niewielu przyjmujemy zwierzęta dzikie, z wypadków, bezdomne, więc mamy bardzo wysoki procent drastycznych przypadków. W dużej mierze trafiają do mnie zwierzęta skrzywdzone przez człowieka, często niespecjalnie. Choć czasami zajmujemy się bardzo zaniedbanymi gadami, gryzoniami czy królikami. Ostatnio trafił do nas pies, któremu właściciel wlał do pyska domestos. I psu spaliło język. W swojej pracy nauczyłem się mieć dystans, bo gdybym miał się przejmować każdym zwierzakiem, tobym zwariował. Ale dużo widzi się cierpienia zwierząt i ludzi, którzy są do nich przywiązani. To ma i drugą stronę – ponieważ ludzie traktują zwierzęta jak przyjaciół, często całą winę za chorobę pupila zwalają na weterynarza. W naszym środowisku jest dużo samobójstw, ludzie nie wytrzymują tej presji.

Zwierząt nie brakuje również w domu Grzegorza. W terrariach nobliwie prezentują się węże i jaszczurki, zaciekawiają gekony i lotopałanki, fascynują pająki. Choć Grzegorz nie ma parcia na zmienianie świata, nie ukrywa, że tkwi w nim chęć zmiany ludzkiej mentalności: – Denerwuje mnie, kiedy ludzie narzekają, że gołąb czy inny ptak zrobił im gniazdo na balkonie. Bo te zwierzęta muszą przecież gdzieś mieć swoje miejsce! My byśmy chcieli spacerować po wielkich ogrodach i wybetonowanych miastach. Bez zwierząt. A potem narzekamy, że ptaki nie śpiewają czy że jest dużo komarów. Bardzo chciałbym, żeby ludzie zmienili podejście do zwierząt. Żeby zauważyli, że nie żyjemy na tym świecie sami. Że to wcale nie jest tak, że zwierzęta są dla nas. Wszyscy jesteśmy wzajemnie sobie potrzebni. Musimy się nauczyć żyć w zgodzie z naturą i z szacunkiem dla niej.

Dominika Tworek

Zuzanna i mały Sebastian!

Masz trzy minuty? Więcej Ci nie zajmę. Zamknij oczy. Stań ze mną przed tymi wielkimi, obskurnymi drzwiami starej stodoły. Zanim tam wejdziemy, przez ten betonowy próg obrośnięty dziką trawą, weź głęboki wdech i zbierz w sobie odwagę. Bo gdy tam wejdziesz, spojrzysz śmierci w oczy. Nie, nie Twojej śmierci. Ale to wiele nie zmienia. Śmierć kończy każdy życie. Moje, Twoje kiedyś też. Nie znasz dnia ani godziny.

Ale Mama Zuzanna wie, że niewiele tego życia zostało. Już za kilka dni śmierć skończy dla niej wszystko, co zna. I ona jej wcale nie szukała. Ani na nią nie czekała. Chwilę temu urodziła Sebastiana. No tak, jest koniem. Tylko koniem. Ale to wiele nie zmienia. Bo niezależnie od gatunku, każde stworzenie chce żyć. Konie mają jednak takiego pecha, że to nie one decydują. Decyduje ich człowiek. I człowiek Zuzanny zdecydował.

Wchodzimy do stodoły, a ona, potężna klacz, trzęsie się w ciemnościach. Widzisz jak nogi się pod nią uginają i najchętniej zapadłaby się pod klepisko, abyś jej nie widział. Ale Ty widzisz wszystko. Nawet w tych ciemnościach jej oczy robią się wielkie, a im bliżej podchodzisz, tym jeszcze większe są. I widzisz w tych oczach niedosyt życia, które tak wcześnie się kończy. Widzisz ogromny strach, bo przecież jesteś człowiekiem, a człowiek zawsze był jej katem. Niczego lepszego się nie spodziewa. Za nią chowa się kilku tygodniowy Sebastian, który z dziecięcą ciekawością wystawia małą główkę, jakby nie był świadomy tego co niedługo się wydarzy. Zuzanna, gdy podchodzisz na metr od niej, zaczyna się wiercić i bić kopytem o zaschły obornik rozrzucony po całej stodole. Głośne parskanie słychać w całej wsi.

Wtedy betonowy próg mija handlarz. Potężny, brodaty, rumiany. Okrzykiem doprowadza Zuzannę do porządku - klacz zastyga w bezruchu i zamyka oczy, jakby spodziewała się razu za razem. Ręką z niedopalonym skrętem domowej roboty handlarz wskazuje drewniany, stary drąg oparty o słup. Cały przesiąknięty tytoniem roznosi wkoło woń taniego wiejskiego wina i trochę chwieje się na nogach. "Co duma kobyło, znowu trzeba Cię przeszkolić?" rzuca w stronę Zuzanny. Jego gromki, grubiański śmiech roznosi się po całym przybytku. "Tyle razy dostała, że powinna się już nauczyć stać na baczność, gdy jej Pan idzie. Na co Pani taka głupia chabeta? A to dziecko nie lepsze, spier... ile razy mnie widzi, no na co to komu?! Drągów we wsi nie starczy, żeby ich czegoś nauczyć. Ale rób se Pani zdjęcia, tam z boku idźcie" rzuca na odchodne.

Bierzemy Zuzanne za linę, nie musimy nawet szarpać. Zwieszą głowę i posłusznie idzie za nami do pomieszczenia obok. Za nią pokornie i trochę nieporadnie drepcze maluch z głową schowaną za maminym ogonem. Tylko czasem rzuca nam ciekawskie spojrzenie, ale jest w nim jakiś potężny smutek, w którym można utonąć. Dochodzimy pod niewielkie okno, gdzie światło pada na obydwoje. Trwa to kilka minut. Zuzanna pełna oddania patrzy w obiektyw, bo ten obiektyw to jedyne co dzieli ją od śmierci. Śmierci, która też stoi na tym drewnianym progu. I co rano zagląda, i robi krok na przód. Bo ten dzień się zbliża wielkimi, cichymi krokami. I tylko my możemy go cofnąć na powrót za próg, za kępy dzikiej trawy, za granice wsi. Aby zostawił Zuzannę w spokoju.

I pewnie kiedyś wróci ten dzień. Za wiele, wiele lat. I znowu stanie przy jakimś progu. I może nawet będzie schowa się za dziką trawą na moment. I znowu spojrzy na Zuzannę. I ona pójdzie za nim, za śmiercią, która z nim przyjdzie. Pójdzie posłusznie, kopyto za kopytem. Być może Sebastian będzie na to patrzył, a może kopyta zaprowadzą go w życiu gdzie indziej. I nigdy tego nie zobaczy.

Ale w ten piątek będzie inaczej. Sebastian będzie widział wszystko.

Zobaczy, jak zimne ostrze noża siłą odbierze jego matce oddech, spojrzenie i siłę. A potem, gdy ją wyniosą, chwycą jego. Nie będzie rozumiał. I nim jego głowa wypełni się odpowiedziami, przeszyje go ból i wszystko zniknie. I nie będzie już ani Sebastiana, ani Zuzanny.

Dajmy im to, co najcenniejsze. Czas. Dajmy im lata życia. Aż po kres, który przyjdzie do nich spokojnie i zamknie oczy Zuzannie, a po latach Sebastianowi. Ale wierz mi, to nie jest ich czas. Zamknij oczy. Stań ze mną na betonowym progu stodoły i zakończmy to. Zabierzmy Zuzannę z maluchem do domu. Pomóż im zebrać 14 700 zł. Tyle potrzebują, aby ten czas kupić. I muszą tę kwotę zebrać do 16 czerwca. Pomożesz im?

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonaj darowizny z tytułem ZUZA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści ZUZA na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 7910 (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus
ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488, www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: http://centaurus.org.pl/rklm

eprasa.pl c615e1887d

TRAWA sama sobie poradzi

Zdrowy ogród powinien być siedliskiem różnorodnej społeczności owadów, stonóg, ślimaków, dżdżownic, nie wspominając o bakteriach żyjących w glebie

Dave Goulson

Najważniejszą częścią większości ogrodów jest trawnik. Chociaż z pewnością nie stanowi największej atrakcji, leży zwykle pośrodku, zajmuje mnóstwo miejsca i służy do eksponowania innych ogrodowych osiągnięć, jak choćby klombu z kwiatami. My, Brytyjczycy, kochamy nasze trawniki. Pielęgnujemy je, strzyżemy, a brzegi wyrównujemy specjalnym narzędziem w kształcie półksiężyca. Gramy na nich w krokieta, krykieta albo tenisa, a potem rozsiadamy się, zażywając relaksu przy ginie z tonikiem lub innych napojach. Czym byłyby Wimbledon, brytyjskie lato czy tradycyjne herbatki bez trawników?

Skoro już o nich mowa, zdanie: „piękno jest w oku patrzącego" nigdy nie pasowało tu bardziej. Mój ojciec uwielbia swój trawnik i dla niego musi on być równo przystrzyżony, zielony i pasiasty. Zapamiętałem z dzieciństwa, jak co miesiąc torturował go za pomocą przedziwnych elektrycznych gadżetów, które usuwały góry mchu. Nigdy do końca nie zrozumiałem, czemu tak bardzo nie lubi mchu, który zresztą zawsze odrastał, ale ojciec upierał się przy swoim. Miał spalinową kosiarkę i co tydzień lub dwa wystrzygał nią równe pasy trawy. Dzisiaj ma 84 lata i mały ogródek, ale nadal sam strzyże swój trawnik leciutką kosiarką elektryczną, którą kupiłem mu na urodziny. Teraz jednak zatrudnia pracownika, który wiosną i latem co miesiąc wylewa tam różne płynne nawozy i środki na chwasty. Dzięki temu nie ma już mchu, trawnik to tylko jedna jaskrawozielona monokultura trawy, a ojciec wreszcie jest zadowolony.

Kiedy opowiedział mi o swoim konserwatorze trawników, bardzo mnie to zaintrygowało i postanowiłem przyjrzeć się bliżej temu rodzajowi usług. Szybki rzut oka w przeglądarkę odsłonił mi cały przemysł, co jak dotąd uszło mojej uwagi. Okazało się, że w całym kraju istnieją dziesiątki firm, które za odpowiednią cenę zajmą się utrzymaniem twojego trawnika, tak jak w przypadku mojego ojca. Proponują przeprowadzenie analizy i dobranie odpowiedniej terapii, jeśli okaże się, że trawnik stracił kolor czy w ogóle coś mu dolega. Doskonale wytrenowani operatorzy nie tylko go skoszą, lecz także zaproponują napowietrzanie otworowe (cokolwiek to znaczy), zwalczanie szkodników, piaskowanie, usuwanie porostów, dogęszczanie, a nawet kompleksowy program odnowy, jeśli naprawdę pozwoliliście waszemu nieszczęsnemu trawnikowi zejść na psy. Możecie być spokojni, że błyskawicznie i profesjonalnie rozprawią się z „filcem", czyli zbitą warstwą martwych części trawy, plagą pędraków, czerwoną nitkowatością (grzybica trawy), larwami komarnicy, kretami czy którymś z innych licznych zagrożeń. (…)

Istnieje jednak rozwiązanie alternatywne (i znacznie tańsze) wobec nieskazitelnego trawnika typu wimbledońskiego. Można się obyć bez desantu ekipy wyspecjalizowanych operatorów, zapomnieć o środkach chemicznych, spulchnianiu i dosiewaniu, czyli w zasadzie nie robić nic, poza okazjonalnym strzyżeniem. Po prostu obserwować, co się dzieje; będzie to wasz własny miniaturowy program „renaturalizacji" (polega to na zminimalizowaniu ludzkiej

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c615e1887d

interwencji w naturalne procesy zachodzące w przyrodzie). (…)

Przywykliśmy, że w miejscowym parku czy na rondach, które codziennie mijamy, co dwa tygodnie pojawia się ekipa z kosiarkami i czujemy się uprawnieni do interwencji, jeśli tak się nie stanie. Dla wielu osób trawa po prostu ma być krótka, każda inna opcja uznawana jest za niedbalstwo i skutek lenistwa lub cięć budżetowych. W wielu miastach amerykańskich trawniki muszą być regularnie koszone. Lokalne przepisy określają maksymalną wysokość murawy, a jeśli dopuścisz, by twój trawnik ją przekroczył, zostaniesz ukarany grzywną, co budzi wielkie oburzenie wśród entuzjastów dzikiej przyrody. Jest pewnym paradoksem, że na tzw. kontynencie wolności, gdzie każdy może legalnie kupić broń maszynową, zabrania się trawie rosnąć.

Na szczęście u nas nie ma takich praw, ale i tak każdy, kto zaproponuje ograniczenie rygoru koszenia, może spodziewać się protestów, przynajmniej na początku. W roku 2014 Rada Miasta Peterborough uchwaliła, że siedem areałów miejskich parków ma być pozostawionych jako dzikie łąki, koszone tylko raz w roku, a kilka innych będzie się kosić trzy razy w roku. Okazało się, że da to oszczędność 24 tys. funtów na sile roboczej i paliwie, ale mimo to Rada została zalana falą listów i mejli ze skargami. „Park wygląda koszmarnie z tą wysoką trawą, jak nasze dzieci mają się w nim bawić?”, napisała mieszkanka Stella, której wtórował Tariq: „Jak miasto ma ładnie wyglądać, skoro zaniedbuje swoje parki?”. (…)

Badania Marka Goddarda z Uniwersytetu Leeds wykazały, że większość posiadaczy ogrodów obawiałaby się dezaprobaty i skarg sąsiadów, gdyby pozwolili swojej trawie zbyt wysoko rosnąć. Na szczęście z tych badań wynika też, że te interakcje mogłyby dla ogrodnictwa sprawić wiele dobrego; wzajemne naśladownictwo to rzecz powszechna, a rady sąsiadów, przyjaciół i krewnych wywierają dziś coraz większy wpływ na sposób prowadzenia ogrodów. Wiele osób uważa, że sąsiedzi albo podziwiają, albo naśladują ich praktyki w tej dziedzinie, a odnosi się to także do ich wysiłków na rzecz tworzenia habitatu dzikiej przyrody. Może przy odrobinie zachęty moglibyśmy w całej okolicy wymieniać się informacjami, jak najlepiej sprzyjać rozwojowi dzikiej fauny i flory, a zamiast użerać się o wysokość trawy, współzawodniczyć ze sobą w kwestii bioróżnorodności.

Dla wielu osób trawa po prostu ma być krótka, inna opcja uznawana jest za niedbalstwo.

Oczywiście są też argumenty związane z ochroną środowiska. Koszenie wymaga zużycia energii – spalinowej lub elektrycznej, co pociąga za sobą koszty i przyczynia się do emisji dwutlenku węgla. Jak wykazała Rada Peterborough, jest tu też pole do oszczędności na kosztach pracy. Dla właścicieli posesji ograniczenie koszenia oznacza mniej godzin spędzonych w pocie czoła przy kosiarce w palącym słońcu, a więcej na popijaniu drinków i leniwym obserwowaniu stonóg. Wyższa trawa jest bardziej odporna na upał, więc nie trzeba jej tak często podlewać – kolejna cenna oszczędność zasobów (nawet przy wielkim upale, kiedy wasz trawnik zaczyna wyglądać nieco żałośnie, nie marnujcie cennej wody, uruchamiając zraszacze. Trawa odżyje sama, gdy tylko spadnie deszcz. Po prostu zbyt wielu ludzi używa zbyt dużo wody, przez co latem nasze rzeki prawie doszczętnie wysychają, a wszystko to głównie po to, aby zachować zieleń trawników).

Wyższa trawa jest bardziej odporna na upał, więc nie trzeba jej tak często podlewać.

Z rzadszego koszenia wynikają też kolosalne korzyści dla dzikiego życia. Na krótko ostrzyżonym trawniku nie uchowa się prawie żadne żywe stworzenie, poza żyjącymi pod powierzchnią gleby larwami komarnicy (chyba że zapłaciliście za ich usunięcie). Strzyżenie zapobiega kwitnieniu, więc nie ma żadnych kolorów ani pyłku czy nektaru dla owadów. Jeśli myślicie o trawniku jako o samej trawie, to pewnie zastanawiacie się, co by tam miało kwitnąć (poza samą trawą, która wypuszcza niepozorne, zapylane wiatrem, zielone kwiaty). W rzeczywistości, jeśli tylko nie jest świeżo założony, rośnie tam mnóstwo ziół, które tylko czekają na moment, kiedy będzie im dane to zrobić. (…) Analiza 52 trawników wykazała 159 różnych kwitnących roślin, a ogólna liczba gatunków na metrze kwadratowym była zbliżona do tej, którą zarejestrowano na półnaturalnej łące. Na regularnie koszonych trawnikach rośliny te pozostają przy życiu dzięki temu, że rozwijają się poziomo, tuż przy powierzchni ziemi i rozmnażają wegetatywnie, wypuszczając wąsy i kłącza. Wystarczy przestać kosić, a natychmiast ożyją.

Mój własny trawnik ma co najmniej 12 lat i chociaż podejrzewam, że z początku obsiewano go popularną mieszanką nasion traw, rosną tam teraz stokrotki, mniszki, jaskry, głowienki, fiołki, przetaczniki, brodawniki, biała i czerwona koniczyna, kurdybanek, starzec, komonica zwyczajna i mnóstwo mchu. Jestem pewien, że po starannym przeszukaniu znalazłoby się wiele innych gatunków. Wystarczy mniej więcej tydzień bez koszenia, a pierwsze rośliny zaczynają kwitnąć, ale w ciągu roku wygląda to inaczej u różnych gatunków: mniszki, fiołki i stokrotki rozkwitają wczesną wiosną, po nich następują jaskry i koniczyna, a już w lecie brodawniki i głowienki. Przez całą wiosnę i lato ciągnie się więc sukcesja białych, żółtych i fioletowych kwiatów, które oczywiście przyciągają owady: pszczoły miodne, trzmiele, murarki, bzygi prążkowane i wiele innych. Całkowite unicestwianie ich kosiarką wydaje się straszną szkodą. (…)

eprasa.pl c615e1887d

Oczywiście nie ma też żadnej potrzeby stosowania nawozów czy pestycydów. Trawa przez miliony lat radziła sobie bez żadnego wspomagania. Zdrowy ogród powinien być siedliskiem różnorodnej społeczności owadów, krocionogów, stonóg, ślimaków, dżdżownic, nie wspominając o niezliczonych bakteriach żyjących w glebie pod darnią. Przy dużym szczęściu możecie się dochować lepiarek, czyli pszczół gnieżdżących się w ziemi, a także przystojnych pszczolinek rudych. Kilka z tych stworzonek, jak larwy chrabąszczy, mieszkające w ziemi larwy ciem i komarnicy, żywi się korzeniami trawy, więc czasem widać na miejscu uschniętej (z tego właśnie powodu) małe łyse placki. Możecie kupić w sklepie ogrodniczym jakiś środek, który je zabije, albo zasięgnąć rady specjalisty, ale czy naprawdę musicie coś robić? Wydaje mi się, że kilka małych brązowych placków od czasu do czasu nie jest zbyt wysoką ceną za zdrowy ekosystem. Te mieszkające w ziemi owady pełnią w łańcuchu pokarmowym ważną funkcję. Larwy komarnic to ulubione pożywienie szpaków, gatunku, który w ostatnich latach zastraszająco podupadł – od lat 70. ich populacja zmniejszyła się o dwie trzecie. Jeśli pozostała resztka ich nie dopadnie, to z larw wyklują się komarnice, ale, wraz z dorosłymi ćmami, które wylęgną się z gąsienic, zostaną sprzątnięte przez nietoperze. (…)

Większość z nas ceni sobie gładką murawę, na której można siedzieć, bawić się czy popijać drinki, ale jeśli macie taką możliwość, spróbujcie także znaleźć miejsce dla łąki. W takim przypadku moglibyście posunąć się o krok dalej w ograniczeniu strzyżenia – wystarczyłoby skosić trawę raz, najwyżej dwa razy w roku, naśladując w tym tradycyjne sianokosy. (…)

Łąki pokrywały dawniej większość nizin brytyjskich, w latach 30. ubiegłego wieku było to ok. 3 mln ha, ale do dziś zostało z tego zaledwie 2%. Reszta padła ofiarą industrializacji rolnictwa. Ta potężna strata bogatego w kwiaty habitatu stała się jedną z głównych przyczyn zmniejszenia różnorodności żyjących tam stworzeń, począwszy od trzmieli żółtych, a skończywszy na derkaczach. Obecnie jednak obserwuje się znaczne zainteresowanie odzyskiwaniem tych łąk i przywracaniem ich do życia, my zaś możemy wspomóc ten proces, zakładając miniłąki w naszych ogrodach.

Na początek – jeśli nie stać was na więcej – wystarczy 1 m kw. ziemi. Są różne sposoby, ale najprościej jest przestać kosić (poza tym jednym razem w końcu lata) i patrzeć, co będzie się działo. Wegetacja błyskawicznie przyśpieszy, a każda obecna tam roślina szybko wypuści kwiaty, aby jeszcze w lecie zacząć się rozsiewać. Jeśli od czasu do czasu przejedziecie kosiarką wokół waszej łąki, nabierze ona zaskakująco schludnego wyglądu; kontrast między niską a wysoką trawą sprawi, że całość będzie robić wrażenie celowego działania, a nie zaniedbania. Ten sam efekt uzyskałem u siebie, wystrzygając w mojej łące kosiarką kręte ścieżki. Spacer po ogrodzie można wtedy uznać za małą przygodę, gdyż wczesnym latem trawa wokół ścieżek sięga aż do pasa.

Jeśli zauważycie, że na waszej nowo założonej łące jest mało kwiatów lub nie ma ich wcale, to macie kilka możliwości. Możecie kupić w szkółce sadzonki – świetnie nadają się świerzbice polne, chabry czy margerytki – i posadzić je, usuwając trawę wokół nich na mniej więcej rok, żeby mogły się przyjąć. Albo – znacznie tańszym kosztem – wyhodować łąkowe rośliny z nasion w rozsadniku i przesadzić je do gruntu, gdy podrosną. Albo przekopać wiosną czy wczesną jesienią cały obszar i wysiać mieszankę nasion kwiatów polnych (jest mnóstwo dostawców). (…)

Przyjmijmy, że udało mi się was przekonać do założenia takiej własnej miniłączki tylko rodzimych roślin. W pierwszych latach przyjdzie się wam pewnie zmierzyć z problemem bujnego rozrostu chwastów, gdyż ogrodowa gleba bywa bardzo żyzna. Szczawie i pokrzywy często mnożą się jak grzyby po deszczu i zasłaniają słońce ładniejszym roślinom, na których wam zależy. Cóż, nie widzę niczego złego w pokrzywach i szczawiu – jedne i drugie przyciągają mnóstwo ciekawych żyjątek. Pokrzywy stanowią ulubione żerowisko ślicznych motyli, w tym rusałek pawików i ceików. Nie są jednak specjalnie ładne i nie bardzo pasują do idei kwietnej łąki. Mam z nimi problem we własnym ogrodzie, podobnie jak z szorstkimi trawami, na przykład kupkówką pospolitą, kłosówką wełnistą czy rajgrasem wyniosłym. Trawy te są gatunkami niepożądanymi także na łące, gdyż wyrastają zbyt szybko i wysoko, tworząc duże kępy i niszcząc delikatniejsze rośliny, w tym wiele kwiatów.

Na krótko ostrzyżonym trawniku nie uchowa się prawie żadne żywe stworzenie.

Z doświadczenia wiem, że najlepiej jest przez pierwsze lata kosić porządnie łąkę dwa do trzech razy w roku, usuwając ścięte rośliny w trakcie wegetacji, żeby ograniczyć ich wigor. Próbowałem tego sposobu na małych spłachetkach ziemi w swoim ogrodzie, żeby sprawdzić, jak to działa. Kosiłem różne miejsca w różnym czasie, żeby stworzyć mozaikę poletek o różnym wzrastaniu i wieku. Sądząc po liczbie pasikoników i świerszczy, mam teraz nadzieję, że postąpiłem słusznie, chociaż wciąż mi daleko do wygrania wojny. (…)

Nawet gdy wasza łąka stanie się faktem, zawsze raz w roku będzie trzeba ją skosić. Może to zabrzmi jak bluźnierstwo, ale powinno się to zrobić, kiedy rośliny są w trakcie wzrastania i pełne życiodajnych soków. Farmerzy tradycyjnie koszą siano w końcu czerwca lub w lipcu, bo wtedy ma ono mnóstwo odżywczych składników, które w zimie potrzebne są zwierzętom. (…)

Fragmenty książki Dave'a Goulsona *Dżungla w ogrodzie. O dzikiej przyrodzie wokół nas*, przeł. Anna Bańkowska, Marginesy, Warszawa 2022

eprasa.pl c615e1887d

JOLKA

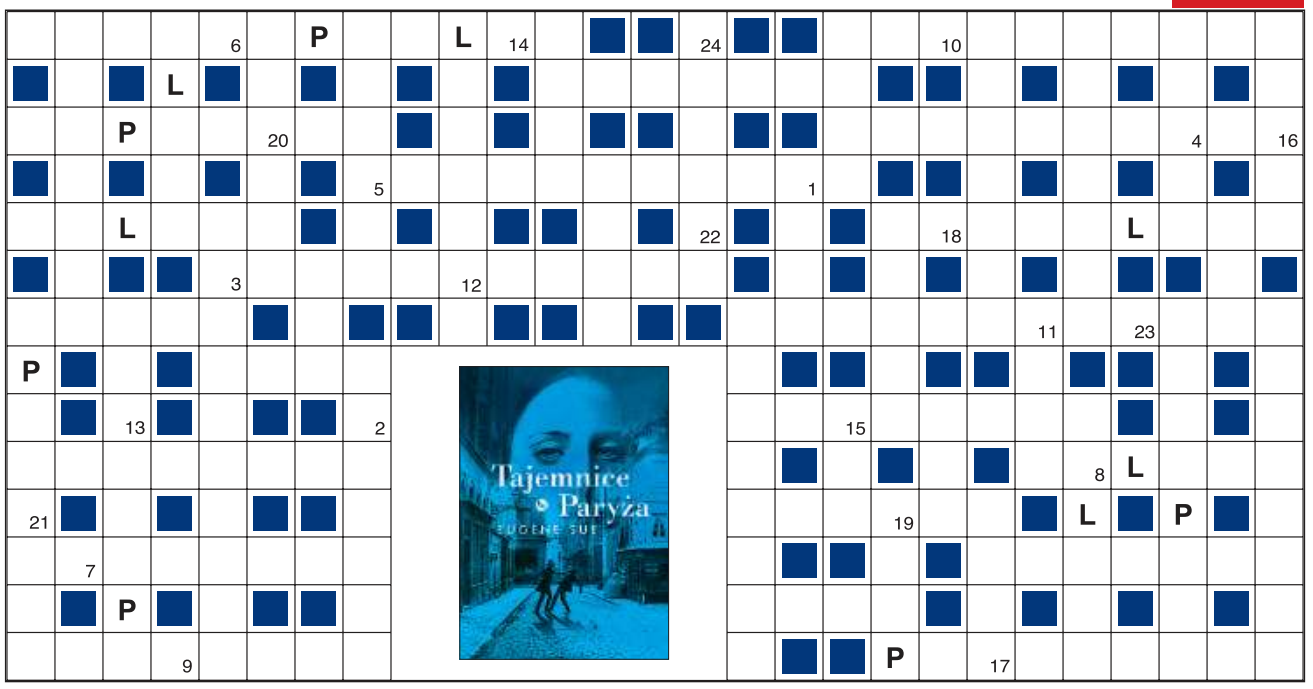

1	2	3	4	5	6	7	8

9	10	11	12	13	14

15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L i P ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- Sari lub Rusowicz
- żelazne ratuje podejrzanego
- …marki – promująca coś celebrytka
- koń gorącokrwisty w typie wierzchowym
- nieważność, nieistotność
- w „Małym Księciu" wąż trawiący słonia
- można stoczyć zażarty
- sportowiec i pies medalista
- kozioł do grania
- kolejna… konkursu, programu
- bylica draganek jako przyprawa
- co w niego poszło, radiosłuchacze usłyszeli
- ciuszek
- omal nie stratowały Simby
- kałamarnica i szwedzkie miasto
- duży, stojący, kilkuramienny świecznik
- ryba zrobiona na szaro
- sztywna, płaska czapka z daszkiem
- skrzynia do prac podwodnych
- ratunkowe rzucane tonącemu
- następstwa, skutki
- o mieszkańcu podwawelskiego grodu
- mniejszy niż trawler
- dostał Nike lub Nobla
- utwór na jednego aktora (dłużej)
- dawniej o pryczy
- Dafne, Kalipso lub Amaltea
- krawędź, skraj
- urodził się w niej Isaak Babel
- Klaudiusz – stryj i… Hamleta
- człowiek o bardzo surowych zasadach moralnych
- modelujące, kryjące lub kabaretki
- graty w lamusie
- aktorka Hanin, tancerka Gozdowska
- abrewiacja lub perspektywiczny
- drewniana kasetka, szkatułka
- potrzebny do robienia nalewek
- służący powożący końmi
- urządzenie do nadawania kierunku statkowi
- naramienniki z odznakami stopni
- refleks to …reakcji
- ogół zapatrywań na życie, politykę
- pozbawieni go pacykarz i grafoman
- ćwiczenia, zaprawa
- część silnika elektrycznego, prądnicy
- materiał, surowiec
- zniewaga, plama na honorze
- cieszy rolnika i sadownika
- ten, kto posługuje się czymś
- chrystusowy to 33 lata
- dzwoni do „babci" po pieniądze

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1069". Do rozlosowania książki „Tajemnice Paryża" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 19 czerwca 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1066" z nr. 22: *Szczęście ludzi zmienia.*
Nagrody otrzymują: Józef Lebek z Zabrza, Henryk Majkut z Tuczęp, Anna Małek z Warszawy.

eprasa.pl c615e1887d

Albo-albo

Odgadnięte wyrazy należy wpisać albo do lewego, albo do prawego diagramu.

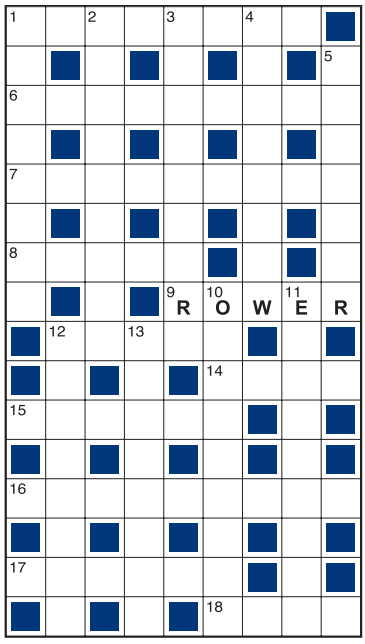

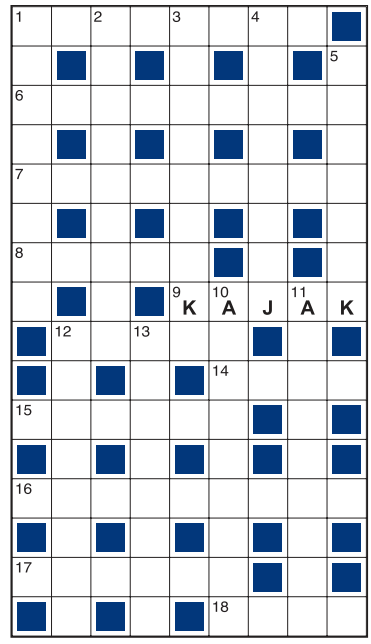

Poziomo:
1) szeroki, rozległy widok * chleb, bułki, rogale
6) poetą i uznanym… był Cyrano * autorka pionierskich rozwiązań
7) między parterem a pierwszym piętrem * gra w kościele
8) godłem tego kraju Pogoń * szklany abażur
12) w tytule: zabić tego ptaka * siedzi lub leży na gwoździach
14) płynie i ucieka * miejsce nie dla mieszczucha
15) stan kompletnego zobojętnienia * wdech i…
16) skwer, parczek * wykaz granych sztuk
17) okres noszenia czerni * chleb własnego…
18) schodki na statek * fałsz w śpiewie, grze

Pionowo:
1) parlamentarzystka inaczej * np. czółenka
2) członek załogi wyznaczający kurs * anoda lub katoda
3) wyga, wyjadacz * rozruchy, starcia uliczne
4) biatlon, triatlon lub więcej * Baka lub Zbrojewicz
5) naczynie z uchem i dziobkiem * ożenek jeszcze przed nim
10) gieroj, chojrak * jest nim Daniel Libeskind
11) o napoju typu Red Bull * filmowa – to ekranizacja
12) Chopin lub Járosy * kopia, wtórnik
13) cienka tkanina na kurtki nieprzemakalne * łączenie kropelką

Sudoku

Uzupełnij diagram, tak by w każdym rzędzie, w każdej kolumnie i w każdym kwadracie 3 x 3 znalazło się 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

8		4	9		6			
	5							
6			8	7	5			4
		7	1		3		6	2
4		3						9
2	8						5	
				1	4			5
1	6		3	9	8		4	7
				5		8		6

ŚREDNIE

						1	2	6
6			9	4	8		7	
7							9	
			4			7		
4	7			9	5			
					3			
2	4	8	6				3	
	3			1	2		6	4
	6	1	5				8	

TRUDNE

		1					6	
	6	2	8					5
	5					7	8	
				6			7	
	9				7		3	4
		8	5	9				2
	4	9		5		3		
					3	4		1
				7				

PIEKIELNIE TRUDNE

	3	2						7
	6	1						
					8			2
		8			7			5
4	5		1		2	6	8	
	2							4
					4		7	8
3			8					
5			2				9	

Trzy kolory

W kolorowe kółka wpisz cyfry, tak by dodawanie było poprawne. W kółkach tego samego koloru powinny się znaleźć takie same cyfry.

Rozwiązania na s. 64

eprasa.pl c615e1887d

Pani Ć. i pan P.

Archiwum PRZEGLĄDU puchnie od wzmianek o pani Barbarze Ćwioro, a i tak wiemy, że to nie koniec, że będzie jeszcze o czym pisać.

Zatem tylko tytułem przypomnienia – Barbara Ćwioro to kluczowa współpracowniczka Witolda Waszczykowskiego, w czasie gdy ten kierował MSZ. Była wtedy dyrektorką Departamentu Spraw Europejskich.

Gdy Waszczykowski odszedł, we wrześniu 2018 r. objęła stanowisko ambasadorki w Pradze. Ale rychło popadła tam w konflikt z częścią personelu. Najpierw zaczęto pisać na nią donosy, potem sprawę w swoje ręce wziął ówczesny dyrektor generalny MSZ Andrzej Papierz. I w lipcu 2019 r. uruchomił w centrali specjalną komisję, która miała rozpatrzyć sygnały o mobbingu w Pradze. Skończyło się to tym, że sprawę skierowano do prokuratury. I o tym wszystkim media były informowane.

Sytuacja wyglądała więc tak, że formalnie ambasadą w Pradze kierowała pani Ćwioro, ale wszyscy wokół, i w ambasadzie, i w czeskim rządzie, wiedzieli, że za chwilę może mieć postawione zarzuty prokuratorskie. Jak w takich warunkach można pracować? Wiadomo, że nie można, ale w centrali MSZ nikomu to nie przeszkadzało. Co tam praca ambasady, ważne, że można się odegrać.

Ostatecznie w kwietniu 2020 r. pani ambasador została odwołana i w czerwcu wróciła do Warszawy.

Od tego czasu przesiaduje w domu i przygotowuje się do procesu, który właśnie trwa. Według śledczych znęcała się nad siódemką podwładnych. Grozi za to kara do pięciu lat więzienia. Akt oskarżenia został skierowany w listopadzie 2020 r. do sądu. Miesiąc później, w postępowaniu nakazowym, sąd uznał byłą ambasador winną, zobowiązując ją do zapłacenia 10 tys. zł nawiązki i po 4 tys. odszkodowania dla każdego z mobbowanych.

Ale Ćwioro ten wyrok odrzuciła, więc sprawa jest już na „normalnej" wokandzie. Media relacjonują to wydarzenie i cytują zeznania byłej podwładnej pani Ćwioro: „Nagle z wysokiej rangi eksperta stałam się chłopcem do bicia, ledwie tolerowanym pracownikiem – mówiła w sądzie. – Były pytania: Czy ty to ogarniasz? Czy pamiętasz, czy może jesteś za stara? (...) To nie była krytyka, tylko ataki".

Była podwładna mówiła też o wybuchach złości pani ambasador, o tym, że była przez nią krytykowana, również publicznie.

W MSZ na ten bezprecedensowy proces, bo nigdy wcześniej żaden ambasador nie był przed sądem oskarżany o mobbing, patrzą z pewnym dystansem. Pani Ćwioro nie cieszy się opinią osoby szczególnie delikatnej, przeciwnie – wielu dyplomatów zderzyło się z jej twardym tonem. Ale – każdy to wie – gdyby ambasadorów skazywać za zły ton i poganianie podwładnych, placówki świeciłyby pustkami. Widać więc, że nie o to w tej sprawie chodzi, że inne czynniki tu decydują. Że proces Barbary Ćwioro jest częścią osobistej rozgrywki, którą były dyrektor generalny Andrzej Papierz prowadzi z Witoldem Waszczykowskim. Dlatego uderzył w jego bliską współpracowniczkę.

I grillował ją aż miło – bo do tego sprowadzała się wielomiesięczna i upokarzająca praca komisji ds. mobbingu, w czasie gdy była ambasadorką. A wisienką na torcie była jedna z ostatnich decyzji – po odwołaniu Ćwioro centrala nie zgodziła się, by wracała do kraju samolotem, miała wracać pociągiem.

A teraz ma proces i siódemkę ludzi przeciwko sobie.

Attaché

Ekspresem przez targowisko. W tajlandzkim Mae Klong pociągi muszą się przeciskać między kramami rozłożonymi tuż przy torach.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl c615e1887d

PENETRACJE

PROF. ALEKSANDER KRAWCZUK,
HISTORYK

Dużo zawdzięczam Władysławowi Tatarkiewiczowi, znakomitemu profesorowi filozofii. Powiedział coś, co do dziś pamiętam: „Ja nie jestem twórcą jakiegoś systemu filozoficznego. Mnie największą przyjemność intelektualną sprawia przedstawianie skomplikowanego problemu tak, żeby to było interesujące i przystępne dla każdego". I to właśnie od niego przejąłem. Tę maksymę, którą kieruję się przez całe życie, pisząc.

PROF. JAN TOPOROWSKI,
UNIWERSYTET LONDYŃSKI

Rządy na całym świecie rozbudowują swoje potencjały wojskowe i wzrastają dostawy dla walczących w Ukrainie. Należy ujawniać, piętnować i zwalczać spekulowanie na wojnie zarówno militarnej, jak i gospodarczej. W ramach istniejących instytucji międzynarodowego kapitalizmu trudno jest wyrugować takie spekulacje, ale można je opodatkować (tak jak opodatkowane były one w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych w czasie II wojny światowej), aby pokryć koszty pomocy dla Ukrainy, pomocy dla uchodźców i odbudowy służby zdrowia oraz ochrony stopy życiowej mniej zamożnych.

RAFAŁ WOŚ,
PUBLICYSTA

Ciosy zadane przez Rosję były perfidnie celne i obliczone na zniszczenie gospodarczego potencjału Ukrainy. Dziś szacuje się, że straty opiewają na ok. 100 mld dol., czyli są warte połowę przedwojennego PKB tego kraju. Ogromna stalownia w Mariupolu jest zniszczona, podobnie wiele innych zakładów. A bez stali nie da się w zasadzie niczego zbudować. Do tego dochodzą trendy demograficzne. Wyjazd z kraju 5 mln kobiet w wieku rozrodczym sprawi, że w najbliższych latach znacząco się one pogorszą.

BOGNA SWOROWSKA,
MODELKA, BIZNESWOMAN

Z Rafałem Olbińskim połączyła nas absolutnie szalona miłość, której bym nigdy nie oczekiwała, na pewno nie w moim wieku. Nie mieszkamy na co dzień razem, ale pomieszkujemy razem, kiedy zapragniemy być blisko. *Forever dating*, czyli wieczna randka, to chyba najlepsze określenie naszego związku. Uwielbiam Rafała, kocham i lubię, a to szalenie ważne, bo on mi imponuje. Wiedzą, intelektem, pewnością swoich poglądów. Stanowczością w nazywaniu tego, co jest dobre, a co złe. Poczuciem humoru, dystansem do siebie. To jest facet wyzwanie. Ja cały czas muszę przy nim dużo czytać, dokształcać się, wiedzieć więcej o sztuce, polityce, biznesie.

Fotografia portretowa to prawdziwe wyzwanie. Gary Cox osiągnął mistrzostwo, fotografując mieszkańców zoo w angielskim Blackpool.

FOT. EAST NEWS

Aby język giętki…

OLGA TOKARCZUK
O NOWYCH KSIĄŻKACH

Naprawdę nie wiem, co uda mi się stworzyć następnym razem. Nie mam planu. W ten sposób pisanie staje się rodzajem zabawy i wyzwania.

SĘDZIA BEATA MORAWIEC
O ZBIGNIEWIE ZIOBRZE

Nigdy nie wydał żadnego orzeczenia, nigdy nie podjął pracy w zawodzie, jest papierowym prokuratorem.

RYSZARD TERLECKI
O SOBIEPAŃSTWIE

W PiS panuje przekonanie, że trzeba „odstrzelić" tych, którzy są nielojalni, którzy psują, szkodzą, podkładają nogi i rozpychają się.

JOANNA TRZEPIECIŃSKA
O SILE KOBIET

Jak mówi dowcip: najpierw Bóg stworzył prototyp – mężczyznę, a potem lepszą wersję, czyli kobietę.

WOJCIECH SMARZOWSKI
O „DROGÓWCE"

Napisałem ją szybko, w trzy miesiące, i nic mnie ten film emocjonalnie nie kosztował, bo niczego nie musiałem dokumentować.

ANJA RUBIK O PARTNERZE

Muszę mieć partnera, którego nigdy nie przerosnę. W moich poprzednich związkach niczym modliszka połykałam moich partnerów. Ten jest nie do połknięcia.

BARTOSZ KUREK
O MOTYWACJI W SIATKÓWCE

Wciąż mam w sobie ten ogień. Nie mam pojęcia, skąd to się bierze.

DOROTA POMYKAŁA O NAZWISKU

Przez większość życia byłam w biegu, może nazwisko Pomykała jakoś mi to… załatwiło.

MARIA PESZEK
O BYCIU AMBASADORKĄ

Moje koleżanki są ambasadorkami kosmetyków, biżuterii, zegarków, a ja będę promowała zmarszczki.

eprasa.pl c615e1887d

MEMY BEZ ŚCIEMY

ROZWIĄZANIA

P	A	N	O	R	A	M	A	■
A	■	A	■	U	■	I	■	K
N	O	W	A	T	O	R	K	A
T	■	I	■	Y	■	O	■	W
O	R	G	A	N	I	S	T	A
F	■	A	■	I	■	Ł	■	L
L	I	T	W	A	■	A	■	E
E	■	O	■	R	O	W	E	R
■	D	R	O	Z	D	■	N	■
■	U	■	R	■	W	I	E	Ś
A	P	A	T	I	A	■	R	■
■	L	■	A	■	Ż	■	G	■
Z	I	E	L	E	N	I	E	C
■	K	■	I	■	I	■	T	■
Ż	A	Ł	O	B	A	■	Y	■
■	T	■	N	■	K	I	K	S

P	I	E	C	Z	Y	W	O	■
O	■	L	■	A	■	I	■	D
S	Z	E	R	M	I	E	R	Z
Ł	■	K	■	I	■	L	■	B
A	N	T	R	E	S	O	L	A
N	■	R	■	S	■	B	■	N
K	L	O	S	Z	■	Ó	■	E
A	■	D	■	K	A	J	A	K
■	F	A	K	I	R	■	D	■
■	R	■	L	■	C	Z	A	S
W	Y	D	E	C	H	■	P	■
■	D	■	J	■	I	■	T	■
R	E	P	E	R	T	U	A	R
■	R	■	N	■	E	■	C	■
W	Y	P	I	E	K	■	J	■
■	K	■	E	■	T	R	A	P

1 2 2
2 3 7
6 7 9
4 1 1
1 8 7
2 7 6
1 1 0
2 0 2 2

ŁATWE

8	7	4	9	2	6	5	3	1
9	5	2	4	3	1	6	7	8
6	3	1	8	7	5	9	2	4
5	9	7	1	8	3	4	6	2
4	1	3	5	6	2	7	8	9
2	8	6	7	4	9	1	5	3
7	2	8	6	1	4	3	9	5
1	6	5	3	9	8	2	4	7
3	4	9	2	5	7	8	1	6

ŚREDNIE

8	9	4	3	5	7	1	2	6
6	1	2	9	4	8	3	7	5
7	5	3	1	2	6	4	9	8
3	8	9	4	6	1	7	5	2
4	7	6	2	9	5	8	1	3
1	2	5	7	8	3	6	4	9
2	4	8	6	7	9	5	3	1
5	3	7	8	1	2	9	6	4
9	6	1	5	3	4	2	8	7

TRUDNE

8	3	1	7	4	5	2	6	9
7	6	2	8	3	9	1	4	5
9	5	4	2	1	6	7	8	3
4	1	5	3	6	2	9	7	8
2	9	6	1	8	7	5	3	4
3	7	8	5	9	4	6	1	2
1	4	9	6	5	8	3	2	7
6	8	7	9	2	3	4	5	1
5	2	3	4	7	1	8	9	6

PIEKIELNIE TRUDNE

8	3	2	9	4	6	1	5	7
9	6	1	7	2	5	8	4	3
7	4	5	3	1	8	9	6	2
1	9	8	4	6	7	2	3	5
4	5	7	1	3	2	6	8	9
6	2	3	5	8	9	7	1	4
2	1	9	6	5	4	3	7	8
3	7	4	8	9	1	5	2	6
5	8	6	2	7	3	4	9	1

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Co człowiek złączył, tego niech tortilla nie rozdziela

Amerykańscy naukowcy, a precyzyjniej czworo studentów Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa, opracowali jadalną taśmę klejącą do zawijanych dań. Inspiracją była sytuacja, która wydarzyła się podczas wspólnego posiłku: jednej ze studentek rozwinęło się burrito, a cały farsz wylądował na kolanach. Po kilku miesiącach prac, w ramach których przetestowali ok. 50 różnych pomysłów, młodzi innowatorzy zaprezentowali ludzkości przezroczystą, wytrzymałą i w pełni bezpieczną po spożyciu Tastee Tape, a obecnie dążą do komercjalizacji wynalazku. Wróżymy im sukces, bo w ich pomyśle wszystko się klei!

Na Neptuna, ale numer!

Mieszkańcom nowo wybudowanego bloku przy ulicy Młyńskiej 10 w Kołobrzegu deweloper zaoferował parking zlokalizowany, bagatela, 2,5 km dalej. Zgodnie z prawem musiał on zapewnić łącznie 206 miejsc postojowych i zapewnił: 55 w garażu podziemnym i 151 przy ulicy Neptuna, w miejscu oddalonym o pół godziny marszu. Pełnomocnik inwestora tłumaczy, że zastosowane rozwiązanie jest zgodne z planem zagospodarowania przestrzennego i pozwoleniem na budowę. Zapomniał dodać, że także z zaleceniami lekarzy, którzy nieustannie podkreślają korzyści zdrowotne spacerów.

Dolce vita za kryptodolce

Przygodę życia przeżyli 14-letnia Nicole i 16-letni Łukasz, którzy taksówką uciekli ze swoich bydgoskich domów do… Rzymu. Nastolatkowie, którzy poznali się, gdy uczęszczali do renomowanej podstawówki prowadzonej przez salezjanów, spędzili w Wiecznym Mieście prawie 20 dni; włoscy policjanci zatrzymali ich w apartamencie, w którym noc kosztuje 1,5 tys. dol. Co zaskakujące, cały gigant został sfinansowany nie kartami kredytowymi rodziców, ale własnymi pieniędzmi chłopaka, które miał zarobić na handlu kryptowalutami. To się nazywa romantyzm epoki cyfrowej!

Do domu wrócimy, błędy w grze naprawimy…

Gdzie szukać ściśle tajnych informacji na temat nowoczesnych maszyn wojskowych? Najlepiej w sieciowej grze komputerowej „War Thunder". Fanom tego symulatora tak zależy na maksymalizacji jego realizmu, że na forum produkcji dzielą się nie tylko swoimi przemyśleniami, ale i wojskowymi sekretami. Chiński czołgista udostępnił tam dane związane z nową generacją pocisków kalibru 125 mm, a gracz z Wielkiej Brytanii fragment tajnego podręcznika opisującego czołg Challenger 2 – wszystko po to, by wyeliminować nieścisłości, które pojawiły się w rozgrywce. I tylko Szarik, cokolwiek by się (nomen omen) działo, konsekwentnie trzyma język za zębami.

eprasa.pl c615e1887d

Nowa część „Parku Jurajskiego”? Nie, to tygodniowe papugi podczas posiłku w indyjskim schronisku dla zwierząt.

W Stumilowym Lesie dziś nie zaśnie nikt

Trwają prace nad horrorem, którego głównym bohaterem jest słynny Miś o Bardzo Małym Rozumku. Na razie nie ujawniono szczegółów fabuły, ale dość przerażające zdjęcia z planu dają pewność, że „Kubuś Puchatek: krew i miód” nie będzie bajką dla dzieci. Warto wspomnieć, że scenarzystą i reżyserem dzieła jest Rhys Frake-Waterfield, który odpowiada również za znajdujący się obecnie w postprodukcji film o więzieniu dla dinozaurów. Nie chcemy sobie nawet wyobrażać, jak w tej produkcji będzie wyglądać gra w misie-patysie…

FOT. A-MEM (2), EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl c615e1887d

Jacek Pałucha

Odsłona druga

Druga wystawa w Wirydarzu, po 10 latach od pierwszego pokazu, jest dla Jacka Pałuchy symbolem upływu czasu: „Niby nie tak dawno, jakby wczoraj, jednak wiele w tym czasie wydarzyło się w moim życiu i malarstwie. To 10 lat. Życzę sobie odsłony trzeciej i czwartej, a może i piątej. Przyszłość jest jeszcze nienamalowana". Urodził się w 1966 r. w Częstochowie. Jest absolwentem Wydziału Malarstwa warszawskiej ASP. Dyplom otrzymał w 1993 r. w pracowni prof. Wiesława Szamborskiego. Równocześnie z malarstwem zajmował się muzyką. Był założycielem, wokalistą i twórcą sukcesu Formacji Nieżywych Schabuff. Jako ilustrator współpracował m.in. z „Rzeczpospolitą" i „Gazetą Wyborczą", jest autorem wielu okładek płyt, projektował też plakaty teatralne i ilustrował książki. Na podstawie jego obrazów tworzone są murale.

Galeria Sztuki Wirydarz
Lublin, ul. Grodzka 19
do 27 czerwca

Plaża

Na spacerze

Fotografka

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c615e1887d

GENERATION AFTER 6. SHOWCASE

NEW GEOGRAPHIES POLISH PERFORMING ARTS SHOWCASE

1-3 SEPTEMBER 2022, WARSAW

showcase@nowyteatr.org

generationafter.showcase

ORGANIZER

NOWY TEATR

PARTNERS

TR

Komuna Warszawa

STUDIO

teatr powszechny

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

MW Muzeum Narodowe w Warszawie

COOPERATION

ADAM MICKIEWICZ INSTITUTE

AKADEMIA TEATRALNA WARSZAWA

sirenos

BRITISH COUNCIL

MEDIA PARTNERS

KINOTEKA

VOGUE

AKTIVIST

Going.

SZUM

ams

wyborcza.pl

Przegląd

FINANCED BY

Mazovia. heart of Poland

eprasa.pl c615e1887d

CENTRUM
SPOTKANIA
KULTUR
W LUBLINIE

STOWARZYSZENIE
IM.
RICHARDA STRAUSSA

MIĘDZYNARODOWY
KONKURS WOKALNY
IM. ANTONINY CAMPI
Z MIKLASZEWICZÓW
2022

Antonina Campi

OPERA
MASTERCLASS

Mariusz Kwiecień | Rafał Bartmiński | Ewa Vesin
Olga Tsymbaluk | Tomasz Pawłowski | Mischa Kozłowski

KONCERT FINAŁOWY 20 CZE (poniedziałek) | 18:00
Sala Operowa

15–20 CZE 2022 | **LUBLIN**

---

bezpłatne wejściówki:
kasa CSK
plac Teatralny 1

więcej na:
antonina.campi.spotkaniakultur.com

eprasa.pl c615e1887d